

Agatha Christie

A.B.C.

Tytuł oryginału The ABC murders

Wstęp

Przez kapitana Artura Hastingsa

W opowiadaniu tym odstępuję od zwyczaju opisywania jedynie tych wydarzeń i scen, przy których byłem obecny. Niektóre rozdziały tej historii pisane są w osobie trzeciej. Pragnę przy tym zapewnić czytelników, że gwarantuję prawdziwość tych rozdziałów. Jeżeli nawet pozwoliłem sobie na pewną *licentia poetica* opisując myśli i uczucia rozmaitych osób, robiłem to z pełnym przekonaniem o ścisłości moich relacji. Ponadto zaznaczam, że rozdziały te skontrolował mój przyjaciel, Herkules Poirot.

Pozwoliłem sobie na zbyt może obszerne opisywanie stosunków między osobami, które pojawiały się na tle szeregu dziwnych zbrodni. Zrobiłem to dlatego, iż moim zdaniem nic wolno lekceważyć elementu ludzkiego i osobistego. Herkules Poirot nauczył mnie w swoim czasie w sposób nader dramatyczny, że romantyczność może być produktem wtórnym zbrodni.

Odnosnie do rozwikłania tajemnicy ABC mogę tylko powiedzieć, że Poirot wykazał prawdziwy geniusz w metodzie rozwiązania problemu zupełnie niepodobnego do innych, które stawały uprzednio na jego drodze.

Rozdział I

List

W czerwcu tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku przyjechałem z mojego ranczo w Ameryce Południowej do kraju na pobyt mniej więcej półroczny. W Ameryce nietęgo mi się wiodło. Jak wszyscy odczuwałem skutki kryzysu światowego. W Anglii miałem różne interesy do załatwienia i zdawałem sobie sprawę, że mogę dokonać tego tylko osobiście. Na ranczo pozostała żona; miała je prowadzić samodzielnie. Oczywiście, jedną z pierwszych moich czynności w Starym Kraju była wizyta u dawnego przyjaciela, Herkulesa Poirota.

Mieszkał obecnie w jednym z najnowocześniejszych londyńskich bloków. Zarzuciłem mu (co potwierdził bez wahania), że wybrał ten właśnie gmach wyłącznie ze względu na jego czysto geometryczny wygląd i proporcje.

— Naturalnie, drogi przyjacielu — przyznał. — Mieszkam tu tylko ze względu na tę uroczą symetrię. Zgodzisz się chyba, że to piękne?

Odpowiedziałem mu, że i czworoboków może być za dużo i czyniąc aluzję do starego dowcipu zapytałem, czy ci nowocześni budowniczowie nauczyli już kury składać sześciennie jajka.

Poirot roześmiał się serdecznie. — Co, pamiętasz jeszcze? — zawołał. — Niestety, wiedza nie skłoniła jeszcze kur, by składały jajka odpowiadające nowoczesnym Custom. Są one nadal rozmaitych rozmiarów i odcieni.

Serdecznym wzrokiem objąłem starego przyjaciela. Wyglądał wspaniale, ani o dzień starzej niż wtedy, kiedy widziałem go ostatni raz.

— Wyglądasz kwitnąco — powiedziałem. — Zupełnie się nie zestarzałeś. Gdyby to było możliwe, powiedziałbym, że masz mniej siwych włosów niż przed laty.

Podziękował mi płomiennym spojrzeniem.

— A dlaczego uważasz to za niemożliwe? Przecież tak jest naprawdę!

— Co? Twoje włosy zmieniają się z siwych na czarne, zamiast z czarnych na siwe?

— Nie inaczej.

— Ależ to niepodobieństwo z naukowego punktu widzenia.

— Nic podobnego.

— Zdumiewające! To przeczy naturze.

— Jak zwykle zdradzasz umysł szlachetny i niepodejrzliwy. Lata nie zmieniły cię wcale, Hastings. Jednym tchem stwierdzasz fakt i wyciągasz wnioski nie myśląc nawet, że to robisz.

Spojrzałem na niego niepewnie. Bez słowa poszedł do swojej sypialni, przyniósł stamtąd butelkę i podał mi ją. Etykieta na butelce głosiła:

„Revivit”

Revivit przywraca naturalny kolor włosom.

Revivit nie jest farbą. Kolory: odpowiednie dla blondynów, rudych, szatynów i brunetów.

— Poirot! — zawołałem. — Farbujesz włosy!

— Wreszcie zrozumiałeś.

— To dlatego masz teraz włosy czarniejsze niż wówczas, gdy widziałem cię ostatni raz!

— Wniosek ścisły.

— Mój Boże! — westchnąłem odzyskując pewność siebie. — Jak przyjadę tu następnym razem, zastane cię pewnie ze sztucznymi włosami. A może to już się stało?

Skrzywił się z niesmakiem. Wąsy były zawsze jego piętą Achillesa. Był z nich niesłychanie dumny, a więc słowa moje dotknęły go do żywego.

— Nie, nie, cóż znowu, *mon ami** Taki dzień, chwała Bogu, jest jeszcze bardzo odległy. Fałszywe wąsy! *Quel horreur**!

Energicznie podkreślił wąsa, jak gdyby chciał udowodnić, że nie jest przyprawiony.

— Tak — powiedziałem — są jeszcze bardzo bujne.

— *N'est-ce pas**? W całym Londynie nie widziałem nigdy wąsów, które dorównywałyby moim.

„Także powód do dumy!” — pomyślałem, ale nie powiedziałem tego, gdyż nie chciałem za nic zranić próżności Poirota.

Zmieniając temat rozmowy zapytałem, czy trudni się jeszcze sprawami zawodowymi.

— Wiem — ciągnąłem — że właściwie wycofałeś się z tego przed laty...

— *C'est vrai**! Żeby uprawiać dynie... Ale czasami trafia się jakieś ciekawe morderstwo i wtedy dynie posyłam do wszystkich diabłów. Wiem, wiem, co powiesz: że jestem jak primadonna, która daje stanowczo ostatni występ, a pożegnalne przedstawienie powtarza się nieskończoną ilość razy.

Roześmiałem się.

— Prawdę rzekłszy — tłumaczył Poirot — tak się właściwie dzieje. Za każdym razem powtarzam: to już koniec. Ale nie! Wynika coś nowego. Otwarcie przyznaję, drogi przyjacielu, że na wypoczynku nie zależy mi tak bardzo. Szare komórki zaczynają rdzewieć, gdy nie pracują.

— Rozumiem — powiedziałem. — A więc w miarę trenujesz komórki.

— Nie inaczej. Szukam, wybieram. Herkules Poirot uznaje dziś tylko delikcje.

— I dużo się trafia tych delikcji?

— Wystarczy. Niedawno ledwie uszedłem z życiem. Ja, Herkules Poirot!

— Jakiś szczególnie przebiegły morderca?

— Nie tyle przebiegły, co nieostrożny — odrzekł. — Tak, nieostrożny. Ale nie ma o czym mówić. Widzisz, Hastings, ciebie pod pewnym względem uważam za maskotkę.

— Naprawdę? Pod jakim mianowicie? Nie odpowiedział mi bezpośrednio.

— Gdy dowiedziałem się, że przyjeżdżasz, powiedziałem sobie: teraz coś wyniknie. Jak niegdyś, będziemy tropić we dwójkę. Ale jeśli tak się nie stanie, to musi być jakaś nadzwyczajna sprawa, coś... — zrobił nieokreślony ruch ręką. — *Recherche... delicate... fine...** — akcentował te nieprzetłumaczalne wyrazy nadając im właściwy smak.

— Słowo daję, Poirot! — zawołałem. — Można by pomyśleć, że zamawiasz obiad u Ritza.

— A tymczasem zbrodni zamówić nie można. Słusznie, słusznie... — westchnął. — Ale ja wierzę w szczęście... przeznaczenie, jeśli wolisz. Twoim przeznaczeniem jest stać u mego boku i chronić mnie przed popełnieniem błędu nie do darowania.

— A co nazywasz błędem nie do darowania?

— Przegapienie oczywistego.

— Aha — odpowiedziałem z niewyraźnym uśmiechem, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. — No i co? Kłuje się ta superzbrodnia?

— *Pas encore...** Chociaż... czy ja wiem?

Urwał, z namysłem zmarszczył czoło. Ręka jego poprawiła odruchowo kilka przedmiotów, które widocznie bezwiednie poruszyłem.

— Nie wiem... Nie wiem... — mruknął jak gdyby do siebie.

Ton jego był tak szczególny, że spojrzałem ciekawie. Zmarszczki nie ustąpiły jeszcze z czoła Poirota. Nagle, jak gdyby powziął stanowczą decyzję, kiwnął głową i podszedł do biurka stojącego pod oknem. Nie muszę zapewniać, że zawartość wszystkich szuflad była w idealnym porządku i Poirot mógł w każdej chwili sięgnąć po jakikolwiek potrzebny mu papierek.

Powoli wrócił do mnie trzymając w ręku rozłożony list. Najprzód przeczytał go sam, a potem podał mnie.

— Powiedz, *mon ami* — spytał — co właściwie sądzisz o tym?

Ze znacznym zainteresowaniem wziąłem kartkę grubego papieru listowego zapisaną drukowanymi literami.

Do pana Herkulesa Poirota.

Wyobraża pan sobie, że potrafi rozwiązać każdą zagadkę zbyt trudną dla naszej tępej angielskiej policji. Przekonamy się, mądralo Poirot, czy naprawdę taki z pana spryciarz. Może ten orzech będzie dla pana za ciężki do zgryzienia? Proszę zainteresować się Andover dwudziestego pierwszego bm.

Z poważaniem

A.B.C.

Spojrzałem na kopertę. Adres napisany był również drukowanymi literami.

— Stempel pocztowy: Londyn WC1 — powiedział mój przyjaciel. — No i co o tym powiesz?

Zwracając list wzruszyłem ramionami.

— Chyba to jakiś wariat czy ktoś w tym rodzaju — odrzekłem.

— Tylko tyle?

— A tobie nie wydaje się to robotą wariata?

— Tak, *mon ami*. Niestety.

Powiedział to tak poważnym tonem, że spojrzałem na niego zdziwiony.

— Widzę, że traktujesz to bardzo serio.

— Wariata trzeba traktować serio. Obłąd to bardzo niebezpieczna sprawa.

— Tak, tak, oczywiście... N ad tym się nie zastano wiłem... Ale widzisz, dla mnie to wygląda raczej na jakiś idiotyczny kawał. Jakiś dureń był widocznie na bańce...

— *Comment**! Na jakiej bańce?

— To tylko takie wyrażenie... Chciałem powiedzieć, że po prostu jakiś głupiec upił się i zrobił niemądry kawał.

— W porządku, Hastings, teraz zrozumiałem. Widzisz, może w tym nie być nic więcej, ale...

— Ale podejrzewasz, że może być? — zapytałem, raz jeszcze uderzony powagą jego tonu.

Poirot kiwnął głową, ale nic nie odpowiedział.

— Czy przedsięwziąłeś jakieś kroki w tej sprawie?

— A co można przedsięwziąć? Pokazałem list Jappowi. Był tego samego zdania, co i ty. Głupi kawał. Nawet użył tego samego wyrażenia. Podobno w Scotland Yardzie codziennie dostają takie listy. Wiem z własnego doświadczenia...

— Ale ten traktujesz serio?

— Widzisz — odpowiedział z wolna — jest w nim coś, co mi się nie podoba.

— Ale co właściwie?

Znowu pokiwał głową, wziął list i bez słowa odniósł do biurka.

— Jeżeli naprawdę traktujesz tę sprawę poważnie, mógłbyś chyba coś zrobić? — spytałem.

— Jak zawsze jesteś człowiekiem czynu. Tylko co ja mogę zrobić? Policja w Andover widziała ten list i również nie potraktowała go poważnie. Nie ma na nim odcisków palców. Nic nie wskazuje autora.

— Nic, z wyjątkiem twego instynktu.

— To nie instynkt, Hastings. Użyłeś niewłaściwego słowa. Moja wiedza i doświadczenie mówią mi, że ten list cuchnie — zająknął się, jak gdyby słów mu zabrakło, i znowu pokiwał głową. — Ha, cóż, może robię z igły widły. Tak czy inaczej, nic nie da się zrobić. Możemy tylko czekać.

— Oczywiście. Dwudziesty pierwszy jest w piątek. Jeżeli jakaś efektowna kradzież trafi się w

okolicy Andover...

— Ach, cóż by to była za ulga!

— Ulga? — zdumiałem się, gdyż słowo to wydało mi się bardzo niestosowne. — Kradzież może być efektowna, ale chyba nie może być ulgą?

— Mylisz się, przyjacielu. Nie zrozumiałeś, o co mi chodzi. Kradzież byłaby ulgą, ponieważ uwolniłaby mnie od obawy przed czymś poważniejszym.

— Przed czym?

— Morderstwem.

Rozdział II

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Pan Aleksander Bonaparte Cust dźwignął się z krzesła i krótkowzrocznymi oczyma potoczył po nędznej sypialni. Plecy miał przygarbione od siedzenia w pochylonej postawie, ale kiedy się wyprostował, widz mógłby stwierdzić, że w rzeczywistości jest to wysoki mężczyzna. Jego przygarbienie i krótkowzroczność mogły wywołać łudzące wrażenie.

Cust podszedł do dobrze zniszczonego płaszcza wiszącego na drzwiach; z kieszeni wyjął paczkę tanich papierosów i zapalki. Zapalił papierosa i wrócił do stołu, przy którym uprzednio siedział. Sięgnął po rozkład kolejowy i zaczął go uważnie przeglądać. Następnie zajął się pisaną na maszynie listą nazwisk. Piórem odfajkował jedno na początku listy.

Działo się to we czwartek, dwudziestego czerwca.

Rozdział III

Andover

Zrazu złe przeczucia Poirota z racji otrzymanego przezeń anonimowego listu wywarły na mnie wrażenie. Przyznaję jednak, że sprawa zupełnie wywietrzała mi z głowy, kiedy przyszedł dwudziesty pierwszy czerwca. Przypomniała mi o niej dopiero wizyta złożona mojemu przyjacielowi przez nadinspektora Jappa ze Scotland Yardu. Owego oficera policji śledczej znałem od lat, toteż powitał mnie serdecznie.

— Co za niespodzianka! — zawołał. — Kapitan . Hastings wrócił z jakichś tam pustyń czy jak to się nazywa. Przypominają mi się dawne dobre czasy, kiedy widzę pana u *monsieur* Poirota. Doskonale pan wygląda. Włosy na ciemieniu trochę rzedną, co? Ale cóż? Taki już los. Ze mną dzieje się to samo.

Zmarszczyłem się lekko. Miałem wrażenie, że dzięki starannemu zaczesywaniu „pożyczki” wspomniane przez Jappa rzednięcie włosów na ciemieniu nie jest widoczne. Ale nadinspektor znany był z nietaktownych uwag pod moim adresem, zrobiłem więc dobrą minę do złej gry i przyznałem, że wszyscy się starzejemy.

— Z wyjątkiem pana Poirota! — zastrzegł Japp. — Byłby wspaniałą reklamą jakiegoś środka na porost włosów. Albo jego cera! Proszę spojrzeć. A do tego na starość zyskuje coraz większy rozgłos. Bierze udział we wszystkich głośnych wydarzeniach. Zbrodnie w pociągach, zbrodnie w samolotach, morderstwa w najwyższych kołach towarzyskich... *Monsieur* Poirot jest obecny zawsze i wszędzie. Dopiero po przejściu na emeryturę stał się naprawdę sławny.

— Mówiłem już Hastingsowi, że zachowuję się jak primadonna, która wciąż występuje po raz ostatni — uśmiechnął się Poirot.

— Wcale bym się nie dziwił, gdyby na zakończenie wytropił pan własnego mordercę — żartował nadinspektor. — Dobry pomysł, co? Nadaje się do powieści.

— Nie, to już będzie zadanie Hastingsa — Poirot zerknął na mnie spod oka.

— Cha, cha, cha! A to by dopiero była szopa! Nie mogłem zrozumieć, co w tym widzi zabawnego.

Wesołość jego wydała mi się w bardzo złym tonie. Biedny Poirot starzeje się jednak. Żarty o zbliżającej się śmierci nie wydają mu się chyba przyjemne.

Zapewne mina zdradziła moje uczucia, gdyż Japp zmienił temat:

— Słyszał pan o anonimie otrzymanym przez pana Poirota?

— Kilka dni temu pokazywałem go kapitanowi Hastingsowi — powiedział mój przyjaciel.

— Prawda! —zawołałem.—Zupełnie mi to wywietrzało z głowy. Zaraz, zaraz, o jaką tam datę chodziło?

— O dwudziesty pierwszy — odpowiedział Japp.

— Dlatego właśnie wpadłem dziś tutaj. Wczoraj był dwudziesty pierwszy i przez prostą ciekawość zatelefonowałem wieczorem do Andover. Widocznie był to rzeczywiście głupi kawał. Nic się tam nie stało. Jakiś dzieciak wybił kamieniem szybę i dwóch pijaków zrobiło awanturę. Raz przynajmniej nasz nieomylny przyjaciel zwietrzył fałszywy trop.

— Otwarcie przyznaję, że jestem z tego bardzo zadowolony — powiedział Poirot.

— Ale trop był fałszywy, całkiem fałszywy — podjął nadinspektor. — Cóż, Bóg z panem. Przecież my otrzymujemy co dzień dziesiątki takich listów. Ludzie, którzy nie mają nic lepszego do roboty i są z lekka pomyleni, siadają i piszą. Nie chcą nikomu robić krzywdy. Po prostu chodzi im o rozrywkę.

— Rzeczywiście, byłem bardzo niemądry, że na serio potraktowałem całą tę sprawę.

— Zdarza się, zdarza — pocieszał Japp. — No, czas na mnie. Mam interes na sąsiedniej ulicy. U jednego pasera znaleziono skradzioną biżuterię. Wracając zajrzę jeszcze do panów. Tak, tak, szkoda, że te pańskie szare komórki pracowały bez potrzeby — roześmiał się wesoło i wyszedł.

— No i co? Poczciwy Japp nie zmienił się wcale, prawda? — zapytał Poirot.

— Wygląda znacznie starzej... Siwy jak gołąb — dodałem mściwie.

Poirot zakasłał dyskretnie.

— Widzisz, Hastings, znam taki jeden środek... Mój fryzjer to bardzo pomysłowy człowiek... Wkłada się to na głowę i, wyobraź sobie, czesze zupełnie jak własne włosy... To wcale nie peruka, rozumiesz, ale...

— Poirot! — wrzasnąłem. — Zapamiętaj raz na zawsze, że nie chcę mieć do czynienia z piekielnymi wynalazkami twojego fryzjera! Czego się czepiacie moich rzadziejących włosów?

— Nie, nie... nikt się nie czepia.

— Wygląda zupełnie tak, jak gdybym łysiał.

— Ależ nie, nie... Skąd znowu!

— W Ameryce Południowej są silne upały i włosy trochę wypadają. To naturalne. Muszę sobie kupić jakiś dobry płyn na porost.

— O to właśnie chodzi.

— A zresztą, co to obchodzi Jappa? Zawsze był nietaktowny, ordynarny i zupełnie pozbawiony poczucia humoru. Gotów się śmiać, gdy ktoś wyciągnie spod faceta krzesło, na którym siada.

— Z tego śmiałoby się bardzo wiele osób.

— A przecież to idiotyzm!

— Niewątpliwie. Zwłaszcza z punktu widzenia człowieka, który ma zamiar usiąść.

— Mniejsza o to — powiedziałem odzyskując humor (przyznaję, że jestem bardzo uczulony na punkcie moich rzadziejących włosów). — Przykro mi, doprawdy, że sprawa z tym anonimowym listem spaliła na panewce.

— No cóż, każdy może się omylić. Tylko że ten list cuchnął mi jakoś. A tymczasem okazał się zwykłym kawałem... Niestety, starzeję się i robię podejrzliwy, jak ślepy pies, co szczeka, choć się nic nie dzieje.

— Ale jeżeli mam z tobą współpracować, musimy rozejrzeć się za jakąś inną zbrodnią—prysmakiem — roześmiałem się.

— Pamiętasz, kilka dni temu powiedziałaś, że zamawiam zbrodnię jak obiad u Ritza. Gdyby to było możliwe, co ty byś wybrał?

Już całkowicie odzyskałem humor.

— Zaraz, zaraz... Najprzód trzeba przejrzeć menu — powiedziałem. — Kradzież z włamaniem? Fałszerstwo? Nie, chyba nie... To jarskie potrawy. Zamówię morderstwo. Krwawą zbrodnię odpowiednio podaną.

— Oczywiście! Morderstwo z garniturem.

— Hm... Któż będzie ofiarą? Mężczyzna? Kobieta?... Chyba jednak mężczyzna. Jakaś gruba ryba. Amerykański milioner — minister... magnat prasowy... A scena? Co byś powiedział na porządną staroświecką bibliotekę? Atmosfera właściwa, prawda?... Narzędzie zbrodni? Hm... Mógłby to być jakiś osobliwie wygięty kindżał albo tak zwane tępe narzędzie... na przykład kamienna rzeźba pogańskiego bożka...

Poirot westchnął.

— Jest jeszcze trucizna — ciągnąłem — ale w takim wypadku potrzeba wiadomości fachowych... Albo wystrzał pistoletowy budzący echa w nocy... A teraz obsada. Naturalnie musi być przynajmniej jedna piękna dziewczyna...

— O tycjanowskich włosach — mruknął mój przyjaciel.

— Ciebie się zawsze żarty trzymają!... A więc musi być przynajmniej jedna piękna dziewczyna niesłusznie podejrzewana. Muszą być jakieś nieporozumienia między nią i jej wielbicielem... Ale

jeden podejrzany przecież nie wystarczy. Będą inni. Ciemnowłosa starsza dama, postać bardzo niewyraźna. Jakiś przyjaciel lub konkurent zamordowanego i milczący sekretarz... I jakiś starszy mężczyzna o jowialnych manierach... Może zwolniony służący albo gajowy? Starczy, co? Nie obejdziemy się jednak bez nieprawdopodobnie głupiego detektywa, kogoś w rodzaju naszego Jappa.

— Tak sobie wyobrażasz zbrodnię—przysmak?

— Widzę, że ci się nie podoba. Poirot roześmiał się smutno.

— Własnymi słowami streściłeś prawie wszystkie powieści kryminalne, jakie kiedykolwiek napisano.

— Może — powiedziałem. — A co ty byś zamówił? Poirot przymknął oczy i wygodniej rozsiadł się w fotelu. Kiedy odezwał się, mówił tonem smakosza:

— Ja zamówiłbym bardzo prostą zbrodnię, bez komplikacji. Zbrodnię spokojnego, szarego życia — beznamiętną, intymną...

— Jakże zbrodnia może być intymna?

— Na przykład — szeptał — cztery osoby siedzą przy bridżu, a wychodzący w fotelu przed kominkiem.

Po skończonym obrze okazuje się, że ów sprzed kominka nie żyje. W czasie, kiedy się wykladał, jeden z czwórki oddalił się na chwilę i popełnił morderstwo, a zajęci rozgrywką partnerzy nie zauważyli tego. To dopiero zagadka! Kto z czwórki?

— Przyznaję — oświadczyłem — że nie widzę w tym nic podniecającego.

Spojrzał na mnie z wyrzutem.

— Naturalnie, bo obyło się bez dziwacznie wygiętych kindżałów, szantażu, kradzieży szmaragdów koronnych i nie pozostawiających śladu wschodnich trucizn. Masz melodramatyczną duszę, Hastings. Odpowiadałoby ci nie jedno morderstwo, lecz cała ich seria.

— Zgadłeś. W powieści drugie morderstwo znacznie ożywia akcję. Jeżeli zbrodnia ma miejsce w pierwszym rozdziale i przez dalszy ciąg trzeba śledzić alibi wszystkich podejrzanych, staje się to poniekąd nużące.

W tej chwili zadzwonił telefon. Poirot wstał.

— Halo — powiedział. — Tak, tu Herkules Poirot. Przez chwilę słuchał; dostrzegłem wyraźną zmianę na jego twarzy, chociaż to, co mówił, nie miało właściwie znaczenia.

— *Mais oui...** Tak, tak naturalnie... Oczywiście, przyjedziemy... Naturalnie... Bardzo możliwe... Tak, wezmę ze sobą... Chwilowo do widzenia.

Odłożył słuchawkę i przemierzył pokój szybkim krokiem.

— Telefonował Japp — oznajmił zatrzymując się przede mną.

— I co?

— Przed chwilą przyszedł do Scotland Yardu i zastał tam meldunek z Andover...

Z Andover? — powtórzyłem z wielkim przejęciem.

— Zamordowano starą kobietę, niejaką Ascher, właścicielkę sklepiku z wyrobami tytoniowymi i gazetami — wolno cedził słowa.

Przyznaję, że byłem nieco rozczarowany. Dźwięk nazwy Andover podziałał na mnie bardzo silnie. Spodziewałem się czegoś niezwykłego, nadzwyczajnego. W tym stanie napięcia śmierć starej kobiety, właścicielki trafiki, wydała mi się nad wyraz mało efektowna.

— Policja z Andover — podjął Poirot tym samym poważnym, rozwlekłym głosem — jest zdania, że łatwo ujmie sprawcę. Ta kobieta była w bardzo złych stosunkach z mężem. To pijak i awanturnik. Nieraz odgrażał się, że ją zabije.

Byłem coraz bardziej rozczarowany.

— Mimo wszystko jednak policja interesuje się otrzymanym przeze mnie anonimowym listem i chciałaby go obejrzeć. Powiedziałem Jappowi, że obaj przyjedziemy zaraz do Andover.

Ożywiłem się. Zbrodnia była może nieefektowna, ale w każdym razie zbrodnia, a ja tak dawno nie miałem do czynienia z przestępcami i przestępstwami.

Mimo uszu puściłem ostatnie słowa Poirot, choć miały mi się w przyszłości tak żywo przypomnieć.

— To dopiero początek.

Rozdział IV

Pani Ascher

W Andover przyjął nas inspektor Glen, wysoki blondyn o ujmującym uśmiechu.

Dla porządku muszę rozpocząć od suchego streszczenia faktów.

Zbrodnię wykrył posterunkowy Dover o godzinie pierwszej w nocy z dwudziestego pierwszego na dwudziesty drugi czerwca. W czasie obchodu sprawdził drzwi sklepu i stwierdził, że nie są zaryglowane. Wszedł. Zrazu zdawało mu się, że sklep jest pusty. Kiedy jednak skierował reflektor latarki za ladę, spostrzegł leżącą tam starą kobietę. Wezwany na miejsce lekarz policyjny stwierdził, że kobieta otrzymała uderzenie tępym narzędziem w tył głowy prawdopodobnie w chwili, gdy sięgała po papierosy na półkę umieszczoną za ladą. Śmierć jej nastąpiła na siedem do dziewięciu godzin przed odnalezieniem zwłok.

— Czas zdołaliśmy jednak ustalić znacznie dokładniej — ciągnął inspektor. — Znaleźliśmy klienta, który kupował tytoń o siedemnastej trzydzieści. Inny klient wstąpił do sklepu o osiemnastej pięć, jak mu się zdawało, i nikogo tam nie zastał. A zatem zbrodnia została popełniona między siedemnastą trzydzieści a osiemnastą pięć. Dotychczas nie znalazł się nikt, kto by widział Aschera w pobliżu sklepiku żony, ale upłynęło jeszcze bardzo niewiele czasu. Około dwudziestej pierwszej Ascher kompletnie pijany był Pod Trzema Koronami. Jak go tylko odnajdziemy, zatrzymamy jako podejrzanego w tej sprawie.

— To jakiś ciemny typ, prawda, inspektorze? — zapytał Poirot.

— Nawet bardzo ciemny.

— Nie żył dobrze z żoną?

— Nie. Od kilkunastu lat są w separacji. Ascher to Niemiec. Dawniej pracował jako kelner, ale rozpił się, tracił jedną posadę po drugiej i obecnie jest bezrobotny. Jego żona pracowała dawniej jako służąca. Ostatnio u panny Rose, starej panny, jako gospodyni i kucharka. Mężowi dawała coś niecoś ze swoich zarobków, żeby miał z czego żyć. Ale on pił. Ciągle przychodził do domów, w których pracowała, i robił awantury. Dlatego właśnie ostatnią posadę wzięła u panny Rose, na zupełnym pustkowiu o trzy mile za Andover. Ascherowi trudno tam było dobrać. Kiedy panna Rose umarła, zostawiła legat dla pani Ascher, która otworzyła wtedy trafikę. To było bardzo małe przedsiębiorstwo: trochę tanich papierosów i gazet. Ledwie wiązała koniec z końcem. Ascher bywał tam często, urządzał awantury, a ona dawała mu coś niecoś na odczepne. Prócz tego płaciła mu regularnie piętnaście szylingów tygodniowo.

— Mieli dzieci? — zapytał Poirot.

— Nie. Pani Ascher ma tylko siostrzenicę. Pracuje pod Overton jako służąca. To bardzo dumna i pewna siebie młoda osoba.

— Powiada pan, że ten Ascher często odgrażał się żonie?

— Tak. Po pijanemu był okropny. Klął i obiecywał, że jej łeb rozwali. Biedna pani Ascher miała z nim ciężkie życie.

— W jakim była wieku?

— Pod sześćdziesiątkę. Spokojna i pracowita.

— I pańskim zdaniem, inspektorze, Ascher jest winien tej zbrodni? — zapytał poważnie Poirot.

Inspektor chrząknął dyplomatycznie.

— Panie Poirot, sądzę, że jeszcze trochę za wcześnie na takie twierdzenie. W każdym razie chciałbym przesłuchać Franza Aschera i dowiedzieć się, co robił wczoraj wieczorem. Jeżeli będzie miał wystarczające alibi — w porządku. Jeżeli nie... — urwał znacząco.

— Ze sklepu nic nie zginęło?

— Nic. Pieniądze w szufladzie nie były ruszone. Nie stwierdziliśmy żadnych śladów kradzieży.

— Sądzi pan zatem, że Ascher przyszedł do sklepu pijany, zaczął wymyślać żonie i w rezultacie uderzył ją czymś i zabił?

— To najprawdopodobniejsze rozwiązanie. Mimo wszystko jednak chciałbym spojrzeć na ten bardzo dziwny anonim, który pan dostał. Zastanawiam się, czy to możliwe, żeby Ascher był jego autorem?

Poirot podał list inspektorowi, który przeczytał go ze zmarszczoną brwią.

— To mi nie wygląda na Aschera — powiedział. — Wątpię, czy mógłby użyć wyrażenia „nasza angielska policja”. Chyba że chciał być bardzo sprytny. Ale na taki podstęp ma za mało dowcipu. Zresztą, to istna ruina, człowiek skończony. Ręce mu się trzęsą, nie potrafiłby więc tak równo wypisać drukowanych liter. I jeszcze jedno... Papier i atrament są w dobrym gatunku. Dziwne... dziwne... Dlaczego w tym liście mowa o dwudziestym pierwszym czerwca?... Naturalnie, to może być zbieg okoliczności.

— Oczywiście, może.

— Ale ja nie lubię tego rodzaju zbiegów okoliczności, panie Poirot. Trochę to za dziwne.

Inspektor umilkł na chwilę i znowu zmarszczył czoło.

— A.B.C. — podjął. — Któż to, u licha, może być ten A.B.C.? Trzeba sprawdzić. Może Mary

Drower, ta siostrzenica pani Ascher, będzie mogła coś wyjaśnić. Dziwna, dziwna historia... Gdyby nie ten list, stawiałbym na Franza Aschera jak na pewniaka.

— Co pan może powiedzieć o przeszłości pani Ascher?

— Pochodzi z Hampshire. Jako młoda dziewczyna poszła do służby w Londynie, gdzie poznała Aschera i wyszła za niego za mąż. Podczas wojny musiało się im nietęgo powodzić. Małżeństwo rozpadło się w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku. Mieszkali wówczas w stolicy. Pani Ascher chciała uciec od męża i schroniła się tutaj. Ale on trafił jakoś na jej ślad, przyjechał i począł wyłudzać od niej pieniądze... Słucham, Briggs, co się stało? — zwrócił się do policjanta, który wszedł w tej chwili.

— Jest Ascher, panie inspektorze. Właśnieśmy go sprowadzili.

— W porządku. Dawaj go! Gdzie był?

— Ukrywał się w wagonie towarowym na boczniczy kolejowej.

— O!... Dawajcie go zaraz.

Franz Ascher wyglądał istotnie na ruinę człowieka. Na zmianę złościł się, lamentował albo jękał. Jego załzawione oczy biegały niespokojnie od jednej twarzy do drugiej.

— Co się mnie czepiacie! — wołał. — Nic nie zrobiłem! Po co sprowadziliście mnie tutaj? Świnie! Łajdaki! — nagle zmienił ton. — Nie, nie, bardzo przepraszam, wcale nie chciałem tak gadać. Nie skrzywdzicie przecież biednego, starego człowieka? Wszyscy czepiają się teraz biednego, starego Franza. Biedny, stary Franz... — zaczął płakać.

— Spokojnie, spokojnie, Ascher — powiedział inspektor. — Nie martw się. O nic cię jeszcze nie oskarżamy. Możesz zeznawać albo nie zeznawać, jak ci się podoba. Jeżeli nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią swojej żony...

— Ja jej nie zabiłem! — wrzasnął Ascher. — Nie, nie! Ktoś mnie obszczekał. Przekłęte angielskie świnie! Wszyscy jesteście przeciwko mnie. Nie zabiłem jej! Nie zabiłem!

— Ale nieraz jej się odgrażałeś, Ascher.

— Nie, nie! Wy nic nie rozumiecie. Przecież to były żarty. Całkiem zwyczajne żarty między mną i Alicją. Ona to rozumiała.

— Dostyc dziwne żarty. A może zechcesz nam powiedzieć, Ascher, jak spędziłeś wczorajszy wieczór?

— Pewnie, że powiem. Pewnie! Nie byłem wcale u Alicji ani nawet na tamtej ulicy. Cały czas byłem z kumplami. Z dobrymi kumplami... Najprzód Pod Siedmioma Gwiazdami, a potem... potem Pod Czerwonym Psem — mówił coraz prędzej, jękał się, połykał słowa.

— Był ze mną Dick Willows i stary Curdie, i George, i Platt, i cała kupa innych. Powiadam, że u Alicji wcale nie byłem ani nawet na tamtej ulicy. *Mein Gott!** To szczerą prawdą.

Znowu rozplakał się i zaczął wykrzykiwać jakieś niezrozumiałe słowa. Inspektor Glen skinął na policjanta.

— Wyprowadzić go — powiedział. — Zatrzymać jako podejrzanego.

— Nie wiem, doprawdy, co o tym sądzić — podjął, kiedy wyprowadzono obrzydliwego roztrzęsionego starca.

— Gdyby nie ten list, powiedziałbym stanowczo: to Ascher.

— Wymienił jakieś nazwiska. Co pan wie o tych ludziach? — zapytał Poirot.

— Łotry spod ciemnej gwiazdy. Żaden nie wystraszy się krzywoprzysięstwa. Nie wątpię zresztą, że w ich kompanii spędził znaczną część wieczoru. Wszystko zależy od tego, czy ktoś widział go w pobliżu sklepu żony między siedemnastą trzydzieści a osiemnastą.

— Jest pan pewien, że nic nie zginęło ze sklepu?

— Poirot z powątpiewaniem pokręcił głową.

— To zależy — inspektor wzruszył ramionami.

— Mogło zginąć kilka paczek papierosów, ale dla takiego drobiazgu nikt przecież nie popełnia morderstwa.

— I nic... jak by się tu wyrazić?... Nic nie przybyło w sklepie? Nic, co by tam nie pasowało?

— Owszem. Znaleźliśmy kolejowy rozkład jazdy — powiedział inspektor.

— Rozkład jazdy?

— Tak. Leżał na ladzie, grzbietem do góry. Wyglądało to tak, jakby ktoś szukał pociągu z Andover. Mogła to zrobić pani Ascher albo jakiś klient.

— Czy ona miała w sklepie takie rozkłady jazdy?

— Nie. Tylko lokalne, za pensa. A to był duży rozkład, taki, jakie się kupuje u Smitha albo w innych większych firmach.

Nagły błysk zajaśniał w oczach Poirot. Zerwał się z krzesła.

— Rozkład jazdy! — zawołał. — Czy to był Bradshaw, czy ABC?

Światło zrozumienia błysnęło również w oczach inspektora.

— Na Boga! — powiedział. — ABC.

Rozdział V

Mary Drower

Sądzę, że naprawdę zainteresowałem się sprawą dopiero dzięki kolejowemu rozkładowi jazdy ABC. Uprzednio nie entuzjazmowałem sienią wcale. O takich ponurościach jak morderstwo starej kobiety w sklepiku przy bocznej ulicy gazety pisywały nieraz, nie widziałem w tym więc nic szczególnie ciekawego. List anonimowy wspominający o dacie dwudziestego pierwszego czerwca uważałem za zwykły zbieg okoliczności. Byłem przekonany, że pani Ascher padła ofiarą męża — pijaka i awanturnika. Ale wzmianka o rozkładzie jazdy (zwanym potocznie ABC dlatego, że wykazywał wszystkie stacje w porządku alfabetycznym) wywarła na mnie silne wrażenie. Trudno uwierzyć, że był to zbieg okoliczności. Ponura zbrodnia zaczynała się przedstawiać w innym świetle.

Kim mógł być tajemniczy osobnik, który zabił panią Ascher i jako ślad po sobie zostawił kolejowy rozkład jazdy?

Z komisariatu policji udaliśmy się przede wszystkim do kostnicy, aby zobaczyć ciało ofiary. Kiedy spojrzałem na pomarszczoną, starą twarz i rzadkie, siwe włosy gładko zaczesane do góry, ogarnęło mnie dziwne uczucie. Twarz ta miała wyraz spokojny, niesłychanie daleki od jakiegokolwiek myśli o gwałcie.

— Nie wiedziała, kto i czym ją uderzył — szepnął sierżant. — Tak twierdzi doktor Kerr. Biedna! Dobrze, że tak się stało. To była bardzo porządna kobieta.

— W młodości musiała być bardzo piękna wiedział Poirot.

— Naprawdę? — zapytałem niedowierzająco.

— Na pewno. Spójrz na owal twarzy, pięknie zarysowany nos i kształt czaszki.

Poirot westchnął i zakrył zwłoki prześcieradłem, po czym opuściliśmy kostnicę.

Z kolei odbyliśmy krótką rozmowę z lekarzem policyjnym. Doktor Kerr był pewnym siebie mężczyzną w średnim wieku. Mówił szybko i tonem stanowczym:

— Narzędzia zbrodni nie znaleziono. Równie dobrze mogła to być ciężka laska, jak kij golfowy albo cegła.

— Czy zadanie tego ciosu wymagało znacznej siły?

— Myśli pan o tym — lekarz bystro spojrzał na Poirota — czy roztrzęsiony siedemdziesięcioletni starzec mógł to zrobić? Tak, naturalnie. Jeżeli broń była dostatecznie ciężka, nawet osobnik zupełnie słaby mógł łatwo osiągnąć zamierzony cel.

— A zatem zbrodni mógł dokonać zarówno mężczyzna, jak kobieta?

Doktor był wyraźnie zaskoczony.

— Co? Kobieta?... Przyznaję, że nie przyszło mi do głowy, by tego rodzaju zbrodnię łączyć z kobietą. Ale to nie jest wykluczone... bynajmniej niewykluczone. Tylko z psychologicznego punktu widzenia nie zdaje mi się, by mogła to zrobić kobieta.

— Słusznie, zupełnie słusznie — Poirot z przekonaniem przytaknął ruchem głowy. — W gruncie rzeczy to mało prawdopodobne. Jednak trzeba brać pod uwagę wszelkie ewentualności. Jak leżały zwłoki?

Doktor opisał nam dokładnie pozycję ciała. Jego zdaniem, pani Ascher stała za kontuarem odwrócona plecami do napastnika w momencie, gdy ten zadawał cios. Padając znalazła się za ladą i nikt przypadkowo wchodzący do sklepu nie mógł jej dostrzec.

— Widzisz, Hastings — oznajmił Poirot, gdy pożegnaliśmy już doktora. — Znowu zdobyliśmy coś, co przemawia za niewinnością Aschera. Gdyby wymyślał żonie i groził jej, byłaby zwrócona twarzą do niego. Tymczasem stała plecami do napastnika. Niewątpliwie sięgała po tytoń lub papierosy dla klienta.

— Makabra! — wzdrynąłem się lekko.

— *Pauvre femme!** — mruknął Poirot smutno kiwając głową; potem spojrzał na zegarek. — Jak mi się zdaje, do Overton jest tylko parę mil. Pojedziemy tam chyba i porozmawiamy z siostrzenicą nieboszczki.

— Ale najprzód zobaczymy chyba sklep, gdzie popełniono zbrodnię?

— Wolę odłożyć to na później. Mam swoje racje. Poirot nie wyjaśniał mi tych racji. W kilka minut później jechaliśmy samochodem szosą londyńską w kierunku Overton.

Dom, którego adres dał nam inspektor, był obszerny i stał mniej więcej milę za miastem w kierunku Londynu. Drzwi otworzyła nam ładna, ciemnowłosa dziewczyna z oczyma zaczerwienionymi od płaczu.

— Dzień dobry — zaczął Poirot łagodnym tonem. — Myślę, że mówię z panną Mary Drower, pokojową w tym domu?

— Tak, proszę pana, to ja.

— Chciałbym porozmawiać z panią kilka minut, jeżeli naturalnie pani chlebodawczyni pozwoli na to. Chodzi o pani ciotkę, panią Ascher.

— Pani wyszła, proszę pana. Ale na pewno pozwoliłaby mi poprosić panów tutaj.

Otworzyła drzwi małego saloniku. Gdy weszliśmy tam, Poirot usiadł na krześle pod oknem i bystro

spojrzał w twarz dziewczyny.

— Oczywiście słyszała pani o śmierci swojej ciotki? — zapytał.

Mary skinęła głową i łzy napłynęły jej znów do oczu.

— Dowiedziałam się dziś rano, proszę pana. Policja była tutaj. To okropne, okropne... Biedna ciocia! Miała takie ciężkie życie, a teraz to... Okropne!

— Policja nie żądała, by pojechała pani do Andover?

— Powiedzieli tylko, że muszę stawić się na śledztwie w poniedziałek. Strasznie boję się tam jechać. Nie mogę sobie wyobrazić, jak potrafiłabym teraz wejść do mieszkania nad sklepem... Poza tym kucharka jest na urlopie i nie chciałabym zostawiać pani samej.

— Bardzo była pani przywiązana do ciotki? — dopytywał się łagodnie Poirot.

— O, tak, proszę pana. Bardzo! Ciocia zawsze była dla mnie taka dobra. Jak przyjechałam do niej do Londynu po śmierci mamusi, miałam jedenaście lat. Kiedy skończyłam szesnaście, poszłam na służbę, ale zawsze w wolne dni odwiedzałam ciotkę. Ona miała okropne życie z tym Niemcem. Nazywała go „mój stary diabeł”. Nigdy nie dawał jej spokoju. Ciągnął z niej pieniądze, straszył ją... Stary łajdak!

Dziewczyna mówiła z wyraźną niechęcią.

— Czy pani ciotka nie myślała o uwolnieniu się od męża na drodze prawnej?

— Widzi pan, mąż to mąż, na to nie ma rady — powiedziała Mary ze stanowczą prostotą.

— Proszę powiedzieć, panno Mary, czy Ascher odgrażał się żonie?

— O, tak, proszę pana. Często wygadywał okropne rzeczy: że poderżnie jej gardło albo coś takiego. A przy tym strasznie klął po niemiecku i po angielsku. Ciocia opowiadała, że jak się z nią zenił, był przystojnym, szykownym mężczyzną. Strach pomyśleć, jak się ludzie zmieniają.

— Słusznie, panno Mary, zupełnie słusznie. A myślę, że skoro często bywała pani świadkiem takich awantur, nie zaskoczyła pani wiadomość o tym, co się stało?

— Ależ tak, proszę pana. Bardzo się zdziwiłam. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że to były groźby na serio. Myślałam, że to tylko taka gadanina i nic więcej. Ciocia też wcale go się nie bała. Kiedy ostro brała się do niego, uciekał jak niepyszny. To on bał się jej, nie ona jego.

— Ale mimo wszystko dawała mu pieniądze?

— Przecież był jej mężem, proszę pana.

— Już mi to pani raz powiedziała — Poirot umilkł na chwilę. Przypuśćmy, że mimo wszystko nie

on ją zabił...

— Nie on? — zdziwiła się dziewczyna.

— Właśnie. Przypuśćmy, że mordercą był ktoś inny... Czy nie domyśla się pani, kto to mógł być?

Mary spojrzała na niego z jeszcze większym zdziwieniem.

— Nie, nie domyślałam się. I wydaje mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

— Czy pani ciotka nie obawiała się nikogo?

— Ciocia w ogóle nie bała się ludzi — Mary pokręciła głową. — Miała ostry język i umiała sobie radzić.

— A nie słyszała pani, żeby mówiła o kimś, kto miał do niej urazę?

— Nie, proszę pana.

— Czy dostawała listy anonimowe?

— Jakie, proszę pana?

— Listy nie podpisane albo podpisane na przykład „A.B.C.”

Poirot obserwował ją bacznie, ale dziewczyna nie orientowała się najwidoczniej, o co chodzi. Z powątpiewaniem kręciła głową.

— Czy pani Ascher miała jakichś krewnych prócz pani?

— Nie, proszę pana. Miała dziewięcioro rodzeństwa, ale chowało się ich tylko czworo. Wujek Tom zginął na wojnie, a wujek Harry wyjechał do Południowej Ameryki i ślad po nim zaginął. Moja matka nie żyje. Jediną krewną jestem ja.

— Czy ciotka miała jakieś oszczędności, odłożone pieniądze?

— Miała trochę oszczędności, proszę pana. Zawsze mówiła, że tyle, by starczyło na przyzwoity pochówek. Poza tym wiązała tylko jakoś koniec z końcem. Widzi pan, dużo kosztował ją ten stary diabeł.

Poirot ze zrozumieniem pokiwał głową i powiedział bardziej do siebie niż do Mary:

— Na razie brodzimy w ciemności. Nie mamy żadnych wskazówek. Jeżeli coś się wyjaśni... — wstał z krzesła. — Jeżeli byłaby mi pani potrzebna, panno Mary, pozwolę sobie napisać do pani.

— Prawdę rzekłszy, proszę pana, dziś jeszcze wymówię służbę. Nie lubię tej okolicy. Przyjechałam tutaj, bo myślałam, że ciocia będzie przyjemnie mieć mnie w pobliżu. Ale teraz... — ły

napłynęły znowu do jej oczu. — Nic mnie tutaj nie trzyma. Wróć do Londynu. Tam znacznie weselej.

— Jak się pani urządzi w Londynie, proszę przysłać mi swój adres. Oto mój bilet wizytowy.

Dał jej kartę wizytową, na którą dziewczyna zerknęła ze zmarszczonymi brwiami.

— To pan nie z policji?

— Nie, jestem prywatnym detektywem. Przez chwilę przyglądała mu się bez słowa.

— Czy, proszę pana, w tej sprawie jest coś dziwnego? — zapytała wreszcie.

— Tak, moje dziecko. W tej sprawie jest coś bardzo dziwnego. W przyszłości może mi pani pomóc.

— Chętnie zrobię wszystko, proszę pana. To bardzo nieładnie, że ciocia została zamordowana.

W kilka minut później, kiedy wracaliśmy już do Andover, pomyślałem, że było to sformułowanie niezwykle, lecz wzruszające.

Rozdział VI

Miejsce zbrodni

Uliczka, przy której zdarzyła się tragedia, była boczną główną arterią miasta. Sklep pani Ascher leżał po prawej stronie, mniej więcej w połowie tej uliczki. Kiedy zbliżaliśmy się tam, Poirot spojrzął na zegarek, ja zaś w tym momencie zrozumiałem, dlaczego wizję lokalną mój przyjaciel odkładał do tej pory. Była siedemnasta trzydzieści. Poirot chciał odtworzyć wczorajszą atmosferę tak dokładnie, jak to tylko możliwe. Jeżeli jednak istotnie miał taki zamiar, doznał porażki. Uliczka wyglądała zupełnie inaczej niż poprzedniego wieczoru. Między prywatnymi domami było na niej kilka małych prywatnych sklepików przeznaczonych dla ubogiej ludności. W normalnych okolicznościach musiało tu być niewielu przechodniów; tylko liczna dziatwa bawiła się na chodnikach i na jezdni.

Obecnie gęsty tłumek stał i gapił się na jakiś dom i sklep. Nie trzeba było wielkiej bystrości, by odgadnąć, na jaki. Grupa przeciętnych istot ludzkich przyglądała się miejscu, w którym inna istota ludzka straciła życie. Przed nędznie wyglądającym sklepikiem z opuszczonymi żaluzjami stał, wyraźnie bardzo zmęczony, policjant i raz po raz nawoływał ludzi, by się rozeszli. Od czasu do czasu któryś z gapiów odchodził niechętnie do swoich codziennych zajęć, niezwłocznie jednak nadchodzili inni, aby z bliska obejrzeć miejsce, gdzie dokonano zbrodni.

Poirot zatrzymał się w pewnej odległości od tłumu. Z miejsca, na którym stanęliśmy, wyraźnie było widać szyld nad sklepikiem. Odczytał go szeptem:

— A. Ascher. *Oui, c'est peut-être la...** — urwał nagle. — Wejźmy do środka, Hastings.

Posłuchałem go skwapliwie. Przepisnęliśmy się przez tłum i zatrzymaliśmy przed policjantem. Poirot pokazał mi zaświadczenie wydane przez inspektora. Policjant kiwnął głową, odryglował drzwi i wpuścił nas do wnętrza. Ku wielkiemu zainteresowaniu gapiów weszliśmy tam.

Przy zapuszczonych żaluzjach w sklepie było prawie zupełnie ciemno. Policjant znalazł wyłącznik, ale słaba żarówka niewiele dawała światła. Rozejrzałem się dookoła. Była to bardzo uboga trafika. Kilka tanich miesięczników, wczorajsze gazety, tytoń, papierosy — wszystko już lekko pokryte kurzem. Na półkach stały także dwa słoje z pastylkami miętowymi i ślazówkami. Zwyczajny, mały sklepik, taki, jakich jest tysiące.

Policjant zaczął nam objaśniać sytuację.

— Leżała tam, za ladą. O, tam! Doktor mówi, że nawet mogła nie wiedzieć, kto ją uderzył. Prawdopodobnie sięgała właśnie na półkę.

— Czy miała coś w ręku?

— Nie, proszę pana, ale obok niej leżała paczka Playersów.

Poirot skinął głową. Oczywiście myszkował dokoła, jak gdyby czynił w pamięci notatki.

— A gdzie leżał rozkład jazdy? — zapytał?

— Tutaj, proszę pana — policjant wskazał miejsce na ladzie. — Leżał grzbietem do góry, otwarty na stronie, gdzie jest Andover. Tak wygląda, jak gdyby ktoś szukał pociągu do Londynu. Jeżeli tak, to klient mógł być przyjezdny, wcale nie z Andover. Naturalnie, rozkład jazdy mógł też należeć do kogoś zupełnie innego, kto nie miał nic wspólnego z zabójstwem, tylko zapomniał go tutaj.

— Co z odciskami palców? — wtrąciłem.

— Zbadano zaraz cały sklepik, proszę pana. Ale nic nie znaleziono.

— Nawet na ladzie? — zapytał Poirot.

— Na ladzie śladów było aż za dużo, proszę pana. Wszystkie zatarte i pomieszane.

— Były między nimi ślady Aschera?

— Jeszcze za wcześnie, żeby to powiedzieć, proszę pana.

Poirot skinął głową i zapytał po chwili, czy nieboszczka mieszkała nad sklepem.

— Tak. Do mieszkania idzie się tymi drzwiami w głębi. Bardzo przepraszam, że nie będę panom towarzyszył, ale muszę zostać tutaj.

Poirot ruszył w stronę wskazanych drzwi, a ja za nim. Za sklepem znajdowała się maleńka, połączona z kuchenką bawialnia, bardzo porządna i czysta, lecz ciemna i skąpo umeblowana. Na półce nad kominkiem stało parę fotografii. Podszedłem, aby je obejrzeć; Poirot stanął obok mnie.

Fotografii było trzy: tani portrecik dziewczyny, z którą rozmawialiśmy dzisiaj przed południem; ubrana w świąteczną suknię Mary Drower miała na twarzy drewniany uśmiech, który tak często psuje pozowane zdjęcia i stawia je niżej niż amatorskie. Druga fotografia przedstawiała artystycznie upozowaną starszą damę o siwych włosach; szyję jej otaczał puszysty futrzany kołnierz. Domyśliłem się, że to droższe zdjęcie przedstawia pannę Rose, która zostawiła pani Ascher niewielki spadek i umożliwiła otwarcie trafiki. Trzecia fotografia była bardzo stara, pożółkła i wyblakła. Młoda para w staroświeckich strojach stała na niej ramię w ramię. Mężczyzna miał biały kwiat w butonierce, obydwójce zaś bardzo świąteczne miny.

— Niewątpliwie fotografia ślubna — stwierdził Poirot. — Spójrz, Hastings! Mówiłem, że to musiała być piękna kobieta.

Miał słuszość. Mimo staroświeckiego uczesania i niemodnej sukni widać było, że dziewczyna na zdjęciu jest bardzo przystojna, ma regularne rysy i szlachetną postawę. Uważnie przyjrzałem się mężczyźnie. W tym młodym człowieku o wojskowej postawie trudno było rozpoznać zgrzybiałego

Aschera. Przypomniałem sobie roztrzęsionego pijaka i zniszczoną, pomarszczoną twarz staruszki. Wzdrygnąłem się mimo woli na myśl o bezlitosnym zębie czasu.

Z bawialni schody prowadziły do dwóch pokoi na piętrze. Jeden z nich był pusty, nie umeblowany, drugi stanowił najwidoczniej sypialnię pani Ascher. Po rewizji policja zostawiła go w takim stanie, w jakim zastała. Na łóżku leżały dwa stare koce, w szufladach komody było niewiele mocno zniszczonej bielizny, jakieś kwity i oprawna w karton powieść pod tytułem „Zielona oaza”. Na blacie leżała para nowych, tragicznych w swej taniej okazałości pończoch i kilka porcelanowych drobiazgów: mocno uszkodzony dreздеński pasterz i pies w niebiesko–żółte łaty. W szafie wisiał czarny płaszcz nieprzemakalny oraz żółty sweter.

Takie były dobra doczesne nieboszczki Alicji Ascher. Nigdzie nawet śladu żadnych papierów osobistych. Widocznie zabrała je policja.

— *Pauvre femme!* — mruknął Poirot. — Chodź, Hastings! Nie mamy tu nic do roboty.

Na ulicy zawahał się chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę. Niemal naprzeciw trafiki pani Ascher mieścił się sklep zieleniarski, jeden z tych, które mają więcej towaru na zewnątrz niż wewnątrz.

Stłumionym głosem Poirot udzielił mi pewnych instrukcji i wszedł do sklepu. Pospieszyłem za nim w minutę później. Zakupywał właśnie główkę sałaty. Ja poprosiłem o funt truskawek.

Mój przyjaciel z ożywieniem rozmawiał z obsługującą go tęgą kobietą.

— Mój Boże! — mówił. — Morderstwo zdarzyło się akurat naprzeciwko pani! Akurat naprzeciwko. Straszna historia! A jaka to musiała być sensacja...

Tęga niewiasta musiała mieć dość morderstwa. Niewątpliwie wałkowała ten temat przez cały dzień.

— Najlepiej byłoby, gdyby ci gapie poszli do swoich zajęć — powiedziała niechętnie. — Przecież tam nie ma nic do oglądania.

— Wczoraj wieczorem ulica musiała wyglądać całkiem inaczej — podjął Poirot. — Może nawet widziała pani, jak morderca wchodził do trafiki? Taki wysoki blondyn, z brodą. Podobno Rosjanin.

— Co? — sklepikarka ożywiła się znacznie. — Powiada pan, że Rosjanin?

— Słyszałem, że już aresztowany.

— No, patrzcie ludzie! Naturalnie cudzoziemiec!

— A tak, tak... Może go pani nawet widziała wczoraj wieczorem?

— Po prawdzie nie mam czasu, żeby się gapić. Pod wieczór mamy największy ruch, bo ludzie wracają z pracy do domu. Wysoki blondyn z brodą?... Nie, chyba nikogo takiego nie widziałam.

W tym momencie, zgodnie z otrzymanymi wskazówkami, wtrąciłem się do rozmowy.

— Bardzo przepraszam — zwróciłem się do Poirota — ale zdaje mi się, że szanowny pan jest w błędzie. Mnie mówiono o niskim brunecie.

Zdanie to rozpoczęło ożywioną dyskusję z otyłą sklepikarka i subiektem odznaczającym się szczególnie ochryplym głosem. Okazało się, że ludzie ci widzieli co najmniej trzech niskich brunetów, a subiekt nawet rosłego blondyna, który (jak z żalem wyjaśnił) nie miał jednak brody. W rezultacie dokonaliśmy zakupów i wyszliśmy ze sklepiku nie prostując naszych kłamstw.

— I po co ta cała heca, Poirot? — zapytałem tonem wyrzutu.

— Nie rozumiałeś? Chciałem ocenić szansę zauważenia kogoś obcego, kto wchodził do sklepu po przeciwnej stronie ulicy.

— Nie mogłeś zapytać po prostu, bez tylu kłamstw?

— Nie, przyjacielu. Gdybym, jak się wyraziłeś, zapytał po prostu, nie otrzymałbym odpowiedzi na żadne pytanie. Jesteś Anglikiem, a nie zdajesz sobie sprawy, jak przeciętny Anglik reaguje na bezpośrednie pytanie. Niezwłocznie staje się podejrzliwy i co z tego wynika: milczący. Gdybym poprosił tych ludzi o informacje, zamknęliby się jak ostrygi. Ale moje niezwykle i absurdalne twierdzenie, poparte twoim przeczeniem, niezwłocznie rozwiązało języki. Dowiedzieliśmy się, że wieczór jest godziną ruchu, sporo osób kręci się po chodniku i każdy zajęty jest własnymi sprawami. Nasz morderca wybrał odpowiednią porę — umilkł na chwilę i podjął tonem wyrzutu. — Że też nigdy nie masz ani krzty zdrowego rozsądku! Powiedziałem: zrób jakiś drobny sprawunek, a ty musiałeś wybrać truskawki. Z torby ciecze już sok na twój elegancki garnitur.

Z przerażeniem zorientowałem się, że jest tak istotnie. Spiesznie podarowałem truskawki jakiemuś małemu chłopcu, który zrobił zdziwioną i trochę podejrzliwą minę. Poirot dołożył sałatę, czym wprowadził dziecko w zupełne osłupienie.

— Truskawek nie kupuje się u podrzędnego zieleniarza — ciągnął mój przyjaciel mentorskim tonem. — Truskawki muszą być świeżo zbierane. Inaczej wydzielają sok. Mogłeś poprosić o banan, jabłka, bodaj o kapustę, ale nigdy o truskawki.

— Było to pierwsze, co mi przyszło do głowy — odparłem.

Mój przyjaciel przystanął na chodniku. Dom i sklep po prawej stronie sklepiku pani Ascher były wolne. W oknach wisiały kartki z napisem „Do wynajęcia”. Okna domu po drugiej stronie były ozdobione przybrudzonymi muślinowymi firankami.

Poirot skierował kroki na ganek tego domu. Ponieważ nie było dzwonka, kilka razy uderzył mocno kołatką. Po pewnym czasie drzwi otworzył bardzo brudny i usmarkany chłopiec.

— Dobry wieczór — powiedział Poirot. — Mamusia w domu?

— Aha — odpowiedziało dziecko spoglądając na nas z niechętną podejrzliwością.

— Poproś mamusię.

Po kilku sekundach chłopiec zrozumiał, odwrócił się i wrzasnąwszy:

— Mama, do ciebie! — zniknął w mrocznym wnętrzu domu.

Kobieta o ostrych rysach wyjrzała zza balustrady schodów i zaczęła schodzić.

— Na próżno marnujecie czas... — zaczęła, lecz Poirot przerwał jej uprzejmie.

— Dobry wieczór łaskawej pani — powiedział zdejmując wdzięcznym ruchem kapelusz. — Jestem z redakcji „Błyskawicy Wieczornej”. Pragnę skłonić panią do przyjęcia honorarium w wysokości pięciu funtów za artykuł o pani zmarłej sąsiadce, pani Ascher.

Gniewne słowa zamarły na ustach kobiety, która zeszła na parter przyglądając włosy i fałdy sukni.

— Proszę do pokoju, bardzo proszę — mówiła. — Panowie zechcą usiąść, bardzo proszę.

Mały pokoik był zatłoczony garniturem olbrzymich, pseudoantycznych mebli, ale udało nam się jakoś precyzyjnie między rupieciami i zająć miejsca na bardzo twardej sofie.

— Panowie mi wybaczą — ciągnęła kobieta — że z początku zaczęłam tak ostro, ale nie mają panowie pojęcia, ile kłopotu jest z różnymi włączkami, co chodzą po domach i usiłują sprzedać najróżniejsze rzeczy: odkurzacze, pończochy, perfumy i Bóg wie co jeszcze. Wszyscy są tacy elegancy i dobrze wychowani. Skądś dowiadują się nazwisk, przychodzą i od razu zaczynają: „Szanowna pani Fowler...”

— Otóż, pani Fowler — Poirot zręcznie podchwycił nazwisko — mam nadzieję, że zechce pani przychylić się do mojej prośby.

— Bardzo chętnie, szanowny panie, ale... nie wiem doprawdy — widocznie pięciofuntowy banknot kusił wyobraźnię pani Fowler. — Naturalnie, znałam panią Ascher, ale żeby zaraz coś napisać...

Poirot uspokoił ją skwapliwie. Artykuł nie wymaga żadnej pracy. On sam wysonduje fakty i spisze cały wywiad.

Uspokojona w ten sposób pani Fowler zaczęła snuć wspomnienia.

— Pani Ascher trzymała się zawsze na uboczu. Trudno byłoby ją nazwać osobą towarzyską, ale to zrozumiałe, bo miała przecież ciężkie życie. Biedaczka! Cała ulica dobrze o tym wiedziała. Prawdę mówiąc, tego Franza Aschera należałoby zamknąć już wiele lat temu. Pani Ascher wcale się go nie bała, o, nie! Sama potrafiła być straszna, kiedy się rozgniewała. Właściwie to nikt niczego się nie bał, ale poty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie.

— A bo to raz mówiłam — ciągnęła pani Fowler — „Kochana pani Ascher, pewnego pięknego dnia ten chłop na pewno panią wykończy. Wspomni pani moje słowa!” I co się stało? Wykończył ją,

prawda? A ja siedziałam przez cały czas przez ścianę i nic a nic nie słyszałam!

Podczas krótkiej pauzy Poirot zdołał przemycić pytanie, czy pani Ascher otrzymywała kiedy listy nie podpisane albo podpisane na przykład tylko „A.B.C.”

Pani Fowler odpowiedziała przecząco i jak gdyby z żalem.

— Wiem, o co panu chodzi. Takie listy nazywają się anonimy. Najczęściej pełno takich słów, że aż się człowiek rumieni. Czy ja wiem? Chyba Franz Ascher nigdy nie pisał takich listów. A jeżeli nawet pisał, to jego żona nigdy mi się nie zwierzała. I o co panu jeszcze chodzi? O rozkład kolejowy ABC? Nie, nigdy takiego rozkładu nie widziałam u pani Ascher, a pewno bym zauważyła, gdyby go miała. Słowo daję, o mało co nie zemdlałam, jak usłyszałam o tej całej historii. Moja córeczka, Eda, przybiegła do mnie. „Mama — woła — u pani Ascher pełno policjantów!” Aż mnie ciarki przeszły. „A mówiłam — powiadam, jak usłyszałam o tym — że ona sama nigdy nie powinna była być w domu. Powinna z nią mieszkać ta siostrzenica. Pijany chłop jest czasem gorszy od wściekłego wilka”. Moim zdaniem ten jej pijaczyna—mąż to całkiem jak dziki zwierz. A ostrzegałam ją, ostrzegałam nie raz i nie dwa. I stanęło na moim. „On kiedy panią wykończy, jak nic wykończy, kochana pani Ascher” — powtarzałam nie raz i nie dwa. No i wykończył. Widzą panowie, do czego to chłop jest zdolny, jak się upije? Nic nie dowodzi tego jaśniej, jak to morderstwo!

Pani Fowler zakończyła swoją tyradę głębokim westchnieniem.

— O ile mi wiadomo, nikt nie widział, żeby Ascher wchodził do sklepu — powiedział Poirot.

— A pewnie! Przecież nie chciał się pokazywać — odpowiedziała kobieta wruszając pogardliwie ramionami, nie wytłumaczyła jednak, jak Ascher mógł wejść do sklepu nie będąc widziany.

Przyznała, że dom nie miał drugiego wyjścia, a Ascher był doskonale znany na całej ulicy.

— Ale on też o tym wiedział — ciągnęła — i na pewno przyszedł chyłkiem.

Przez jakiś czas Poirot podtrzymywał jeszcze konwersację, kiedy jednak jasne było, że wszystko, co jej wiadomo, pani Fowler powtórzyła kilka razy, zakończył wywiad i uiścił obiecanie honorarium.

— Pięć funtów jak gdyby wyrzucone w błoto — zacząłem nieśmiało, gdy ponownie znaleźliśmy się na ulicy.

— Jak dotąd, tak.

— Sądzisz, że ona wie więcej, niż nam powiedziała?

— *Mon ami*, jesteśmy w szczególnej sytuacji: nie mamy pojęcia, jakie zadawać pytania. Przypominamy małe dzieci bawiące się w ciuciubabkę. Wyciągamy ręce i szukamy po omacku. Pani Fowler jest przekonana, że powiedziała nam wszystko, co jej było wiadome. Rozjaśniła nam bardzo niewiele, ale w przyszłości jej zeznania mogą okazać się pożyteczne. Rozumiesz, przyjacielu? Pięć funtów zainwestowałem w przyszłość.

Nie bardzo rozumiałem, ale nim zdążyłem poprosić o wyjaśnienia, natknęliśmy się na inspektora Glena.

Rozdział VII

Pan Partridge i pan Riddell

Inspektor Glen miał posępną minę. Jak się okazało, popołudnie strawił na kompletowaniu listy osób, które były owego dnia w trafice.

— I nie zauważono nikogo podejrzanego? — zapytał Poirot.

— Aż za wielu! Widziano trzech wysokich mężczyzn skradających się ukradkiem. Czterech niskich brunetów z wielkimi wąsami. Dwóch brodaczy i trzech grubasów. Wszyscy byli najzupełniej obcy. Według słów świadków mieli wysoce podejrzaną minę. Dziwne, że nikt nie widział bandy zamaskowanych opryszków z rewolwerami!

Poirot uśmiechnął się ze współczuciem.

— Czy ktoś widział Aschera?

— Nie, nikt. I to przemawia na jego korzyść. Przed chwilą powiedziałem naszemu komendantowi, że moim zdaniem to praca dla Scotland Yardu. Nie sądzę, żeby to była lokalna zbrodnia.

— Tak i ja myślę, inspektorze — przyznał poważnie Poirot.

— Tak, tak, panie Poirot, to paskudna sprawa. Bardzo paskudna. Wcale mi się nie podoba.

Przed powrotem do Londynu odbyliśmy jeszcze dwie rozmowy.

Uczestnikiem pierwszej był pan James Partridge — o ile wiadomo ostatnia osoba, która widziała panią Ascher przy życiu. Kupował coś w trafice o godzinie siedemnastej trzydzieści.

Pan Partridge, z zawodu urzędnik bankowy, był drobnym i wyjątkowo mizernym mężczyzną. Nosił binokle, a wyrażał się nad wyraz poprawnie i ściśle. Mieszkał w małym domku równie czystym i wymuskany, jak on sam.

— Pan... ehem... Poirot — powiedział rzuciwszy okiem na bilet wizytowy mojego przyjaciela. — Z polecenia pana inspektora Glena... Czym mogę służyć, panie Poirot?

— O ile mi wiadomo, panie Partridge, jest pan ostatnią osobą, która widziała panią Ascher przy życiu.

Pan Partridge przechylił na bok głowę i spojrzał tak podejrzliwie, jak gdyby słynny detektyw był wątpliwym czekiem.

— To, panie Poirot, fakt nie ustalony — powiedział. — Zupełnie nie ustalony. Wiele osób mogło

czyścić zakupy w trafice pani Ascher po mnie.

— Jeżeli nawet tak było, żadna z tych osób nie zwróciła się do policji.

— Nie wszyscy, panie Poirot, mają poczucie obowiązku społecznego — pan Partridge chrząknął znacząco i jak sowa spojrzął na nas znad binokli.

— Najświętsza prawda! — potwierdził z przekonaniem Poirot. — O ile mi wiadomo, zgłosił się pan do policji z własnej woli?

— Oczywiście. Gdy tylko usłyszałem o tym przerażającym wydarzeniu, zorientowałem się, że moje zeznanie może być przydatne, wobec czego udałem się do komisariatu.

— Czyn godny najwyższej pochwały! — rzekł uroczyście Poirot. — Może będzie pan tak uprzejmy i łaskawie powtórzy mi wszystko, co panu wiadomo.

— Z miłą chęcią. Do domu wracałem dokładnie o godzinie siedemnastej trzydzieści...

— Bardzo przepraszam, dzięki czemu określił pan czas tak ściśle?

Pan Partridge spojrzął niechętnie. Był widocznie urażony, że Poirot mu przerywa.

— Właśnie bił zegar na kościelnej wieży. Spojrzałem na swój zegarek i stwierdziłem, że spóźnia się minutę. Działo się to na kilka sekund przed moim wejściem do trafiki pani Ascher.

— Czy zwykle załatwiał pan tam sprawunki?

— Stosunkowo często. Trafika ta jest mi po drodze. Dwa razy na tydzień kupowałem u pani Ascher dwie uncje tytoniu fajkowego.

— A właścicielkę sklepu znał pan dobrze? Wiedział pan coś o jej warunkach życiowych lub przeszłości?

— Absolutnie nic. Rozmawiałem z nią jedynie o moim sprawunku lub wymieniałem uwagi o pogodzie.

— Wiedział pan może, że miała męża pijaka, który często odgrażał się, że ją zabije?

— Nie. O pani Ascher nie wiedziałem absolutnie nic.

— Ale w każdym razie dobrze ją pan znał z widzenia. Czy tamtego wieczoru nie spostrzegł pan w jej powierzchowności czegoś, co by zwracało uwagę? Może odniósł pan wrażenie, że jest przygnębiona lub niespokojna?

Pan Partridge zastanowił się poważnie i odpowiedział:

— O ile byłem w stanie wyrobić sobie pogląd, pani Ascher wyglądała zupełnie tak samo, jak

zwykle.

Poirot wstał.

— Bardzo dziękuję, panie Partridge, za wyczerpujące odpowiedzi na moje pytania. Czy ma pan może w domu rozkład kolejowy ABC? Pragnę upewnić się o godzinie odjazdu pociągu do Londynu.

— Rozkład stoi tuż za panem, na półce.

Na wskazanej półce był istotnie rozkład ABC oraz Bradshaw, Rocznik Giełdowy, słownik Kelly'ego i miejscowy informator.

Poirot sięgnął po ABC, udał, że szuka pociągu, i wreszcie podziękowawszy uprzejmie pożegnał się z gospodarzem.

Następnie przeprowadziliśmy rozmowę z panem Albertem Riddellem. Miała ona zupełnie odmienny charakter. Pan Albert Riddell — niezgrabny, ogromnego wzrostu mężczyzna o nalanej twarzy i małych, chytrych oczkach — był sztukatorem. Konwersacja nasza odbywała się przy akompaniamencie zmywanych przez wyraźnie zdenerwowaną panią Riddell naczyń i sztućców. Urozmaicało ją dodatkowo szczekanie psa i nie skrywana bynajmniej niechęć samego pana Riddella. Kiedy przyszliśmy, zjadał dużą porcję mięsa, które popijał niezwykle czarną herbatą. Pierwsze wrogie spojrzenie powstał nam znad uniesionej od ust filiżanki.

— Przecież raz powiedziałem już wszystko, co wiedziałem — warknął. — Ta cała sprawa nic mnie nie obchodzi. Nie mój interes. Glinom powiedziałem wszystko, a teraz znów mam gadać z jakimiś cudzoziemcami!

Poirot zerknął na mnie filuternie i podjął:

— Rozumiem to i serdecznie panu współczuję. Ale cóż robić? Chodzi o morderstwo. To chyba nie bagatela, prawda? W takich sprawach nieodzowne jest bardzo drobiazgowo śledztwo.

— Bert — wtrąciła zdenerwowana pani domu — lepiej opowiedz panom wszystko, co wiesz.

— Zamknij gębę! — ryknął olbrzym.

— Zdaje mi się, że na policję nie zgłosił się pan z własnej inicjatywy? — wtrącił zręcznie Poirot.

— A po diabła miałem się tam zgłaszać? Czy to mój interes?

— Poniekąd pański — rzekł Poirot obojętnym tonem. — Popełniono morderstwo. Policja chciała wiedzieć, kto był w sklepie. Moim zdaniem... jak by to powiedzieć... wyglądałoby znacznie naturalniej, gdyby pan sam się zgłosił.

— Miałem pilną robotę. Niech pan nie opowiada, że powinienem tracić czas i...

— Cóż, stało się. Policja została poinformowana, że widziano, jak wchodził pan do sklepu pani

Ascher, i sama się do pana zgłosiła. Czy inspektor był zadowolony z pańskiej relacji?

— A dlaczego miałby nie być zadowolony? — zapytał podejrzliwie Bert.

Detektyw wzruszył ramionami.

— Do czego pan pije? Przecież nikt nie ma nic przeciwko mnie. Wszyscy wiedzą, kto oporządził starą; ten cholerny pijak, jej mąż.

— Ale tamtego wieczora Ascher nie był w sklepie, a pan był.

— Co? Chcecie mi to przylepić? Nie uda się, spokojna głowa! Dlaczego miałbym zrobić coś podobnego? Co? Może chciałem zwędzić szczyptę tytoniu? A może policja wyobraża sobie, że ze mnie wariat o skłonnościach morderczych?... Może pan myśli...

Z groźną miną podniósł się z krzesła, a żona jego zabeczala nieśmiało:

— Bert! Bert! Nie gadaj takich rzeczy!... Ijspokój się, Bert, bo pomyślą...

— Łaskawy pan może się niczego nie obawiać — wtrącił Poirot. — Prosiłem tylko o sprawozdanie z pańskiej bytności w trafice. Jeżeli pan odmówi, to może wydać się... jak by tu powiedzieć... co najmniej dziwne.

— ..A kto panu powiedział, że ja odmawiam czegoś? — obruszył się Riddell siadając na stołku.
— Mogę gadać. Mnie tam wszystko jedno.

— A zatem do sklepu wszedł pan o godzinie osiemnastej?

— Zgadza się. Może minutę albo dwie później. Chciałem kupić paczkę Goldflake'ów. Pchnąłem drzwi...

— A więc drzwi były zamknięte?

— Tak. Pomyślałem nawet, że może sklep jest nieczynny, ale tak nie było. Wszedłem do środka i zobaczyłem, że nikogo nie ma. Postukałem w kontuar, poczekałem trochę, a jak nikt się nie pokazał, wyszedłem na ulicę. To wszystko. Nic więcej powiedzieć nie mogę.

— Nie zauważył pan zwłok leżących za ladą?

— Nie. I pan by ich nie zobaczył, chyba żeby pan specjalnie szukał.

— A czy na ladzie leżał rozkład kolejowy?

— Aha, leżał. Grzbietem do góry. Przyszło mi nawet do głowy, że może stara wyjechała nagle i zapomniała zamknąć sklepik.

— Może przeglądał pan ten rozkład albo przesuwiał go po ladzie?

— Nawet go nie dotknąłem. Robiłem tylko to, co panu powiedziałem.

— I nie widział pan, żeby ktoś wychodził ze sklepu, kiedy pan zbliżał się do drzwi?

— Nic nie widziałem. Dlaczego policja mnie się czepia?

Poirot wstał.

— Nikt się pana nie czepia, proszę mi wierzyć. *Bon soir, monsieur**.

Odwrócił się na pięcie i gdy spieszyłem za nim, zobaczyłem, że pan Riddell stoi z szeroko otwartymi ustami.

Wyszędłszy na ulicę mój przyjaciel spojrzał na zegarek.

— Jak się pospieszymy — powiedział — pewnie uda się nam złapać pociąg o dziewiętnastej dwie. No, ruszajmy się żywo *mon ami*.

Rozdział VIII

Drugi list

— No i co? — zapytałem ciekawie. Siedzieliśmy sami w przedziale pierwszej klasy. Pociąg pospieszny ruszył przed chwilą z Andover.

— Zbrodnię popełnił — odrzekł poważnie Poirot — rudy mężczyzna średniego wzrostu z bielmem na lewym oku. Mężczyzna ten utyka trochę na prawą nogę i ma brodawkę nad łopatką.

— Poirot! — zawołałem.

— Czego właściwie żądasz, przyjacielu? Patrzysz na mnie wzrokiem wiernego psa i chcesz, abym wypowiedział się w stylu Sherlocka Holmesa... A teraz poważnie: nie mam pojęcia, jak morderca wygląda ani gdzie mieszka, ani w jaki sposób go złapać.

— Ach, gdyby zostawił jakiś ślad! — westchnąłem.

— Właśnie, ślad! Zawsze tęsknisz do jakichś śladów. Jaka szkoda, że zbrodniarz nie palił papierosa i nie zostawił popiołu, a potem nie wdepnął w ten popiół butem podkutym gwoździami o osobliwym kształcie! Nie. Nasz nieznajomy nie był tak uprzejmy. Ale, mój drogi, jest przecież rozkład kolejowy. Czy ABC nie uważasz za ślad?

— A więc sądzisz, że zostawił ten rozkład przez pomyłkę?

— Naturalnie, że nie. Zrobił to celowo. Mówią o tym odciski palców.

— Przecież żadnych odcisków nie było.

— O to właśnie chodzi. Jaka była wczoraj pogoda? Ciepły czerwcowy wieczór. Czy w taki upał ktokolwiek nosi rękawiczki? Nie, bo zwróciłyby na siebie uwagę. A zatem, skoro na rozkładzie nie było odcisków palców, musiały być rozmyślnie starte. Człowiek niewinny zostawiłby ślady. Winny nie zostawił. Nasz morderca zostawił rozkład celowo. Jest to jednak pewien ślad. Ktoś kupował ABC. Ktoś go nosił. I w tym tają się już pewne możliwości.

— Sądzisz, że w ten sposób możemy się czegoś dowiedzieć?

— Prawdę mówiąc, Hastings, nie mam wielkich nadziei. Ten człowiek, ten nieznajomy, niewątpliwie pyszni się swoją zręcznością. Trudno sobie wyobrazić, żeby celowo zostawił ślad, po którym można go wytropić.

— Więc w rezultacie ABC nie na wiele się przyda.

— W każdym razie nie w tym sensie, o jaki ci chodzi.

— A w jakim?

Poirot nie odpowiedział od razu. Potem podjął z wolna, jak gdyby nie na temat:

— Moja odpowiedź brzmi: tak. Mamy do czynienia z nieznanym osobnikiem. Kryje się on w mroku i chce w mroku pozostać. Ale naturalnym rzeczą porządkiem musi rzucić na siebie jakiś snop światła. Z jednej strony nie wiemy o nim nic, z drugiej wiemy już bardzo dużo. Mglisto zaczyna mi się już rysować ta postać: człowiek, który wprawnie pisze drukowanymi literami, kupuje papier listowy w dobrym gatunku, odczuwa niepospolitą potrzebę rozgłosu. Widzę go jako dziecko zapewne zanedbywane i nie kochane. Widzę, jak rosnąc nabiera kompleksu niższości i żywo odczuwa niesprawiedliwość wobec siebie. Czuję jego wewnętrzny impuls, by się wsławić, ściągnąć na siebie uwagę. Instykt ten jest coraz silniejszy, lecz wydarzenia i okoliczności zewnętrzne hamują go i wniwecz obracają. Być może nasz morderca przeżywa coraz więcej upokorzeń, które w jego świecie wewnętrznym przykładają zapałkę do lontu.

— To wszystko jedynie domysły bez praktycznego znaczenia — obruszyłem się szorstko.

— Rozumiem. Wolisz zgubioną zapałkę, popiół z papierosa, podkute buty. Zawsze taki byłeś. W każdym razie możemy zadać sobie kilka rzeczowych pytań: Dlaczego ABC? Dlaczego pani Ascher? Dlaczego Andover?

— Przeszłość tej kobiety wydaje mi się bardzo zwyczajna — powiedziałem. — Wywiady z tymi dwoma świadkami przyniosły rozczarowanie. Nie potrafili powiedzieć nic, czego już byśmy nie wiedzieli.

— Przyznaję otwarcie, że na nic takiego nie liczyłem. Nie wolno nam jednak było pominąć dwóch możliwych kandydatów na mordercę.

— Nie wyobrażasz sobie chyba...

— W każdym razie nie wykluczam możliwości, że morderca mieszka w Andover albo najbliższej okolicy. Stanowiłoby to wystarczającą odpowiedź na nasze trzecie pytanie: dlaczego Andover. Otóż mamy dwóch ludzi, o których nam wiadomo, że byli w trafice we właściwym czasie. Każdy z nich mógłby być mordercą. A, jak dotąd, nic nie wskazuje, że któryś nim nie jest.

— Myślisz, że ten cham, Riddell?

— Nie. Jego gotów jestem wykluczyć z miejsca. Był zdenerwowany, niezyczliwy, widocznie zaniepokojony.

— To chyba właśnie dowodzi...

— Natury skrajnie przeciwnej z autorem listu podpisanego A.B.C. Musimy szukać zarozumiałości i pewności siebie.

— Czyli kogoś, kto ma wysokie mniemanie o sobie?

— Coś w tym sensie. Ale są ludzie, którzy pod pozorem zdenerwowania i teatralnych efektów ukrywają wiele próżności i pychy.

— Masz na myśli małego pana Partridge'a?

— To typ bardziej odpowiedni. Naturalnie, nie można niczego twierdzić, ale Partridge zachowuje się podobnie, jak mógłby zachowywać się autor listu. Z miejsca idzie na policję, wysuwa się na pierwszy plan. Jest wyraźnie zadowolony ze swej pozycji.

— Więc naprawdę sądzisz...

— Nie, Hastings. Moim zdaniem morderca nie pochodzi z Andover. Musimy jednak pracować bardzo dokładnie. Od początku mówię o mordercy „on”. Trzeba jednak pamiętać, że mogła to być kobieta.

— Ee, chyba nie.

— Przyznaję, że przebieg akcji wskazywałby raczej na mężczyznę, ale listy anonimowe częściej piszą kobiety. Nie wolno nam o tym zapominać.

Milczałem przez kilka minut, po czym zdobyłem się na pytanie:

— I co teraz zrobimy?

— Kochany, zawsze energiczny Hastings! — Poirot uśmiechnął się do mnie życzliwie.

— Nie o to chodzi! Co teraz będziemy robić?

— Nic.

— Jak to nic? — w głosie moim dźwięczało głębokie rozczarowanie.

— Nie jestem przecież czarnoksiężnikiem ani kuglarzem. Co chcesz, żebym zrobił?

Zastanowiwszy się nad tą sprawą doszedłem do wniosku, że odpowiedź jest trudna. Mimo to byłem przekonany, że coś należy przedsięwziąć, że nie wolno nam zasypiać gruszek w popiele.

— Mamy przecież rozkład jazdy ABC, papier listowy, kopertę... — odezwałem się wreszcie.

— Oczywiście. Ale w tym kierunku wszystko już zostało zrobione. Policja dysponuje środkami do tego rodzaju badań. Jeżeli dzięki nim da się cośkolwiek ustalić, na pewno będzie to w swoim czasie ustalone.

Odpowiedź tę musiałem uznać za zadowalającą.

Podczas następnych dni Poirot zdradzał wyraźną niechęć do rozmów na temat tej sprawy. Gdy próbowałem wracać do tematu, zbywał mnie niecierpliwym gestem ręki. Osobiście byłem zdania, że zgłębiłem jego motyw. W przypadku zamordowania pani Ascher mój przyjaciel poniósł klęskę. Tajemniczy A.B.C. rzucił mu wyzwanie i zwyciężył. Poirot, przywykły do nieustannych sukcesów, był szczególnie wrażliwy na niepowodzenia, nic więc dziwnego, że wzbraniał się rozmawiać na ich temat. Był to może dowód słabości tego wielkiego człowieka, ale nawet najtrzeźwiejsi z nas łatwo ulegają zawrotom głowy wywołanym powodzeniem. Poirot odnosił sukcesy przez długie lata, nic więc dziwnego, że skutki tego objawiły się wreszcie. Szanowałem słabostkę starego przyjaciela i przestałem mówić o tej sprawie.

Z gazet dowiedziałem się o wynikach śledztwa. Nie trwało długo. Nie podniesiono w nim kwestii autora anonimowego listu, a werdykt brzmiał: „Morderstwo dokonane przez osobę lub osoby nieznane”.

Oczywiście zbrodnia nie odbiła się żywszym echem w prasie. Nie miała cech sensacyjnych ani ciekawych. Śmierć starej kobiety w sklepiku przy bocznej uliczce ustąpiła rychło miejsca tematом bardziej pasjonującym.

Szczerze mówiąc, sprawą tą przestałem interesować się zapewne dlatego, że i mnie przykrość sprawiło niepowodzenie Poirota.

Dwudziestego trzeciego lipca cała historia odżyła nagle.

Przez dwa dni nie widziałem Poirota, gdyż sobotę i niedzielę spędziłem w Yorkshire. Do Londynu wróciłem w poniedziałek po południu, a list nadszedł pocztą o godzinie osiemnastej. Doskonale pamiętam, jaką minę zrobił Poirot i jak mu dech zaparło, gdy otworzył ową kopertę.

— Nadszedł — powiedział. Spojrzałem na niego nic nie rozumiejąc.

— Kto nadszedł?

— Drugi rozdział „sprawy A.B.C.”

Patrzyłem na niego tępo. Wszystko dawno wywietrzało mi z głowy.

— Czytaj — powiedział wręczając mi list, pisany jak i poprzedni drukowanymi literami na papierze dobrej jakości.

No i co, szanowny panie Poirot? Pierwsza runda chyba dla mnie? Andover przeszło gładko.

Ale to dopiero początek zabawy. Pozwalam sobie zwrócić pańską uwagę na miejscowość nadmorską Bexhill. Data: 25 bm. Weszło się zabawiamy, prawda?

— Wielki Boże! — zawołałem. — Czy to ma znaczyć, że ten szatan przygotowuje nową zbrodnię?

— Niewątpliwie. Spodziewałeś się czego innego? Łudziłeś się, że morderstwo w Andover było odosobnionym przypadkiem? Zapomniałeś, że w swoim czasie powiedziałem: „To dopiero początek”.

— Straszne!

— Tak, straszne — powtórzył Poirot.

— Za przeciwnika mamy szaleńca o skłonnościach morderczych.

— Oczywiście.

Spokój Poirota był bardziej wymowny niż jakiegokolwiek bohaterskie gesty. Oddając mu list wzdrygnąłem się lekko.

Następny ranek zastał nas przy ważnej konferencji. Brali w niej udział: komendant policji hrabstwa Sussex, główny inspektor ze Scotland Yardu, inspektor Glen z Andover, komisarz Carter z policji hrabstwa Sussex, Japp i jego asystent, inspektor Crome, a ponadto doktor Thompson, słynny psychiatra.

Drugi list miał stempel pocztowy Hampstead, co zdaniem Poirota nie miało żadnego znaczenia.

Całe zagadnienie zostało omówione nader wyczerpująco. Doktor Thompson był sympatycznym naukowcem w średnim wieku, który mimo rozległej wiedzy zadawał się potocznym językiem unikając specjalistycznych zwrotów swojego zawodu.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł główny inspektor — że oba listy pisane są tą samą ręką. Autorem jest na pewno jedna osoba.

— Możemy też założyć, z dużym prawdopodobieństwem, że osoba ta jest winna morderstwa w Andover.

— Niewątpliwie. Otrzymaliśmy też wyraźną zapowiedź następnej zbrodni, wyznaczonej w Bexhill na dzień dwudziestego piątego lipca, czyli jutro. Jakie kroki możemy przedsięwziąć?

Komendant policji hrabstwa Sussex spojrzał na swojego podwładnego.

— Co pan powie, Carter? — zapytał.

— Niełatwa sprawa, panie inspektorze — odpowiedział komisarz poważnie kiwając głową. — List nie zawiera żadnej wskazówki co do przyszłej ofiary. Mówiąc otwarcie, jakie właściwie kroki możemy przedsięwziąć?

— Chciałbym coś powiedzieć — mruknął Poirot. Wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

— Uważam za prawdopodobne, że nazwisko przyszłej ofiary zaczyna się na „B”.

— To niewykluczone — powiedział komisarz tonem powątpiewania.

— Kompleks alfabetyczny — dodał poważnie doktor Thompson.

— Uważam to za prawdopodobne i nic więcej — ciągnął Poirot. — Przyszło mi to do głowy, kiedy nad sklepem staruszki zamordowanej w ubiegłym miesiącu zobaczyłem wyraźnie wypisane nazwisko „Ascher”. Drugi raz pomyślałem o tym wczoraj, gdy otrzymany list wyznaczył Bexhill na teren następnej zbrodni. Sądzę, że ofiary mogą być również wybierane w porządku alfabetycznym.

— Możliwe — powiedział doktor. — Chociaż, z drugiej strony, nazwisko Ascher mogło być przypadkowe. Nie wykluczam, że tym razem ofiara (bez względu na to, jak się będzie nazywała) będzie znowu starą kobietą, właścicielką sklepiku. Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z szaleniec, który, jak dotąd, nie dał nam żadnej wskazówki co do swoich motywów.

— Czy szaleniec kieruje się jakimiś motywami, panie doktorze? — zapytał sceptycznie usposobiony komisarz Carter.

— Oczywiście, panie komisarzu. Zabójcza logika jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech ostrego obłądu. Szaleniec może uważać się za powołanego przez Boga do zabijania na przykład duchownych albo lekarzy, albo starych właścielek trafik, a zawsze kryje się za tym jakiś bardzo logiczny powód. Nie sugerujmy się kompleksem alfabetycznym. To, że Bexhill następuje po Andover, może być prostym zbiegiem okoliczności.

— Tak czy inaczej, panie komisarzu — podjął komendant policji hrabstwa Sussex — możemy przedsięwziąć pewne środki ostrożności. Wydamy specjalne ostrzeżenie dla osób, których nazwiska zaczynają się na „B”, zwłaszcza dla drobnych sklepikarzy, i roztoczymy obserwację nad trafikami obsługiwanymi przez jedną osobę. Wydaje mi się, że w istniejących warunkach niewiele więcej możemy zrobić. Aha! Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę wszystkie obce osoby przybywające do Bexhill.

Komisarz Carter westchnął głęboko.

— W dniu, kiedy kończy się rok szkolny i rozpoczynają się masowe urlopy? W ostatnim tygodniu lipca mnóstwo ludzi tu się kręci.

— W każdym razie należy uczynić wszystko, co w naszej mocy — rzekł stanowczo główny inspektor Scotland Yardu.

Z kolei zabrał głos inspektor Glen:

— Ja wezmę pod nadzór wszystkie osoby związane ze sprawą pani Ascher: tych dwóch świadków, Partridge'a i Riddella, i oczywiście Franza Aschera. Jeżeli któryś z nich opuści Andoyer, będzie bacznie śledzony.

Na tym zakończyła się konferencja, nie licząc kilku jeszcze uwag bez znaczenia i krótkiej rozmowy towarzyskiej.

— Poirot — powiedziałem idąc obok przyjaciela nadrzecznym bulwarem. — Chyba tej drugiej zbrodni da się jakoś zapobiec?

Zwrócił ku mnie twarz bardzo poważną i smutną.

— Rozsądek miasta pełnego ludzi przeciwko szaleństwu jednego człowieka? Obawiam się, bardzo się obawiam... Czy przypominasz sobie długą serię sukcesów Kuby Rozpruwacza?

— To straszne! — westchnąłem.

— Masz rację. Szaleństwo jest straszne... Bardzo się obawiam.

Rozdział IX

Morderstwo w Bexhill

Dobrze pamiętam moje przebudzenie dnia dwudziestego piątego lipca. Było koło pół do ósmej. Poirot stał nad łóżkiem i delikatnie szarpał mnie za ramię. Jeden rzut oka na jego twarz przeniósł mnie z podświadomości w pełni władz umysłowych.

— Co się stało? — zapytałem siadając gwałtownie.

— Właśnie, stało się.

Odpowiedź była krótka, ale za tymi trzema słowami kryło się nieprzebrane bogactwo emocji.

— Co?! — zawołałem. — Przecież dziś dopiero dwudziesty piąty!

— Stało się tej nocy, a właściwie nad ranem.

Wyskoczyłem z łóżka. Kiedy robiłem pospieszną toaletę, Poirot informował mnie zwięźle o tym, czego przed chwilą dowiedział się przez telefon.

— Na plaży w Bexhill znaleziono ciało młodej dziewczyny. Zidentyfikowano ją jako Elżbietę Barnard, kelnerkę jednej z kawiarni, zamieszkałą z rodzicami w małym, niedawno wybudowanym domku. Lekarz policyjny ustalił godzinę zgonu między dwudziestą trzecią trzydzieści a pierwszą.

— Policja nie ma wątpliwości, że to było morderstwo? — zapytałem mydląc pospiesznie twarz.

— Pod ciałem znaleziono rozkład kolejowy ABC otwarty na Beshill.

Zadrzałem.

— Okropność!

— Uważaj, mój drogi! Nie życzę sobie drugiej tragedii, i to w moim mieszkaniu.

Z dość posępną miną otarłem krew z podbródka.

— Jaki jest plan kampanii? — zapytałem.

— Za kilka minut przyjedzie po nas samochód policyjny. Żeby nie tracić czasu, przyniosę ci tutaj filiżankę kawy.

Po dwudziestu minutach szybki wóz policyjny mijał most na Tamizie wyjeżdżając z Londynu. Towarzystwa dotrzymywał nam inspektor Crome, który był obecny na wczorajszej konferencji.

Scotland Yard oficjalnie powierzył mi tę sprawę.

Crome był oficerem zupełnie odmiennego typu niż Japp. Znacznie młodszy od nadinspektora, milczący i pewien swojej wyższości, wykształcony i bardzo czytany, był, jak na mój Cust, odrobinę zanadto zadowolony z siebie. Ostatnio zyskał rozgłos dzięki zdemaskowaniu serii zabójstw dzieci, przy której to okazji cierpliwie śledził zbrodniarza uwięzionego obecnie w Broadmoore. Był człowiekiem najodpowiedniejszym do prowadzenia śledztwa w tej sprawie, ale zdawało mi się, że on sam jest tego zbyt pewien. Mojego przyjaciela traktował z lekka protekcjonalnie. Zwracał się do niego, że się tak wyrażę, ze studencką pewnością siebie; jak człowiek młodszy do starszego, który trochę wypadł z obiegu.

— Odbyłem bardzo owocną i długą konferencję z doktorem Thompsonem — mówił. — Doktor interesuje się szczególnie zbrodniami typu seryjnego lub, jak można by je nazwać, łańcuszkowego. Zbrodnie takie świadczą zazwyczaj o szczególnie groźnym obłędzie. Oczywiście laik nie może należycie ocenić rozmaitych subtelności łatwo dostrzegalnych z lekarskiego punktu widzenia — zakasłał dyskretnie. — Prawdę rzekłszy, moja ostatnia sprawa... nie wiem, czy panowie o niej czytali... Chodziło o Mabel Homer, uczennicę z Muswell Hill... Sprawca, Capper, był naprawdę nadzwyczajny. Niestychanie trudno było dowieść mu zbrodni, a była to trzecia w jego karierze. Sprawiał wrażenie człowieka równie zdrowego, jak pan albo ja. Ale, widzi pan, obecnie mamy rozmaite testy, zagadki słowne. To sprawy zupełnie nowoczesne. Za pańskich czasów nie słyszeliście nawet o takich rzeczach... Jeżeli raz przychwyci pan na czymś człowieka, już ma go pan w garści. On wie, że pan wie, i nerwy odmawiają mu posłuszeństwa. Po pierwszym poślizgnięciu zaczyna zdradzać się na prawo i lewo.

— Nawet w moich czasach zdarzały się niekiedy takie rzeczy — powiedział skromnie Poirot.

Inspektor Crome spojrzał na niego i powiedział bez przekonania:

— O, czyżby?

Na pewien czas zapadła cisza. Dopiero kiedy mijaliśmy stację New Cross, znów się odezwał:

— Chętnie służę, panie Poirot, jeżeli pan życzy sobie zapytać mnie o jakieś detale w tej sprawie.

— Czy ma pan dokładny rysopis zamordowanej dziewczyny?

— Miała dwadzieścia trzy lata i pracowała jako kelnerka w kawiarni Pod Rudym Kotem.

— Nie o to chodzi. Interesuje mnie, czy była ładna.

— W tym względzie nie mam informacji — odpowiedział Crome i spojrzał na Poirota z taką miną, jak gdyby chciał dodać: „Słowo daję, ci cudzoziemcy zawsze tacy sami!”

W oczach mojego przyjaciela błysnęła ironia.

— Okoliczność ta nie wydaje się ważna panu inspektorowi? Ale dla kobiety to sprawa niestychanej wagi. Często decyduje o całym jej losie.

— O, czyżby? — powtórzył znów inspektor Crome z uprzejmą obojętnością.

Znowu zapadła cisza. Dopiero pod Sevenoaks Poirot wznowił rozmowę.

— A może wie pan przypadkiem, jak i za pomocą czego dziewczyna została uduszona?

— Została uduszona własnym paskiem — odpowiedział żywo Crome. — Szerokim paskiem z jedwabnej plecionki.

Poirot szeroko otworzył oczy.

— Aha — powiedział. — Wreszcie mamy zupełnie konkretną informację. To coś mówi, prawda?

— Mnie niewiele — rzekł sucho inspektor. Zaczynała mnie irytować powściągliwość i brak wyobraźni tego człowieka.

— Daje nam to pewną charakterystykę mordercy — powiedziałem. — Własny pasek ofiary... Dowodzi to szczególnego zwyrodnienia i okrucieństwa.

Poirot zwrócił ku mnie spojrzenie, którego nie mogłem zrozumieć. Była w nim ironia i jak gdyby ostrzeżenie. Może chodziło mu o to, abym nie był zbyt wymowny w obecności inspektora? Na wszelki wypadek umilkłem.

W Bexhill powitał nas komisarz Carter. Towarzyszył mu sympatyczny, inteligentnie wyglądający młody aspirant Kelsey, przydzielony w tej sprawie do inspektora Crome'a.

— Ty poprowadzisz śledztwo, Crome — powiedział komisarz. — Ja podam ci tylko suche fakty. Reszta należy do ciebie.

— Dziękuję ci — odpowiedział Crome.

— Zawiadomiliśmy już o zbrodni rodziców ofiary — podjął komisarz. — Oczywiście wrażenie było piorunujące. Chciałem, żeby otrząsnęli się trochę przed przesłuchaniem, więc już ty będziesz z nimi rozmawiał.

— Czy oprócz rodziców są jacyś krewni? — zapytał Poirot.

— Siostra pracuje jako maszynistka w Londynie. Zdążyliśmy już zawiadomić ją. Jest także młody człowiek, konkurent czy narzeczony. Wydaje się, że dziewczyna była z nim wczoraj wieczorem.

— A rozkład kolejowy nic wam nie pomógł? — zapytał Crome.

— Leży tam — komisarz wskazał ręką w stronę stołu. — Nie ma na nim odcisków palców. Był otwarty na stronie Bexhill. Zupełnie nowy egzemplarz, chyba nigdy przedtem nie otwierany. Przeprowadziłem dochodzenie we wszystkich możliwych księgarniach i kioskach.

— Kto znalazł zwłoki?

— Jeden z tych emerytowanych starych pułkowników, co lubią wczesnym rankiem wychodzić na świeże powietrze. Nazywa się pułkownik Jerome. Wszedł z psem na spacer około szóstej rano. Ruszył bulwarem w stronę Cooden, a następnie zszedł na plażę. Pies odbiegł od niego i zaczął niespokojnie węszyć. Pułkownik zawołał go, ale pies nie wracał, co wydało się starymu bardzo podejrzane. Poszedł za nim i zobaczył zwłoki. Zachował się zupełnie poprawnie. Nie dotknął ciała i natychmiast zatelefonował do nas.

— Śmierć nastąpiła około północy?

— Tak. Między północą a pierwszą. Lekarz stwierdził to z całą pewnością. Nasz dowcipniś lubi dotrzymywać słowa. Jak dwudziesty piąty, to dwudziesty piąty, choćby od północy upłynęło zaledwie parę minut.

Crome kiwnął głową.

— Tak, to zgadza się z mentalnością tego osobnika. Nie ma więcej nic ciekawego? Nikt nie widział niczego, co mogłoby nam pomóc?

— O ile mi wiadomo, nie. Ale jest jeszcze bardzo wcześnie. Niedługo zaczną przychodzić ludzie, którzy widzieli dziewczęta w białych sukniach przechadzające się nad morzem z mężczyznami. Będziemy mieli robotę, bo takich par musiało być w Bexhill od czterystu do pięciuset.

— Cóż, Carter, trzeba się zająć tą sprawą — powiedział Crome. — Na razie mamy do dyspozycji kawiarnię i dom zamordowanej dziewczyny. Zaraz wybiorę się w oba te miejsca. Kelsey może pójść ze mną.

— I pan Poirot — dodał komisarz.

— Chętnie będę panu towarzyszył — rzekł Poirot do Crome'a z nieznacznym, lecz wytwornym ukłonem.

Inspektor miał minę niezbyt uszczęśliwioną, a Kelsey, który nie widział dotychczas Poirota, uśmiechnął się szeroko. Niestety, ludzie, którzy po raz pierwszy stykali się z moim przyjacielem, nie byli skłonni brać go na serio.

— A co z tym paskiem, którym dziewczyna została uduszona? Pan Poirot podejrzewa, zdaje się, że to ważna wskazówka. Mam wrażenie, że chętnie by go obejrzał.

— Bynajmniej — szybko zaprzeczył Poirot. — Pan inspektor mnie nie zrozumiał.

— Ten pasek nic panom nie powie — stwierdził Carter. — Gdyby był skórzany, mogłyby zachować się na nim odciski palców, ale to gruba jedwabna plecionka, idealna do celu, w jakim jej użyto.

Wzdrygnąłem się niemiłym dreszczem.

— No, czas na nas — przypomniał Crome i niezwłocznie ruszyliśmy w drogę.

Przede wszystkim złożyliśmy wizytę w kawiarni Pod Rudym Kotem. Był to bardzo przeciętny, położony przy nadmorskim bulwarze lokal. Sale wypełniały stoliki przykryte serwetami w pomarańczowy deseń i trzcinowe krzesła, których nadzwyczajną niewygodę łagodziły po trosze pomarańczowe poduszki. Takie lokale specjalizują się przede wszystkim w pierwszych śniadaniach, a na obiad podaje się tam dania w kobiecym guście, takie na przykład jak: jajecznicą, krewetki i makaron *aux gratin*.

Pierwsze śniadanie było właśnie w pełnym toku, a więc kierowniczką poprowadziła nas spieszenie do bardzo nieporządnego kantoru.

— Czy mam przyjemność z panną... ehem... z panną Merrion?

Niewiasta odpowiedziała piskliwym głosem i tonem wytwornej damy:

— Tak się nazywam. Doprawdy, co za okropna historia. Okropna! Drzę na myśl, jaki to będzie miało wpływ na nasze przedsiębiorstwo.

Panna Merrion — bardzo chuda czterdziestoletnia niewiasta o rzadkich pomarańczowych włosach — była dziwnie podobna do rudego kota. Nerwowo bawiła się dużym koronkowym żabotem stanowiącym widocznie część jej oficjalnego stroju.

— Od jutra będzie tu niebywały tłok — pocieszył ją dobrotliwie aspirant Kelsey. — Przekona się pani. Nie nadążycie podawać śniadań i podwieczorków.

— Ohyda! — jęknęła panna Merrion. — Co za ohyda! To może odstraszyć ludzi — mimo tych słów rozpogodziła się znacznie.

— Co może nam pani powiedzieć o zamordowanej kelnerce?

— Nic — odparła stanowczo. — Absolutnie nic.

— Od jak dawna pracowała tutaj?

— To było jej drugie lato.

— Była z niej pani zadowolona?

— Panna Barnard była dobrą, szybką i uprzejmą kelnerką.

— I ładną, co? — zapytał Poirot.

Tym razem panna Merrion spojrzała na mojego przyjaciela, jak gdyby chciała westchnąć: „Ach, ci cudzoziemcy!”

— Była przyjemną, bardzo schludną dziewczyną — odpowiedziała.

— O której wyszła z pracy wczoraj wieczorem? — zapytał Crome.

— Jak zwykle. Zamykamy o ósmej. Nie podajemy kolacji. Małe na nie zapotrzebowanie. Na solidniejsze podwieczorki ludzie przychodzą o siódmej, czasami trochę później. Ale ruch kończy się właściwie o szóstej trzydzieści.

— Czy panna Barnard nie mówiła pani, jak zamierza spędzić wieczór?

— Naturalnie, że nie — obruszyła się kierowniczką. — Nie byłyśmy na tak poufalej stopie.

— Nikt po nią nie przychodził? Nie zauważyła pani niczego dziwnego?

— Nie.

— A panna Barnard wyglądała tak, jak zwykle? Nie była zdenerwowana ani przygnębiona?

— Doprawdy, nie mogę na to odpowiedzieć — odparła wyniośle ruda dama.

— Ile zatrudnia pani kelnerek?

— Dwie stałe i dwie dodatkowe między dwudziestym czerwca i końcem sierpnia.

— Elżbieta Barnard była stałą kelnerką, prawda?

— Tak, stałą.

— A co może pani powiedzieć o jej koleżance?

— O pannie Higley? To bardzo miła panienska.

— Czy z panną Barnard żyła w przyjaźni?

— Doprawdy, nie mogę na to odpowiedzieć.

— Moglibyśmy pomówić z panną Higley?

— Teraz?

— Jeżeli pani pozwoli...

— Przyślę ją tutaj — powiedziała kierowniczką wstając — ale proszę trzymać ją możliwie krótko. W porze śniadania mamy ogromny ruch.

Z tymi słowy kocia i ruda panna Merrion opuściła pokój.

— Diabelnie wytworna! — mruknął aspirant Kelsey i naśladowując głos damy dodał: — Doprawdy, nie mogę na to odpowiedzieć...

Do pokoju wbiegła trochę zdyszana pulchna dziewczyna o ciemnych włosach, rumianych policzkach i czarnych oczach roziskrzonych podnieceniem.

— Przysłała mnie panna Merrion — oznajmiła.

— Panna Higley?

— Tak, to ja.

— Znała pani Elżbietę Barnard?

— Ma się rozumieć, znałam Betty. To straszne, co? Prawda, jakie to straszne? Za nic nie mogę uwierzyć, że to prawda. Od rana wciąż powtarzam koleżankom, że po prostu nie mogę w to uwierzyć. „Słuchajcie, dziewczynki — mówię. — Mnie to się wydaje nieprawdą. Betty, Betty Barnard, która ciągle była z nami, zamordowana! Słowo daję, nie mogę w to uwierzyć!” Tak od rana mówię koleżankom. Kilka razy szczypałam się nawet, żeby zobaczyć, czy się nie obudzę. Betty zamordowana, to... jak by to powiedzieć... nie wydaje mi się prawdą.

— Dobrze pani znała pannę Barnard? — zapytał Crome.

— Pewnie, pracowała tutaj dłużej ode mnie. Ja nastałam w marcu, a ona była już w zeszłym roku. Była taka sobie, spokojna. Już panowie wiedzą, jaka. Nie lubiła dużo żartować ani śmiać się. To nie znaczy wcale, że zawsze była spokojna. Czasami miała dużo humoru albo i nie miała. Bo to, proszę panów, była właściwie albo spokojna, albo niespokojna.

Pomyślałem, że inspektor Crome jest zdumiewająco cierpliwym człowiekiem. Pulchna i rumiana panna Higley w roli świadka mogła doprowadzić do szaleństwa. Wszystko, co zaczynała mówić, powtarzała lub poprawiała wiele razy. W rezultacie z długiej paplaniny niewiele można było wycisnąć. W każdym razie wynikało z tego, że panna Higley nie była w zażyłych stosunkach z nieboszczką. Można się było domyślić, że Elżbieta Barnard uważała się za coś znacznie lepszego. Kelnerki były w zgodzie w godzinach pracy, lecz poza nimi widywały się niewiele. Elżbieta Barnard miała przyjaciela, który pracował w biurze pośrednictwa nieruchomości pod firmą Court i Brunskill. Nie był to ani pan Court, ani pan Brunskill. Miał tam posadę biuralisty. Panna Higley nie wiedziała, jak się nazywa, ale znała go dobrze z widzenia.

— Przystojny, bardzo przystojny — mówiła — zawsze tak elegancko ubrany.

Nie miałem wątpliwości, że do serca panny Higley wkradła się zazdrość.

Rezultatem naszych odwiedzin było przekonanie, iż Elżbieta Barnard nie miała przyjaciółek w kawiarni i nie zwierzała się nikomu ze swoich planów na fatalny wieczór. Ale według domysłów panny Higley na pewno szła na spotkanie ze swoim przyjacielem, gdyż była w nowej białej sukience z „takim ślicznym koronkowym kołnierzykiem”.

Z pozostałymi kelnerkami zamieniliśmy po kilka słów bez pozytywnego rezultatu. Betty Barnard nie mówiła z nikim o swoich planach i nikt nie widział jej wieczorem w Bexhill.

Rozdział X

Barnardowie

Rodzice Elżbiety Barnard mieszkali w małym domku, jednym z pięćdziesięciu zbudowanych niedawno na krańcach miasta przez jakąś firmę budowlaną. Siedziba ich nosiła nazwę Llandudno.

Pan Barnard — krzepki pięćdziesięcioletni mężczyzna — zauważył widać nasz przyjazd, bo czekał w drzwiach domu. Był przygnębiony i oszołomiony.

— Proszę, proszę, panowie zechcą wejść — powiedział.

Aspirant Kelsey wziął inicjatywę w swoje ręce.

— To inspektor Crome ze Scotland Yardu — powiedział. — Przyjechał specjalnie, żeby pomóc nam w tej okropnej sprawie.

— Z Scotland Yardu! — pan Barnard mówił tonem pełnym otuchy. — To dobrze, bardzo dobrze. Teraz na pewno ten morderca wpadnie. Moja biedna, biedna córka... — twarz wykrzywił mu wyraz niekłamane bólu.

— A to pan Herkules Poirot, także z Londynu, i... ehem...

— Kapitan Hastings — podpowiedział Poirot.

— Bardzo mi miło panów poznać — rzekł automatycznie pan Barnard. — Proszę do pokoju. Nie wiem, czy moja biedna żona będzie się mogła panom pokazać. Jest zupełnie załamana. Zupełnie.

Zanim jednak zdołaliśmy usadowić się w skromnej bawialni, ukazała się pani Barnard. Widać było, że dużo płakała, gdyż oczy miała mocno zaczerwienione i poruszała się niepewnym krokiem osoby, która doznała straszliwego wstrząsu.

— O, mateczka! To dobrze, bardzo dobrze — pochwalił ją mąż. — Czujesz się trochę lepiej, co? — delikatnie pogładził ją po ramieniu i usadowił w fotelu.

— Pan komendant policji był bardzo uprzejmy — ciągnął. — Zawiadomił nas o tym nieszczęściu i powiedział, że przesłuchanie odkłada na później, jak otrząśniemy się trochę z pierwszego wrażenia.

— To okropne, okropne! — odezwała się przez łzy pani Barnard. — Trudno sobie wyobrazić taką potworność.

Jej akcent wydał mi się zrazu cudzoziemski, ale przypomniałem sobie nazwę domku i domyśliłem się, że ta kobieta pochodzi z Walii.

— Zdaję sobie sprawę, proszę pani, że to bardzo bolesne — zaczął inspektor Crome. — Głęboko państwu współczujemy, musimy jednak jak najszybciej poznać fakty, aby zaraz przystąpić do pracy.

— Naturalnie, naturalnie, to rozumiąłem — przyznał z przekonaniem gospodarz.

— Wiemy już, że córka państwa miała dwadzieścia trzy lata. Mieszkała tutaj i pracowała w kawiarni Pod Rudym Kotem. Czy to się zgadza?

— Tak.

— To całkiem nowy dom, prawda? Gdzie państwo mieszkali dawniej?

— Pracowałem w sklepie żelaznym w Kennington. Dwa lata temu przeszedłem na emeryturę. Zawsze marzyłem o mieszkaniu nad morzem.

— Ma pan dwie córki?

— Tak. Starsza pracuje w biurze w Londynie.

— Nie zaniepokoiłi się państwo, gdy córka nie wróciła wczoraj wieczorem do domu?

— Wcaleśmy o tym nie wiedzieli — odezwała się znowu przez łązy matka. — Tatuś i ja chodzimy wcześniej spać. Dziewiąta to nasza zwykła pora. Wcaleśmy nie wiedzieli, że Betty nie wróciła, dopóki nie przyszedł ktoś z policji i nie powiedział... nie powiedział... — wybuchnęła płaczem.

— Czy panna Barnard miała zwyczaj... ehem... późno wracać do domu?

— Wie pan inspektor, jakie teraz są dziewczęta — odpowiedział Barnard. — Samodzielne, niezależne... W letnie wieczory niepilno im do domu. Ale Betty wracała zwykle przed jedenastą.

— Jak dostawała się do domu? Zostawiali państwo otwarte drzwi?

— Kładliśmy klucz pod słomiankę.

— Słyszałem, że córka państwa była zaręczona. Czy to prawda?

— Cóż, teraz młodzież nie ogłasza formalnie zaręczyn — odpowiedział ojciec.

— Ten młody człowiek nazywa się Donald Fraser. Bardzo go lubiłam, naprawdę bardzo — wtrąciła pani Barnard. — Biedaczek, jaki to będzie dla niego okropny cios! Nie wiem nawet, czy już wie?

— Pracuje, zdaje się, w firmie Court i Brunskill?

— Tak. To biuro pośrednictwa nieruchomości.

— Czy Donald Fraser spotykał się zwykle wieczorami z córką państwa?

— Nie co wieczór. Raczej dwa albo trzy razy na tydzień.

— Nie wiadomo państwu, czy miał się z nią spotkać wczoraj wieczorem?

— Betty nic mi nie mówiła. Nie lubiła mówić, co zamierza robić ani dokąd się wybiera. Ale to była porządna dziewczyna, naprawdę porządna. Mój Boże, trudno uwierzyć... — pani Barnard znowu zaczęła szlochać.

— Trzymaj się, mateczko! Łzy nic nie pomogą — uspokajał ją mąż. — Za wszelką cenę musimy dotrzeć do sedna sprawy.

— Mój Boże! Biedny Donald, biedny! — łkała kobieta.

— Trzymaj się, mateczko! Trzymaj! — powtórzył jej mąż. Następnie zwrócił się do dwóch oficerów policji: — Z całego serca pragnę pomóc panom. Ale naprawdę nie wiem nic. W każdym razie nic, co mogłoby przyczynić się do ujęcia tego łotra. Betty była przyjemną, wesołą dziewczyną i, jak się to mówiło w moich czasach, chodziła z bardzo przyzwoitym chłopcem. Nie rozumiem i nie domyślam się zupełnie, kto i dlaczego mógłby chcieć ją zamordować.

— Jest pan bardzo bliski prawdy, panie Barnard — stwierdził inspektor Crome. — A teraz, jeśli państwo pozwolą, chciałbym zobaczyć pokój panny Barnard. Może tam być coś ważnego. Jakieś listy albo pamiętnik.

— Z chęcią panom służę.

Gospodarz wstał i wyszedł z bawialni. Crome pospieszył za nim, dalej Poirot i Kelsey, ja zaś zamykałem pochód. W przedpokoju przystanąłem na chwilę, aby poprawić sznurowadło i zobaczyłem, że przed dom zajezdza taksówka, z której wyskakuje młoda kobieta. Zapłaciła kierowcy i z małą walizką w ręku szybko ruszyła w stronę domu. Z progu zobaczyła mnie i stanęła. W całej jej postaci było coś tak niezwykłego, że zainteresowało mnie żywo.

— Co pan tu robi? — zapytała.

Postąpiłem krok naprzód; nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Czy wymienić swoje nazwisko, czy powiedzieć, że przyjechałem z policją?

Ale dziewczyna nie zostawiła mi czasu na decyzję.

— Aha — powiedziała. — Łatwo się domyślić.

Ściągnęła z głowy małą wełnianą czapkę i rzuciła na podłogę. Mogłem się jej teraz przyjrzeć dokładniej, zwłaszcza, że odwróciła się profilem do otwartych drzwi. Przypominała po trosze lalki, jakimi moje siostry bawiły się w dzieciństwie. Miała czarne włosy przycięte równo nad czołem we fryzowaną grzywkę, kości policzkowe wystające, a całą twarz cechowała szczególna, nowoczesna kanciastość nie pozbawiona jednak uroku. Nie była ładna. Raczej można ją było nazwać brzydką. Ale był w niej jakiś wyraz i siła niemożliwe do przeoczenia nawet w tłumie.

— Czy panna Barnard? — zapytałem.

— Tak. Megan Barnard. A pan z policji, prawda?

— No, niezupełnie...

— Chyba nie będę miała panu do powiedzenia nic ważnego — przerwała. — Moja siostra była wesołą, przyjemną dziewczyną i nie zadawała się z mężczyznami. Żegnam.

Roześmiała się sucho i zmierzyła mnie wyzywającym spojrzeniem.

— Chyba poprawnie sformułowałam zdanie? — zapytała.

— Proszę przyjąć do wiadomości, że nie jestem reporterem.

— A więc co pan tutaj robi? Gdzie są rodzice?

— Pani ojciec pokazuje pokój nieboszczki siostry, matka jest tam, okropnie roztrzęsiona.

— Proszę za mną — powiedziała dziewczyna, jak gdyby powzięła nagłą decyzję.

Otworzyła drzwi. Poszedłem za nią i znalazłem się w małej, bardzo porządnie utrzymanej kuchni. Chciałem zamknąć drzwi, lecz napotkałem nieoczekiwaną przeszkodę — Poirot wśliznął się za nami i zamknął za sobą drzwi.

— Sądzę, że mam przyjemność z panną Barnard? — zaczął z szarmanckim ukłonem.

— To pan Herkules Poirot — zaprezentowałem przyjaciela.

Megan Barnard zwróciła ku niemu szybkie, ciekawe spojrzenie.

— Słyszałam o panu — powiedziała. — Pan jest ten modny prywatny szpicel, prawda?

— Pani określenie odpowiada bardziej prawdzie niż mnie — uśmiechnął się Poirot.

Dziewczyna przysiadła na kuchennym stole. Wyjęła z torebki papierosa, wsunęła go do ust, zapaliła i powiedziała między jednym kłębem dymu a drugim:

— Nie bardzo jakoś rozumiem, co sam pan Herkules Poirot ma do roboty w wypadku naszego skromnego, prowincjonalnego morderstwa.

— *Mademoiselle* — odparł sławny detektyw — tym, czego pani nie bardzo rozumie i czego ja nie bardzo rozumiem, można by wypełnić niejeden tom. Ale ta kwestia nie ma istotnego znaczenia. Praktyczne znaczenie mają wiadomości, które niezmiernie trudno będzie zebrać.

— Jakie wiadomości?

— Śmierć, proszę pani, stwarza, niestety, pewne uprzedzenia... Uprzedzenia na korzyść zmarłego.

Słyszałem, co pani przed chwilą powiedziała mojemu przyjacielowi, kapitanowi Hastingsowi: „... wesola, przyjemna dziewczyna, nie zadawała się z mężczyznami”. Powiedziała to pani na odczepnego, drwiąc sobie z prasy. Ale w słowach pani było coś więcej. Takie zdania wygłasza się zwykle, gdy młoda dziewczyna umrze. „Była urocza, szczęśliwa, łagodnego usposobienia... Świat uśmiechał się do niej... Nie miała żadnych podejrzanych znajomości...” Do zmarłych odnosimy się nad wyraz przychylnie. Wie pani, czego bym w tej chwili gorąco pragnął? Chciałbym spotkać osobę, która dobrze znała Elżbietę Barnard i nie wie jeszcze, że ona nie żyje. Może wówczas usłyszałbym coś, na czym mi najbardziej zależy: prawdę.

Megan Barnard przyglądała się Herkulesowi Poirotowi i przez chwilę w milczeniu paliła papierosa. Potem przemówiła nagle, ja zaś słysząc jej słowa omal nie podskoczyłem.

— Betty była zwariowaną małą oślicą.

Rozdział XI

Megan Barnard

Jak już wspomniałem, omal nie podskoczyłem usłyszawszy słowa Megan Barnard, a zwłaszcza jej suchy, niemal urzędowy ton. Ale Poirot tylko skinął poważnie głową.

— *A l' bonne heure!** — powiedział. — Jest pani inteligentna, *Mademoiselle*.

Dziewczyna podjęła tym samym beznamiętnym tonem:

— Bardzo byłam przywiązana do Betty, ale to przywiązanie nie czyniło mnie ślełą, widziałam więc, jaka z niej niemożliwa idiotka. Nawet nieraz mówiłam jej to w oczy. Siostry bywają czasem takie nieprzyjemne.

— A Betty przywiązywała wagę do pani krytyk?

— Chyba nie — odpowiedziała cynicznie Megan.

— Zechce pani określić to ściślej? Dziewczyna zawahała się, jak gdyby nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc Poirot podjął z ledwie dostrzegalnym uśmiechem:

— Pomogę pani. Słyszałem, co powiedziała pani Hastingsowi. Ta opinia była poniekąd odwróceniem prawdy.

— Betty nie była zła — podjęła wolno Megan. — Pragnę, żeby pan to dobrze zrozumiał. Zawsze zachowywała się poprawnie, inaczej niż dziewczęta, które z byle kim wyjeżdżają na weekendy. Ona nie z tych. Ale lubiła, gdy ją mężczyźni zapraszali na dancingi, ceniła sobie pochlebstwa i tanie komplementy, i takie rozmaite historie.

— Ładna była, co?

Pytanie, które słyszałem już po raz trzeci, tym razem doczekało się odpowiedzi. Megan ześliznęła się ze stołu, podeszła do swojej walizki, dobyła z niej coś i podała Poirotowi.

Ze skórzanych ramek spoglądała twarz jasnowłosej dziewczyny. Model musiał być świeżo po trwałej ondulacji, bo drobne loczki trochę zanadto sterczały na głowie. Uśmiech był sztuczny i afektowany. Takiej twarzy nie można nazwać piękną, ale na pewno nie brak jej było taniej urody.

— *Mademoiselle* — powiedział Poirot zwracając fotografię właścicielce — siostra była zupełnie niepodobna do pani.

— Ach, ja zawsze uchodziłam za familijną brzydulę. Tak mnie nawet nazywano — oznajmiła Megan, jak gdyby do faktu tego nie przywiązywała żadnego znaczenia.

— Proszę wyjaśnić mi dokładniej — podjął Poirot — dlaczego uważa pani, że jej siostra zachowywała się niedorzecznie? Czy nie miała pani na myśli jej stosunku do pana Donalda Frasera?

— Zgadł pan. Don to bardzo opanowany młody człowiek, ale... jak by tu powiedzieć... Pewne rzeczy odczuwa bardzo żywo i... i...

— I co, *Mademoiselle*? — Poirot przez chwilę przyglądał się jej bardzo przenikliwie, ja zaś miałem wrażenie, że dziewczyna wahała się przez moment, nim udzieliła odpowiedzi.

— Obawiałam się, że ostatecznie może z nią zerwać. A szkoda by było. To bardzo przyzwoity, pracowity młody człowiek i na pewno byłby idealnym mężem.

Sławny detektyw nadal obserwował ją ciekawie. Dziewczyna nie stropiła się po tym spojrzeniu, lecz odpowiedziała śmiałym wzrokiem i miną, która przypomniała mi po trosze jej lekceważące zachowanie wobec mnie przy pierwszym spotkaniu.

— A więc to tak... — podjął wreszcie mój przyjaciel.

— Teraz już nie mówimy prawdy...

Megan wzruszyła ramionami i postąpiła w stronę drzwi.

— Cóż — powiedziała — zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby panu pomóc.

— Chwileczkę, *Mademoiselle* — powiedział Poirot.

— Ja mam pani coś do powiedzenia. Proszę tu zostać. Posłuchała jak gdyby niechętnie i z ociąganiem. Ku niemałemu mojemu zdziwieniu Poirot zapuścił się w długą opowieść o listach A.B.C., zabójstwie w Andover i kolejowych rozkładach jazdy znalezionych w pobliżu zwłok. Nie miał powodu do utyskiwań na brak zainteresowania ze strony słuchaczki. Megan łowiła każde słowo z roziskrzonymi oczami i rozchyłonymi wargami.

— Czy to wszystko prawda, panie Poirot?

— Tak, szczerą prawdą.

— Rzeczywiście sądzi pan, że moją siostrę zamordował jakiś zwyrodnialec?

— Niewątpliwie.

— Ach, Betty, Betty! Jakież to potworne!

— Rozumie pani teraz, że informacji, o które proszę, może udzielić pani śmiało i bez obawy, że mogą zaszkodzić komukolwiek z pani znajomych.

— Tak — odpowiedziała głucho. Teraz rozumiem.

— A zatem podejmiemy przerwana rozmowę. Wyrobiłem sobie opinię, że ów Donald Fraser ma usposobienie gwałtowne i zazdrosne. Czy się mylę?

— Teraz ufam panu, panie Poirot — podjęła spokojnie dziewczyna. — Usłysz pan ode mnie absolutną prawdę. Jak powiedziałam, Don jest człowiekiem bardzo opanowanym, zamkniętym w sobie. Ale w gruncie rzeczy pewne sprawy przeżywa bardzo silnie. Z usposobienia jest zazdrosny i o Betty był zazdrosny od początku. Bardzo ją kochał, a ona oczywiście lubiła go także, ale miała dziwną naturę: nie umiała lubić kogoś tak bardzo, żeby już nie zwracać uwagi na innych. Taka była. Interesował ją każdy przystojny mężczyzna, który miał ochotę spędzić z nią trochę czasu. Proszę zapominać, że pracowała w kawiarni, nieustannie więc spotykała rozmaitych mężczyzn, zwłaszcza w letnim sezonie. Odznaczała się ciętym językiem i jak ktoś zaczął z nią żartować, odpowiadała żartami. Jestem przekonana, że po pracy nieraz spotykała się z klientami, chodziła z nimi do kina albo na tańce... Na pewno nie było w tym nic poważnego, ale... widzi pan, Betty przepadała za zabawą. Często mówiła, że kiedyś wyjdzie za Dona i ustatkuje się zupełnie, ale teraz, póki można, musi korzystać z okazji — dziewczyna umilkła na chwilę, a Poirot powiedział:

— Wszystko to doskonale pojmuję i słuchani dalej.

— Właśnie takiego stanowiska Don nie mógł zrozumieć. Nie rozumiał, dlaczego chodzi na randki z innymi, jeżeli jego naprawdę kocha... Kilka razy wynikały na tym tle awantury między nimi.

— I pan Don nie był już taki spokojny?

— Wie pan, jak to bywa z ludźmi zazwyczaj opanowanymi... Gdy ich coś zirytuje, stają się bardzo gwałtowni. Don potrafił się tak złościć, że Betty naprawdę się go bała.

— W jakich to było okolicznościach?

— Jedna awantura wybuchła mniej więcej rok temu, a druga, dużo gorsza, przed miesiącem. Byłam akurat w domu na świętach i udało mi się ich jakoś pogodzić.

Wtedy właśnie próbowałam wlać Betty trochę oleju do głowy. Powiedziałam jej w oczy, że jest idiotka i oślica, a ona miała do powiedzenia tylko tyle, że nie robi nic złego. Mówiła prawdę, na pewno, ale ja byłam zdania, że stacza się po równi pochyłej. Widzi pan, po kłótni sprzed roku moja siostra nauczyła się kłamać od czasu do czasu w myśl zasady: czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Powód drugiej awantury był wyraźny: Betty powiedziała Donowi, że jedzie do przyjaciółki, która mieszka w Hastings, a on dowiedział się, że naprawdę była w Eastbourne z jakimś mężczyzną. Ten jegomość był żonaty i randkę z Betty starał się utrzymać w tajemnicy, co pogorszyło jeszcze całą tę historię. Doszło do okropnej sceny. Betty krzyczała, że nie jest jeszcze mężatką, ma więc prawo chodzić gdzie i z kim jej się podoba, a bład jak płótno Don trząsł się cały i wołał, że kiedyś... kiedyś...

— Tak, słucham...

— ...że ją kiedyś zamorduje — dokończyła Megan ledwie dosłyszalnym głosem.

Umilkła i spojrzała na Poirota.

— Nic dziwnego, że obawiała się pani — zaczął mój przyjaciel poważnie kiwając głową.

— Nie — przerwała — ani przez chwilę nie podejrzewałam, że Don naprawdę to robi. Obawiałam się tylko, że obecnie historia ta może wypłynąć na wierzch. Kilka osób wiedziało o awanturze i... i o tym, co Don wtedy mówił.

Poirot znowu poważnie pokiwał głową.

— Słusznie — powiedział. — Dodam nawet coś więcej, *Mademoiselle*. Gdyby nie egoistyczna próżność mordercy, ta awantura sprzed miesiąca musiałaby wypłynąć. Jeżeli Donald Fraser uniknie podejrzeń, zawdzięczać to będzie jedynie szaleńczej chępliwości tajemniczego A.B.C. — umilkł na chwilę. — Nie wiadomo pani, czy Betty spotykała ostatnio tamtego żonatego pana albo jakiegoś innego mężczyznę?

— Nie wiem — Megan pokręciła głową. — Od tamtej awantury nie byłam w domu.

— A jaka jest pani opinia na ten temat?

— Chyba siostra nie spotykała się z tamtym mężczyzną. Przypuszczam, że zwinął chorągiewkę, jak się dowiedział, że istnieje możliwość kompromitacji. Ale nie zdziwiłabym się wcale, gdybym usłyszała, że Betty znów raz czy drugi okłamała Dona. Widzi pan, ona przepadała za kinem i tańcami, a Dona nie stać było na prowadzenie jej dokądś każdego wieczora.

— Czy sądzi pani, że w takich przypadkach mogła zwierzać się komuś, na przykład koleżankom z kawiarni?

— To mało prawdopodobne. Betty nie cierpiała tej Higley. Uważała ją za ordynarną dziewczynę. A inne kelnerki są nowe. W ogóle Betty nie odznaczała się skłonnością do zwierzeń.

Dzwonek elektryczny zaterkotał głośno nad głową Megan, która zbliżyła się do okna, wyjrzała i szybko cofnęła się, jak gdyby przestraszona.

— To Don...

— Proszę go tu sprowadzić — zawołał szybko Poirot. — Chciałbym zamienić z nim kilka słów, nim dostanie się w łapy naszego inspektora.

Megan Barnard błyskawicznie wybiegła z kuchni i po kilku sekundach wróciła prowadząc za rękę pana Donalda Frasera.

Rozdział XII

Donald Fraser

Z miejsca zrobiło mi się żal tego młodego człowieka. Miał tragiczną twarz i półprzytomne oczy, co dowodziło, iż doznał niebywałego wstrząsu. Był przystojnym, dobrze zbudowanym chłopcem. Miał blisko sześć stóp wzrostu, piegowatą twarz, płomiennorude włosy, wystające kości policzkowe i chociaż trudno go było nazwać urodziwym, robił miłe wrażenie.

— Co się tu dzieje, Megan? — spytał. — Dlaczego przyjechałaś? Na miłość boską, powiedz... usłyszałem po drodze, że Betty... — głos mu się załamał.

Poirot podsunął fotel, na który młody człowiek opadł ciężko. Wówczas mój przyjaciel dobył z kieszeni płaską flaszkę, wlał jej zawartość do kubka, który wziął z kredensu, i powiedział:

— Proszę to wypić, panie Fraser. Dobrze panu zrobi.

Młodzieniec posłuchał. Koniak przywrócił nieco barwy jego twarzy. Wyprostował się w fotelu i ponownie zwrócił do Megan. Zachowywał się teraz spokojnie i z opanowaniem.

— Myślę, że to prawda — powiedział. — Betty... nie żyje... zamordowana...

— Prawda, Don.

— Czy przyjechałaś dziś rano? — zapytał jakby bezwiednie.

— Tak.

— Przyjechałaś pociągiem o dziewiątej trzydzieści, co? — ciągnął Donald Fraser. Widocznie podświadomie uciekał od rzeczywistości i szukał ratunku pośród drobiazgów bez znaczenia.

— Tak — odpowiedziała dziewczyna i zapadło głucho milczenie.

— A co robi policja? — zapytał Fraser.

— Jest w tej chwili na górze. Zdaje się przetrząsa rzeczy Betty.

— Nie wiadomo jeszcze kto?... Nikogo nie podejrzewają? — urwał; widocznie, jak większość osób nieśmiałych, nie znosił mówienia o sprawach tragicznych.

Poirot postąpił krok naprzód i zapytał beznamiętnym tonem, jak gdyby interesujący go w tej chwili szczególnie nie miał większego znaczenia:

— Czy panna Barnard nie mówiła panu, dokąd wybierała się wczoraj wieczorem?

— Mówiła, że z jakąś przyjaciółką jedzie do Saint Leonards.

— Uwierzył jej pan?

— Widzi pan... — Fraser, który dotychczas odpowiadał jak automat, wrócił nagle do życia. — O co panu, u diabła, chodzi?

Wyraz jego twarzy skurczonej nagłym gniewem powiedział mi w tej chwili, że Betty naprawdę mogła obawiać się zdenerwowania narzeczonego.

— Betty Barnard została zamordowana przez jakiegoś szaleńca czy zwyrodnialca — podjął sucho Poirot. — Jedynie mówiąc całkowitą prawdę może pan nam pomóc w trafieniu na ślad zbrodniarza.

Młody człowiek pytająco spojrział na Megan.

— To prawda, Don — powiedziała. — Nie pora teraz chronić własne albo czyjeś uczucia. Musisz wyjść czysto z tej historii.

— Kto pan jest? Chyba nie służy w policji? — Fraser spojrział podejrzliwie na sławnego detektywa.

— Jestem kimś znacznie lepszym niż policja — oznajmił Poirot bez samochwalstwa, gdyż uważał to za proste stwierdzenie faktu.

— Powiedz mu wszystko — zachęciła Megan, a Fraser skapitulował.

— Widzi pan, nie byłem zupełnie pewien. Wierzyłem Betty, jak mi mówiła, gdzie się wybiera. Niczego wtedy nie podejrzewałem. Ale... ale w jej zachowaniu było coś takiego, co obudziło moje wątpliwości.

— Tak, rozumiem — wtrącił Poirot.

Usadowił się naprzeciwko Donalda Frasera i wpatrywał mu się w oczy jak hipnotyzer.

— Wstyd mi nawet było, że mam nieuzasadnione podejrzenia, ale cóż... z natury jestem podejrzliwy. Chciałem pójść na bulwar i śledzić Betty po wyjściu z kawiarni. Nawet tam już poszedłem, lecz w ostatniej chwili zrozumiałem, że nie zdobędę się na to. A zresztą, Betty mogłaby mnie zobaczyć i pogniewać się na mnie. Od razu by odgadła, że ją obserwuję.

— Więc co pan zrobił?

— Pojechałem do Saint Leonards. Byłem tam już około ósmej i obserwowałem wszystkie autobusy, żeby przekonać się, czy przyjechała. Ale nie było nawet śladu Betty.

— Co dalej?

— Całkiem straciłem głowę. Nie wątpiłem już, że jest gdzieś z jakimś facetem. Wmówiłem sobie,

że ten ktoś musiał ją zabrać samochodem do Hastings. Pojechałem tam. Zaglądałem do wszystkich restauracji, kawiarni, czekałem przed kinami, spacerowałem po molo. Zachowywałem się jak skończony osioł. Nawet gdyby tam była, nie spotkałbym jej najprawdopodobniej, a poza tym jest sto miejscowości, do których ten ktoś mógłby ją zawieźć zamiast do Hastings.

Umilkł. Przez cały czas mówił spokojnym, rzeczowym tonem, pod którym wszakże wyczuwałem nurt tłumionego gniewu i rozpaczy.

— Wreszcie zrezygnowałem. Wróciłem do Bexhill.

— O której?

— Nie wiem. Szedłem piechotą. Musiała już być północ, może nawet później. Poszedłem prosto do siebie.

— I co?

W tej chwili otworzyły się drzwi kuchni.

— Aha, tutaj jesteście — ucieszył się aspirant Kelsey. Inspektor Crome usunął go z drogi, złym spojrzeniem zmierzył Poirota, a potem podejrzliwie obejrzał dwoje nieznanomych.

— Panna Megan Barnard i pan Donald Fraser — zaprezentował mój przyjaciel niby w salonie. — A to inspektor Crome z Londynu — w dalszym ciągu mówił już tylko do inspektora. — W czasie, kiedy pan prowadził poszukiwania na piętrze, ja rozmawiałem tutaj z panną Barnard i panem Fraserem. Próbowałem dowiedzieć się czegoś, co rzuciłoby bodaj iskrę światła na tę ciemną sprawę.

— O, czyżby? — inspektor Crome był w tej chwili bardziej zajęty parą nowo przybyłych niż Herkulesem Poirotem.

Ten ostatni począł wycofywać się do przedpokoju, a zawsze uprzejmy aspirant Kelsey zagadnął go w przejściu:

— Zdobył pan coś?

Słynny detektyw nie odpowiedział, na co młody policjant nie zwrócił uwagi, gdyż zajęty był starszym kolegą.

W przedpokoju dogoniłem Poirota.

— Powiedz mi, czy w tej rozmowie coś cię uderzyło? — zapytałem.

— Nic prócz zdumiewającej wspaniałomyślności mordercy.

Nie miałem odwagi wyznać, że absolutnie nie rozumiałem, co miał na myśli.

Rozdział XIII

Konferencja

Konferencje, konferencje... Znaczna, część moich wspomnień ze sprawy A.B.C. łączy się z konferencjami: w Scotland Yardzie, w mieszkaniu Poirota, z konferencjami oficjalnymi i nieoficjalnymi.

Ta konferencja miała zdecydować, czy należy opublikować w prasie fakty dotyczące anonimowych listów. Morderstwo w Bexhill zyskało nieporównanie więcej rozgłosu niż sprawa z Andover. Było w nim oczywiście więcej elementów sprzyjających popularności. Ofiarą zbrodniarza padła młoda dziewczyna, a zbrodnia miała miejsce w bardzo znanej miejscowości nadmorskiej. Wszystkie szczegóły znalazły odpowiednie miejsce w dziennikach, gdzie trafiła również wzmianka o rozkładzie kolejowym ABC. Dziennikarskie teorie głosiły, że rozkład ów musiał być kupiony przez mordercę na miejscu, stanowi więc nieocenioną wskazówkę do jego identyfikacji. Okoliczność ta miała również dowodzić, że zbrodniarz przyjechał pociągiem z Londynu i zamierzał wrócić tam w ten sam sposób.

W sprawozdaniach z Andover nie było słowa o rozkładzie kolejowym, zachodziło więc minimalne prawdopodobieństwo, by ktokolwiek spośród szerokiej publiczności powiązał ze sobą te dwa morderstwa.

— Musimy dziś zdecydować — zagaił konferencję główny inspektor — jaką obierzemy politykę. Istotna jest kwestia, jaki kierunek zapewni nam większe korzyści. Możemy wszystkie fakty podać do publicznej wiadomości i dzięki temu uzyskać pomoc, powiedzmy... kilkunastu milionów ludzi, którzy zaczną zwracać uwagę na szaleńca.

— Ten człowiek na pewno nie wygląda na szaleńca — wtrącił doktor Thompson.

— Ludzie ci — ciągnął główny inspektor — będą zwracać uwagę nie tylko na szaleńca, lecz i na sprzedaż rozkładów ABC. To są korzyści. Zaś przeciw rozgłosowi przemawia teoria, że lepiej pracować w mroku nie zdradzając zbrodniarzowi, co wiemy i do czego zmierzamy. Lecz z drugiej strony ten człowiek i tak orientuje się mniej więcej, co jest nam wiadome. Dzięki anonimowym listom rozmyślnie zwrócił na siebie uwagę. Inspektorze Crome, zechce się pan wypowiedzieć na ten temat?

— Ja tak to sobie wyobrażam: jeśli rozgłosimy całą historię, pójdziemy na rękę naszemu A.B.C. Przecież o to mu właśnie chodzi. O rozgłos, sławę. Do tego tylko zmierza. Czy mam słuszność, doktorze?

Thompson przytaknął ruchem głowy, a główny komisarz podjął po chwili namysłu:

— A więc chciałby pan położyć temu tamę? Nie dać mordercy sławy, do której zdąża... A jakie jest pańskie zdanie, Poirot?

Mój przyjaciel milczał przez chwilę; gdy się odezwał, miałem wrażenie, że starannie dobiera słowa:

— To wszystko jest dla mnie bardzo kłopotliwe... Jestem poniekąd stroną zainteresowaną. Wyzwanie skierowane zostało do mnie. Jeżeli powiem: zatuszować sprawę, nie rozgłaszać jej w miarę możliwości — mogłoby się wydać, iż mówię to w imię własnej próżności, obawiając się o swoją reputację. Kwestia nie jest prosta. Roztrąbić... Niewątpliwie, ma to swoje dobre strony. Będzie co najmniej ostrzeżeniem. Lecz, z drugiej strony, zgadzam się z inspektorem Crome'em, że o to właśnie chodzi mordercy.

— Hm... Hm... — główny inspektor potarł podbródek i spojrzał na doktora Thompsona. — Przypuśćmy, że odmówimy szaleńcowi rozgłosu, na którym mu zależy. Jak pan sądzi, doktorze, co wtedy zrobi?

— Zapewne popełni nową zbrodnię.

— A jeżeli ogłosimy wszystko w prasie, jaka będzie jego reakcja?

— Identyczna. Albo podsycimy jego megalomanię, albo ją urazimy. Wynik będzie ten sam: nowa zbrodnia.

— Co pan na to, Poirot?

— Zgadzam się całkowicie z panem doktorem.

— Hm... Trudny orzech do zgryzienia... Jak pan przypuszcza, ile morderstw planuje ten szaleniec?

— Wydaje mi się — odpowiedział doktor Thompson spoglądając na Poirota — że ma plan od A do Z. Naturalnie nie dojedzie tak daleko, ani nawet do połowy. Chwycicie go panowie gdzieś po drodze. Ciekaw jestem — uśmiechnął się blado — jak poradziłby sobie z literą „X”? — urwał, jak gdyby się zawstydził niewczesnego dowcipu. — Ale tego się nie dowiemy. Na pewno wpadnie przy „G” lub „H”.

Główny inspektor uderzył pięścią w stół.

— Na Boga! — zawołał. — Twierdzi pan, że trzeba się jeszcze liczyć z pięcioma morderstwami?

— Do tego nie dopuścimy, może pan być spokojny

— wtrącił inspektor Crome.

— Na jaką literę alfabetu pan stawia, Crome? — zapytał Poirot.

W głosie mojego przyjaciela była nutka ironii. Inspektor spojrzał na niego ze zwykłą sobie spokojną wyższością.

— Cóż, panie Poirot, możemy ująć go już następnym razem. A w każdym razie mogę gwarantować,

że nie dojdzie dalej niż do „F” — zwrócił się do głównego inspektora. — Mam wrażenie, że rozumiem dokładnie psychologiczną stronę zagadnienia. Pan doktor Thompson zechce mnie łaskawie poprawić, jeżeli popełnię błąd... Po każdej zbrodni A.B.C. jego pewność siebie wzrasta co najmniej o sto procent. Za każdym razem myśli: „Jestem mądry. Nie mogą mnie złapać”, i staje się coraz bardziej zarozumiały, co w końcu doprowadzić musi do nieostrożności. Przecenia własny spryt i głupotę reszty świata. Niedługo w ogóle przestanie dbać o środki ostrożności. Czy mam słuszość, doktorze?

— Niewątpliwie. Podobnie dzieje się zawsze w tego rodzaju przypadkach. W terminologii nielekarskiej trudno wyrazić to ściślej. Pan zna się na takich rzeczach, panie Poirot. Czy zgadza się pan z nami?

Mam wrażenie, że Crome poczuł żal do doktora za zwrócenie się do mego przyjaciela. Inspektor uważał się za jedyne nieomyślne znawcę podobnych zagadnień.

— Przyznaję słuszość inspektorowi Crome’owi — powiedział Poirot.

— Tak, tak... Paranoja — mruknął doktor.

— Czy w sprawie z Bexhill wypłynęły na wierzch jakieś interesujące szczegóły? — zapytał Poirot inspektora Crome’a.

— Nic określonego. Kelner z restauracji Splendide w Eastbourne poznał fotografię zamordowanej dziewczyny. Twierdzi, że dwudziestego czwartego wieczorem jadła ona kolację w towarzystwie jakiegoś mężczyzny w średnim wieku, w okularach. Rozpoznano ją także w przydrożnym hoteliku Pod Szkarłatnym Gońcem, między Bexhill a Londynem. Podobno była tam o godzinie dwudziestej pierwszej dnia dwudziestego czwartego z mężczyzną ubranym po cywilnemu, ale wyglądającym na oficera marynarki. Obydwa te twierdzenia nie mogą być prawdą, ale każde z nich jest prawdopodobne. Naturalnie wpłynęło jeszcze mnóstwo zeznań, ale to już są zupełne brednie. Policja nie mogła stwierdzić pochodzenia rozkładu jazdy ABC.

— Jak stąd wynika, inspektorze Crome — powiedział główny inspektor — robi pan wszystko, co w ludzkiej mocy. A co pan powie, Poirot? Nie nasuwa się panu jakiś nowy kierunek śledztwa?

— Moim zdaniem — odpowiedział wolno mój przyjaciel — chodzi przede wszystkim o najważniejszą wskazówkę: o wykrycie motywu.

— Przecież to jasne! — zawołał Crome. — Kompleks alfabetyczny. Fachowo tak się to nazywa, prawda, doktorze?

— Wiem, wiem — podjął Poirot. — Mamy do czynienia z kompleksem alfabetycznym. Ale dlaczego właśnie ten kompleks? Szaleniec, przede wszystkim szaleniec, ma zawsze bardzo wyraźne powody, dla których popełnia zbrodnie.

— Nie przesadzajmy, panie Poirot — obruszył się Crome. — Niech pan sobie przypomni Stonemana z tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku... Pod koniec ten wariat usuwał

wszystkich, którzy irytowali go w najmniejszym bodaj stopniu. — Zgoda. Jeżeli ktoś uważa się za osobistość wielką i niesłuchanie ważną, jest zdania, że powinien usuwać wszystko, co go irytuje. Jeżeli mucha siada panu na czole raz po raz i łaskocze łapkami, co pan uczyni? Będzie się pan starał zabić muchę. Nie powstrzymają pana żadne skrupuły. Pan jest ważny, mucha nie. Zabija pan muchę i przykrość ustaje. Czyn ten wydaje się panu rozsądny i całkowicie usprawiedliwiony. Ale może być inny powód zabijania much. Może pan na przykład być gorącym zwolennikiem higieny. Mucha jest potencjalnym źródłem niebezpieczeństwa dla ludzkości. Mucha musi zginąć... Podobnie pracuje umysł zwyrodnialca o skłonnościach zbrodniczych. Ale proszę się zastanowić nad przypadkiem, który rozważamy. Ofiary są wybierane w porządku alfabetycznym, a więc zbrodniarz nie morduje ich dlatego, że mu osobiście przeszkadzają. Połączenie tych dwóch kierunków rozumowania stanowiłoby niemożliwy zbieg okoliczności.

— O to chodzi! — wtrącił żywo doktor Thompson. — Dobrze pamiętam pewien przypadek: kiedy mąż został skazany na śmierć, żona zaczęła mordować jednego po drugim sędziów przysięgłych. Wiele czasu upłynęło, zanim policja wykryła związek między tymi zbrodniami. Zrazu wydawały się zupełnie przypadkowe. Jak słusznie twierdzi Poirot, nie ma mordercy, który popełnia zbrodnie na chybił trafił. Albo usuwa ludzi, którzy w choćby zupełnie nieszkodliwy sposób stoją mu na drodze, albo zabija z przekonania: duchownych, policjantów, prostytutki, ponieważ wierzy głęboko, że osoby tej lub innej kategorii powinny być zabijane. Tego rodzaju klasyfikacji nie da się tutaj zastosować. Tak przynajmniej wydaje mi się dotychczas. Niepodobna pani Ascher i Betty Barnard uważać za osoby przynależne do jakiejś wspólnej kategorii. Chyba, że jest to kompleks seksualny. Obie ofiary były kobietami. Naturalnie, lepszy pogląd będziemy mogli sobie wyrobić po następnej zbrodni.

— Na miłość boską, doktorze, niech pan nie mówi tak gładko o następnej zbrodni! — wybuchnął główny inspektor. — Zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy, by jej zapobiec!

Doktor Thompson umilkł i głośno wytarł nos, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ha, róbcie, co chcecie, jeżeli boicie się spojrzeć prawdzie w oczy!”

— Widzę, do czego pan zmierza — zwrócił się główny inspektor do Poirota — ale nie wszystko jeszcze rozumiem dokładnie.

— Zadaję sobie wciąż pytanie — podjął Poirot — jak przebiega proces myślowy mordercy. Jak wynika z jego listów, morduje dla sportu, dla zabawy. Ale jeżeli to nawet jest prawda, męczycie mnie, na jakiej zasadzie (pomijając zwykły porządek alfabetyczny) dobiera ofiary? Gdyby mordował tylko dla sportu, nie rozgłaszałby swoich zamiarów, bo w skrytości mógłby mordować łatwiej. Ale nie. Morderca, z czym wszyscy się zgadzamy, dąży do rozgłosu, do sławy. Pragnie się pokazać, być wielkim człowiekiem. Dobór dwóch dotychczasowych jego ofiar zupełnie nie wyjaśnia jego motywów. Jeszcze jedno: motywem może być nienawiść do mnie, do Herkulesa Poirota. Może dlatego rzucił mi wyzwanie, że ja nie wiedząc o tym pokonałem go niegdyś. Może to też być niechęć osobista, skierowana przeciwko cudzoziemcowi. A jeżeli tak jest w istocie, jakie są źródła tej niechęci? Jakich krzywd doznał ten człowiek od cudzoziemca czy cudzoziemców?

— Są to pytania bardzo istotne — przyznał doktor Thompson,

— O, czyżby? — chrząknął dyskretnie inspektor Crome. — Może istotne, ale w obecnej sytuacji

pytania bez odpowiedzi.

— Mimo wszystko, *mon ami* — powiedział Poirot spoglądając prosto w twarz inspektora — od odpowiedzi na takie właśnie pytania zależy rozwiązanie zagadki. Musimy poznać przyczynę (dla nas może fantastyczną, ale dla mordercy zupełnie logiczną), dla której ten szaleniec morduje ludzi. Wówczas moglibyśmy zapewne odgadnąć, kto ma być kolejną ofiarą.

Crome z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Moim zdaniem A.B.C. wybiera ofiary na chybił trafił — mruknął.

— Cóż to za wspaniałomyślny morderca! — powiedział Poirot.

— Jak to? Nie rozumiem?

— Powiedziałem: cóż to za wspaniałomyślny morderca! Gdyby nie anonimy A.B.C., Franz Ascher zostałby aresztowany pod zarzutem morderstwa swojej żony, a za śmierć Betty Barnard odpowiadałby najprawdopodobniej Donald Fraser. Czy nasz A.B.C. jest człowiekiem o tak miękkim sercu, że nie może ścierpieć, by inni odpowiadali za nie popełnione winy?

— Cóż, zdarzały się i dziwniejsze rzeczy — zabrał głos doktor Thompson. — Wiem o człowieku, który po pięciu morderstwach załamał się przy szóstym, dlatego że ofiara nie zginęła natychmiast i cierpiała przed śmiercią. Wydaje mi się jednak, że w danym przypadku nie ten motyw gra rolę. A.B.C. pragnie, aby jemu tylko przypadł w udziale zaszczyt popełnienia zbrodni. To będzie chyba wyjaśnienie najbliższe prawdy.

— Tak czy inaczej, nie postanowiliśmy jeszcze, czy rozgłosimy tę sprawę, czy też zatrzymamy ją w sekrecie — przypomniał główny inspektor.

— Jeżeli wolno wyrazić swoje zdanie — zabrał głos Crome — radzę, aby poczekać do nadejścia trzeciego listu. Wtedy można rozgłosić całą sprawę, wydać dodatki nadzwyczajne i tak dalej. Może to wywołać nieco paniki w kolejnym mieście, ale będzie ostrzeżeniem dla wszystkich, których nazwiska zaczynają się na „C”, a zarazem wyzwaniem dla mordercy. Przy takim rozgłosie będzie musiał osiągnąć powodzenie i dlatego właśnie wpadnie w nasze ręce.

Nikt z obecnych na tej konferencji nie zdawał sobie „sprawy, jak dalej potoczą się wydarzenia.

Rozdział XIV

Trzeci list

Dobrze pamiętam moment nadejścia trzeciego listu A.B.C. Muszę przyznać, że przedsięwzięto wszystkie środki zmierzające do uniknięcia najmniejszej zwłoki w chwili podjęcia kampanii przez mordercę. Do domu Poirota został przydzielony miody sierżant ze Scotland Yardu, który miał rozkaz otwierania całej korespondencji pod naszą nieobecność. W ten sposób Scotland Yard mógł być powiadomiony niezwłocznie o nowym liście.

Dnie mijały i napięcie rosło niemal z godziny na godzinę. Inspektor Crome, tajemniczy jak zwykle i wyniosły, stawał się coraz bardziej tajemniczy i wyniosły w miarę, jak rozmaite drogi kolejno prowadziły na manowce. Niedokładne rysopisy mężczyzn widzianych jakoby z Betty Barnard nie przydały się na nic. Różnorodnych samochodów zauważonych w okolicy Bexhill i Cooden nie można było zidentyfikować albo też identyfikacja nie wiodła do niczego. Dochodzenie, gdzie został kupiony rozkład kolejowy, naraziło tylko na kłopoty wiele Bogu ducha winnych osób.

Poirotowi i mnie serca zamierały za każdym razem, gdy słyszeliśmy dobrze znajome pukanie listonosza. W każdym razie tyczy to mnie, a wierzę głęboko, że i Poirot doznawał podobnych uczuć.

Cała ta sprawa budziła w moim przyjacielu wielkie przygnębienie. Stanowczo nie chciał wyjeżdżać z Londynu, pragnąc być na miejscu w przypadku alarmu.

Cierpiał od nieznośnych upałów i chyba po raz pierwszy w życiu zaniedbywał nawet swoje wąsy.

Trzeci list od A.B.C. przyszedł w piątek wieczorną pocztą doręczaną o godzinie dwudziestej drugiej. Kiedy usłyszałem znajome kroki i stukanie do drzwi, pobiegłem do przedpokoju. Listów było cztery czy pięć. Na jednej z kopert zauważyłem adres wypisany drukowanymi literami.

— Poirot! — zawołałem i głos odmówił mi posłuszeństwa.

— Jest list? Jest? Prędko otwieraj, Hastings! Szkoda każdej sekundy. Musimy opracować plan.

Jednym szarpnięciem rozdarłem kopertę (Poirot nie strofował mnie tym razem za brak systematyczności) i wyciągnąłem ćwiartkę papieru zapisaną drukowanymi literami.

— Czytaj! — rzucił Poirot.

Biedny panie Poirot! Nie taka to prosta historia, jak drobne kryminalne sprawy, z którymi borykał się pan dotychczas. A może dlatego tak źle idzie, że pan się zestarzał? Przekonamy się, czy lepiej będzie następnym razem. Czeka pana znacznie łatwiejsze zadanie w Churston 30 bm. No,

niechże się pan postara! Ciągłe sukcesy zaczynają mnie nudzić. Życzę powodzenia na polowaniu.

Z poważaniem

A.B.C.

— Churston — powiedziałem sięgając po rozkład ABC. — Zobaczymy, gdzie to jest.

— Hastings — powiedział Poirot zdławionym głosem. — Kiedy ten list był pisany? Czy jest data? Spojrzałem na trzymaną w ręku ćwiartkę papieru.

— Jest — odrzekłem. Dwudziesty siódmy.

— Czy nie przesłyszałem się, Hastings? Czy zbrodnia została wyznaczona na trzydziestego?

— Tak, tak... Zaraz sprawdzę i...

— Na Boga! Przecież dziś jest trzydziesty! Wymownym gestem wskazał kalendarz na ścianie, ja zaś chwyciłem gazetę, aby jeszcze raz sprawdzić datę.

— Ale jak... dlaczego? — wyjąkałem.

Poirot chwycił rzuconą na podłogę rozdartą kopertę. Już w pierwszej chwili uderzyło mnie coś niezwykłego w adresie, ale byłem tak ciekaw treści listu, że kopercie poświęciłem jedynie przelotne spojrzenie. Poirot mieszkał w owym czasie w Whitehaven Mansions. Adres na kopercie brzmiał: pan Herkules Poirot. Whitehorse Mansions. W rogu ktoś nagryzmoilił: „Nieznany w Whitehorse Mansions E.C. 1 ani Whitehorse Court. Przesłać do Whitehaven Mansions”.

— Bon Dieu!* — jęknął Poirot. — Czyżby los sprzyjał temu szaleńcowi? Prędko! Prędko! Musimy zaraz porozumieć się ze Scotland Yardem.

W minutę później rozmawialiśmy przez telefon z inspektorem Crome'em. Tym razem człowiek chłodny i zawsze opanowany nie odpowiedział: „O, czyżby?” Zaklął półgłosem. Wysłuchał, co mieliśmy do powiedzenia, i rozłączył się zaraz, by zamówić błyskawiczną rozmowę z Churston.

— Za późno! Za późno! — mówił jakby do siebie Poirot.

— Jeszcze nic nie wiadomo — próbowałem go pocieszyć, chociaż sam nie żywiłem żadnej nadziei.

— Dwadzieścia po dziewiątej — rzekł spoglądając na zegar. — Pozostało sto minut. Trudno sobie wyobrazić, by A.B.C. czekał aż tak długo.

Szybko otworzyłem rozkład jazdy, który uprzednio wzięłem z półki.

— Churston w Devonie. Od dworca Paddington dwieście cztery mile. Ludność: sześćset pięćdziesięciu sześciu mieszkańców. Wygląda to na małą miejscowość. Może ktoś zauważy naszego szaleńca?

— Jeżeli nawet tak — powiedział Poirot — znowu człowiek straci życie. Jakie mamy pociągi? Koleją szybciej chyba dojedziemy niż samochodem.

— Jest pociąg punktualnie o północy z wagonem sypialnym do Newton Abbot. Do Churston przyjeżdża o siódmej piętnaście.

— Z dworca Paddington?

— Tak.

— Pojedziemy tym pociągiem.

— Ale przed wyjazdem nie zdążymy się nic dowiedzieć.

— Nie ma znaczenia, czy złą wiadomość otrzymamy dzisiaj w nocy, czy jutro rano.

Poirot podszedł znów do telefonu, aby raz jeszcze zadzwonić do Scotland Yardu, ja zaś zacząłem pakować walizkę. Po kilku minutach wszedł do sypialni i spytał groźnie:

— Co ty wyprawiasz?

— Pakuję twoją walizkę. Myślałem, że tak będzie prędzej.

— Zanadto się przejmujesz, mój drogi. Wzruszenia działają na twoje ręce i umysł. Czy tak się składa marynarce? Albo spojrz, co zrobiłeś z moją piżamą!

— Na Boga, Poirot! — zawołałem. — Chodzi o życie ludzkie. Chyba nie czas troszczyć się w takiej sytuacji o ubranie.

— Brak ci poczucia proporcji. Nie wyjedziemy wcześniej, niż odchodzi pociąg, a niszczenie ubrania w żaden sposób nie może zapobiec morderstwu.

Stanowczym ruchem odebrał mi walizkę i sam wziął się do pakowania. Przy sposobności wyjaśnił mi, że kopertę i list weźmiemy na dworzec, gdzie oddamy je komuś przysłanemu ze Scotland Yardu. Pierwszą osobą, jaką spotkaliśmy na peronie, był inspektor Crome, który odpowiedział szybko na pytające spojrzenie mego przyjaciela:

— Jak dotąd, żadnych wiadomości. Postawiłem na nogi całą policję w Churston i okolicy. Wszyscy mieszkańcy, których nazwiska zaczynają się na „C”, mają być ostrzeżeni, o ile możliwości telefonicznie. Jeszcze nie wszystko stracone. Gdzie ten list?

Poirot podał mu list i kopertę, on zaś spojrział na nie i jeszcze raz zaklął.

— Piekielny pech! Nasz morderca urodził się widać pod szczęśliwą gwiazdą!

— Czy nie zdaje się panom — wtrąciłem — że ta omyłka była celowa?

— Nie — Crome pokręcił głową. — On kieruje się zasadami. Szalonymi, być może, ale niewzruszonymi. Jest zwolennikiem uczciwego wyzwania w porę. To punkt jego honoru, z czego jest niewątpliwie niesłychanie dumny. Ciekawe, bardzo ciekawe, czy ten A.B.C. pija whisky White Horse?

— *Ah, c'est ingenieux ça!** — zawołał Poirot wbrew woli pełen podziwu. — Facet pisał list, a butelka stała przed nim.

— Właśnie tak to sobie wyobrażam. Każdemu może się czasem zdarzyć, że przepisze coś, co ma akurat przed oczyma. Zaczął pisać White i dodał horse zamiast haven.

Jak się okazało, inspektor jechał do Churston tym samym pociągiem.

— Potrzebny tam jestem — mówił. — Nawet gdyby niezwykłym zbiegiem okoliczności nic się nie stało, Churston zasługuje na uwagę. A.B.C. jest tam albo był dzisiaj rano. Na dworcu czuwa przy telefonie jeden z moich ludzi. Jeżeli nadejdą jakieś wiadomości, będziemy je mieli nawet w ostatniej chwili przed odejściem pociągu.

Kiedy pociąg ruszył, spostrzegłem, że jakiś człowiek biegnie wzdłuż peronu. Pod oknem przedziału inspektora zawołał coś. Niezwłocznie ruszyliśmy korytarzem i zastukali do drzwi przedziału sypialnego Crome'a.

— Są wiadomości? — zapytał Poirot.

— Najgorsze, jakie nadejść mogły — odparł spokojnie inspektor. — Znaleziono sir Cecila Clarke'a z rozbitą głową.

Nazwisko to, nie bardzo znane szerokiej publiczności, miało jednak pewien rozgłos. Sir Cecil Clarke, słynny laryngolog, wycofał się przed kilkoma laty z praktyki, a że był człowiekiem majątnym, mógł pofolgować jedynej swojej namiętności życiowej: kolekcjonowaniu chińskiej ceramiki i porcelany. Kilka lat temu odziedziczył po stryju znaczny majątek, miał więc duże możliwości finansowe i był obecnie jednym z najbardziej znanych zbieraczy. Był żonaty, lecz nie miał dzieci. Mieszkał w zbudowanym przez siebie domu na wybrzeżu Devonu, a w Londynie pokazywał się rzadko, przyjeżdżając jedynie na ważniejsze licytacje. Nie trzeba wielkiej przenikliwości, by domyślić się, że jego śmierć (po morderstwie młodej i ładnej dziewczyny) będzie największą od lat sensacją prasową. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że w ogórkowym sezonie gazetom na ogół brak materiałów.

— Cóż — powiedział Poirot — możliwe, że rozgłos dokona tego, co nie udało się nam. Teraz cała Anglia będzie szukać tajemniczego A.B.C.

— Niestety — wtrąciłem — o to mu właśnie chodzi.

— Tak. Ale osiągnięcie celu może być zarazem klęską. Upojony powodzeniem morderca stanie się nieostrożny. Na to właśnie liczę. A.B.C. odurzy się własną wielkością.

— Jakie to dziwne, Poirot — nagle to sobie uprzytomniłem. — Czy wiesz, że pierwszy raz pracujemy razem nad zbrodnią tego rodzaju? Wszystkie nasze dotychczasowe morderstwa były... jak by to powiedzieć... prywatne.

— Masz słuszość, przyjacielu. Do tej pory pracowaliśmy zawsze od środka. Ważna była historia ofiary i pytania, kto odnosi korzyści z tej śmierci i kto miał najlepszą sposobność popełnić zbrodnię. Do tej pory mieliśmy zawsze do czynienia ze zbrodnią intymną. Teraz po raz pierwszy stykamy się z nieosobistym morderstwem na zimno. Z morderstwem od strony zewnętrznej.

Wzdrygnąłem się.

— To straszne!

— Tak — przyznał Poirot. — Już w chwili czytania pierwszego listu wydało mi się to bardzo groźne — niecierpliwie machnął ręką. — Ale nie trzeba poddawać się nerwom. Ta historia nie jest gorsza od każdej przeciętnej zbrodni.

— Jest, jest gorsza! — zawołałem.

— Czy to gorzej odbierać życie ludziom obcym niż komuś może bliskiemu i drogiemu? Komuś, kto najprawdopodobniej ufa i wierzy mordercy?

— To gorsze, bo szalone.

— Nie, mój drogi, nie gorsze, tylko trudniejsze.

— Nie, nie, nie zgadzam się z tobą. W tej zbrodni jest coś nieporównanie bardziej potwornego.

— Cóż, powinna być łatwiejsza do wykrycia, ponieważ jest szalona — mówił z namysłem Poirot. — Zbrodnią popełniona przez osobę przebiegłą, zdrową na umyśle, może być nieporównanie bardziej zawiła. Ach, gdyby można trafić na właściwą myśl! Ten kompleks alfabetyczny nie wydaje mi się zupełnie przekonywający. Gdybym mógł odkryć właściwą myśl przewodnią, wszystko stałoby się od razu proste i jasne — westchnął i pokiwał głową. — Ten łańcuch nie może ciągnąć się w nieskończoność. Niedługo, bardzo niedługo odkryję prawdę... No, Hastings, trzeba się przespać. Jutro będziemy mieli pełne ręce roboty.

Rozdział XV

Sir Cecil Clarke

Churston leży opodal morza, pośrodku łuku zatoki Torbay, między Brixham z jednej strony a Paington i Torquay z drugiej. Dziesięć lat temu były tam tylko pola golfowe, a dalej łagodna płaszczyna opadająca w stronę morza. Tylko kilka farm stanowiło siedziby ludzkie. Ale w ostatnich latach był w tej okolicy duży ruch budowlany i dziś wybrzeże między Churston i Paington upstrzone jest nowymi domami i willami, posiada nowe szosy i bulwary.

Sir Cecil Clarke kupił mniej więcej dwuakrową działkę z pięknym widokiem na morze. Zbudował nowoczesny dom w formie sześcianu, lecz dosyć przyjemny dla oka. Główny korpus budynku był niewielki; szeroko ciągnęły się tylko dwie galerie mieszczące zbiory właściciela.

Na miejsce przyjechaliśmy przed ósmą rano. Na stacji czekał oficer miejscowej policji; on poinformował nas o całokształcie wydarzeń.

Sir Cecil Clarke miał zwyczaj co wieczór po kolacji odbywać przechadzkę. Kiedy policja zatelefonowała do jego domu około dwudziestej trzeciej, okazało się, że gospodarz nie wrócił ze spaceru. Ponieważ miał ustaloną trasę swych przechadzek, poszukiwania nie trwały długo. Niebawem odnaleziono ciało z głową rozbitą jakimś ciężkim narzędziem. Otwarty rozkład ABC leżał grzbietem do góry na zwłokach.

Do Combeside (tak nazywał się dom sir Cecila) przyjechaliśmy niewiele po ósmej. Drzwi otworzył nam stary kamerdyner, którego drżące ręce i posępna twarz wskazywały, jak bardzo przejął się tragedią.

— Dzień dobry, Deveril — powiedział miejscowy oficer policji.

— Dzień dobry, panie Wells.

— Ci panowie przyjechali z Londynu.

— Panowie będą łaskawi tędy — kamerdyner wprowadził nas do podłużnej jadalni, gdzie stół nakryty był do śniadania. — Zaraz poproszę pana Franklina.

Po chwili wszedł do jadalni wysoki, tęgi blondyn o opalonej twarzy. Był to pan Franklin Clarke, brat ostatniej ofiary. Miał maniery człowieka stanowczego, przywykłego do zdecydowanego działania w nagłym niebezpieczeństwie.

Inspektor Wells dokonał prezentacji.

— To jest inspektor Crome ze Scotland Yardu, a to pan Herkules Poirot i... ee... kapitan Hayter.

— Hastings — poprawiłem sucho.

Franklin Clarke uściśnął nam kolejno ręce i każdemu bystro spojrzął w oczy.

— Przede wszystkim poproszę panów na śniadanie — powiedział. — Sprawę możemy omówić przy jedzeniu.

Nikt nie zaprotestował i niebawem oddawaliśmy sprawiedliwość doskonałym jajom, bekonowi i kawie.

— A więc, do rzeczy — rozpoczął Franklin Clarke.

— Inspektor Wells wyjaśnił mi z grubsza wydarzenia ubiegłej nocy, lecz, prawdę mówiąc, wydaje mi się to bajką z tysiąca i jednej nocy. Czy istotnie mam wierzyć, że mój biedny brat padł ofiarą jakiegoś zbrodniczego szaleńca? Że to trzecie z kolei morderstwo i w każdym przypadku znajdowano rozkład jazdy w pobliżu zwłok?

— To są fakty stwierdzone, panie Clarke.

— Ale dlaczego? Jaką korzyść może przynieść taka zbrodnia nawet komuś o umyśle całkowicie zwyrodniałym?

— Panie Clarke, zmierza pan prosto do celu — powiedział Poirot tonem uznania.

— W obecnej sytuacji nie odniesiemy korzyści szukając motywów — upomniał inspektor Crome. — To zadanie dla psychiatry, chociaż twierdzę, że mam jakie takie doświadczenie w przestępczości obłąkanych. W takich wypadkach motywy są zwykle mało zrozumiałe. Może być mowa o pragnieniu rozgłosu, sławy, o zostaniu kimś zamiast nikim.

— Czy to prawda, panie Poirot?

Clarke powiedział to tonem niedowierzania, a jego apel do doświadczenia Poirota najwidoczniej nie podobał się inspektorowi Crome'owi, gdyż spochmurniał.

— Niewątpliwa prawda — przyznał mój przyjaciel.

— W każdym razie taki zbrodniarz nic może ukrywać się długo — powiedział Clarke tonem zastanowienia.

— Sądzi pan? — spytał Poirot. — Ach, szaleńcy potrafią być zdumiewająco przebiegli. Nie należy też zapominać, że taki typ nie zwraca niczyjej uwagi. Jest zwykle jednym z tych ludzi, których mijamy niepostrzeżenie lub nawet z uśmiechem współczucia.

— Zechce pan poinformować mnie o kilku faktach, panie Clarke — Crome przerwał rozmowę.

— Chętnie służyć.

— O ile mi wiadomo, pański brat był wczoraj zdrowy i w normalnym humorze. Nie otrzymał żadnych specjalnych listów i nic go nie wytrąciło z równowagi.

— Istotnie, zachowywał się tak jak zwykle.

— Nie był przygnębiony lub smutny?

— Przepraszam, inspektorze, tego nie powiedziałem. Smutek i przygnębienie były normalnym stanem mego brata.

— Z jakich powodów?

— Nie wie pan zapewne, że moja bratowa, lady Clarke, jest beznadziejnie chora. Cierpi na raka. Nie istnieje możliwość długiego utrzymania jej przy życiu. Choroba żony była powodem niezwykłego przygnębienia mego brata. Kiedy niedawno wróciłem z Chin, zaskoczyły mnie zmiany, jakie w nim zaszły.

— Przypuśćmy, panie Clarke — wtrącił Poirot — że znaleziono zwłoki pana brata z kulą w głowie albo że obok niego znaleziono rewolwer. Co pomyślałby pan wtedy?

— Otwarciem mówiąc, nie miałbym wątpliwości, że popełnił samobójstwo.

— Ale to nie było samobójstwo — obruszył się Crome. — Wracajmy do rzeczy. Pański brat miał zwyczaj co wieczór odbywać spacer?

— Tak, panie inspektorze.

— Każdego wieczoru?

— No, nie... Jeżeli padał ulewny deszcz...

— Wszyscy w domu wiedzieli oczywiście o tym zwyczaju?

— Oczywiście.

— A poza domem?

— Nie wiem dokładnie, kogo ma pan na myśli mówiąc „poza domem”. Na przykład ogrodnik mógł wiedzieć o tych przechadzkach, ale mógł również nie wiedzieć.

— A w mieście?

— Nie ma tu miasta w ścisłym tego słowa znaczeniu. W Churston jest urząd pocztowy i kilkanaście domów. Ale nie ma hotelu ani sklepów.

— Sądzę, że ktoś obcy wążający się w pobliżu domu nie byłby trudny do zauważenia?

— Wręcz przeciwnie. W sierpniu w naszych stronach wałęsają się tłumy obcych. Codziennie zjawiają się goście z Brixham, Torquay i Paington. Przychodzą pieszo albo przyjeżdżają samochodami czy autobusami. Broadsands — ręką wskazał kierunek — to bardzo popularna plaża. A zatoka Elbury uchodzi za malowniczy zakątek i często odbywają się tam pikniki. Sierpień jest okropny. Nie mają państwo pojęcia, jak tutaj miło w czerwcu i na początku lipca.

— A więc, pańskim zdaniem, trudno byłoby zauważyć kogoś obcego?

— Czy ja wiem?... Gdyby wyglądał na wariata...

— Człowiek, którego szukamy, na pewno nie wygląda na wariata — stwierdził z przekonaniem Crome. — Rozumie pan zapewne, panie Clarke, do czego zmierzam. Morderca musiał węszyć w tych stronach i dowiedział się o spacerach sir Cecila. Aha! Czy ktoś obcy nie przychodził tutaj wczoraj i nie chciał się widzieć z sir Cecilem?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale możemy spytać Deverila.

Zadzwoił i powtórzył pytanie kamerdynerowi.

— Nie, proszę pana. Nikt nie przychodził wczoraj i nie pytał o sir Cecila. Nie widziałem też nikogo kręcącego się w pobliżu domu. Reszta służby też nic nie zauważyła. Pytałem o to.

Kamerdyner milczał przez chwilę, po czym zapytał:

— Czy to wszystko, proszę pana?

— Tak, Deveril, możesz odejść.

Kamerdyner był już w drzwiach, lecz cofnął się i ustąpił z drogi młodej kobiecie. Franklin Clarke wstał na jej powitanie.

— To panna Grey, proszę panów, sekretarka mojego brata.

Od pierwszej chwili uderzyła mnie niezwykła skandynawska uroda tej dziewczyny. Włosy miała prawie popielate, jasnoszare oczy i piękną, przejrzystą cerę, często spotykaną u Norweżek i Szwedek. Wyglądała na dwadzieścia kilka lat. Sprawiała wrażenie osoby równie energicznej, jak efektownej.

— Czy będę panom do czegoś potrzebna? — zapytała siadając do stołu.

Clark podał jej filiżankę kawy, którą przyjęła, ale jeść nic nie chciała.

— Czy pani załatwiała korespondencję sir Cecila? — zapytał Crome.

— Tak, całą korespondencję.

— Czy widziała pani kiedyś list podpisany literami A.B.C.?

— A.B.C.? — pokręciła głową. — Nie, na pewno nie widziałam.

— Czy sir Cecil nie mówił, że ktoś włóczy się po okolicy w czasie jego wieczornych spacerów?

— Nie, nigdy.

— A pani nie widziała nikogo obcego?

— W ścisłym słowa tego znaczeniu nikt się tutaj nie włóczył, chociaż oczywiście co dzień przechodzi bardzo wiele osób. Często spotyka się ludzi wędrujących pozornie bez celu przez pola golfowe albo ścieżkami w stronę morza. Poza tym prawie każdy spotykany tu o tej porze roku jest obcy.

Poirot poważnie skinął głową. Inspektor Crome poprosił o zaprowadzenie na teren zwykłych wieczornych przechadzek sir Cecila.

Franklin Clarke poprowadził nas przez oszklone drzwi na taras, a panna Grey dotrzymywała nam towarzysztwa. Pozostałem z nią nieco w tyle.

— Wszyscy państwo musieli przeżyć potworny wstrząs — powiedziałem.

— Doprawdy, trudno w to uwierzyć. Gdy policja zadzwoniła wczoraj, byłam już w łóżku. Usłyszałam jakiś hałas na dole i wstałam, aby zapytać, co się stało. Deveril i pan Clarke wyruszyli właśnie z latarniami.

— O której sir Cecil wracał zwykle ze spaceru?

— Mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Wchodził zwykle do domu bocznymi drzwiami. Czasami szedł prosto do swojej sypialni, czasami do galerii ze zbiorami. Gdyby policja nie zatelefonowała, prawdopodobnie nieobecność jego odkrylibyśmy dopiero rano.

— Myślę, że to było okropne dla lady Clarke?

— Lady Clarke jest prawie ciągle pod wpływem morfiny. Sądzę, że jest zbyt odurzona, aby orientować się, co się dokoła dzieje.

Przez furtkę ogrodową wyszliśmy na tereny golfowe. Dalej ciągnęła się wąska, kręta alejka.

— To droga do zatoki Elbury — wyjaśnił Franklin Clarke. — Ale dwa lata temu zbudowano nową szosę wiodącą do Broadsands i Elbury, a więc ta alejka jest obecnie prawie nieuczęszczana.

Ruszyliśmy w dół alejką, a dalej ścieżką wiodącą ku morzu między zaroślami cierni i janowca. Nagle na skrócie odsłonił się przed nami widok na błękitne morze i plażę połyskującą białym żwirem. Dalej ciemnozielone drzewa sięgały niemal morza. Było to czarowne miejsce — białe, mocno zielone i szafirowobłękitne.

— Jak tu pięknie! — zawołałem.

— Prawda? — ożywił się Clarke. — Nie rozumiem, po co ludzie wyjeżdżają na Riwierę, skoro w kraju mają takie miejsca. W swoim czasie przewędrowałem cały świat i, Bóg mi świadkiem, nigdzie nie widziałem nic piękniejszego — jak gdyby zawstydził się swojego ożywienia, zmienił nagle ton na bardziej rzeczowy. — Oto zwykła trasa wieczornych spacerów mojego brata. Przychodził do tego miejsca, następnie wracał ścieżką i skręciwszy na prawo, zamiast na lewo, przez pola i koło farmy wracał do domu.

Poszliśmy tą trasą i wkrótce dotarliśmy do miejsca przy zakręcie żywopłotu pośród pól, gdzie znaleziono zwłoki.

— Nietrudna sprawa — powiedział Crome. — Morderca stał tutaj, w cieniu. Sir Cecil nie spodziewał się niczego, póki nie spadł cios.

Idąca obok mnie dziewczyna zadrżała.

— Spokojnie, panno Toro — powiedział Franklin Clarke. — To straszna tragedia, ale trzeba przecież spojrzeć prawdzie w oczy.

„Tora Grey — pomyślałem. — Imię pasuje do osoby”.

Wróciliśmy do domu, gdzie złożono zwłoki po wykonaniu zdjęć. Kiedy wspinaliśmy się na szerokie schody, z któregoś pokoju wyszedł lekarz z czarną torbą w ręku.

— Co pan stwierdził, doktorze? — zapytał Franklin Clarke.

— Przypadek bardzo prosty — tłumaczył doktor. — Szczegóły techniczne odkładam do czasu śledztwa. W każdym razie pański brat nie cierpiał. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Teraz odwiedzę lady Clarke.

Z drzwi pokoju położonego w głębi korytarza wyszła pielęgniarka i doktor wraz z nią wszedł do pokoju pani domu.

Tora Grey zatrzymała się u szczytu schodów, a my weszliśmy do pokoju, który przed chwilą opuścił lekarz i skąd ja wyszedłem dość szybko. Zauważyłem, że twarz panny Grey ma wyraz dziwnego przestachu.

— Panno Grey — zapytałem zdziwiony. — Czy się coś stało?

Spojrzała na mnie, jak gdyby zmieszana.

— Nie, nie... Myślałam tylko o „D”.

— O „D”? — powtórzyłem głupio.

— Tak, o następnym morderstwie. Coś trzeba zrobić. Trzeba zatrzymać ten łańcuch.

Clarke wyszedł z pokoju za mną.

— Jaki łańcuch, Toro?

— Tych okropnych morderstw.

— Tak — potwierdził robiąc wojowniczą minę. — Miałbym ochotę pomówić o tym z panem Poirot. Czy ten Crome to człowiek z sensem? — zwrócił się nieoczekiwanie do mnie.

Odpowiedziałem, że na ogół Crome uchodzi za bardzo zdolnego oficera. Ale mój ton nie był może aż tak entuzjastyczny, jak by się należało spodziewać.

— Diabelnie pewny siebie — stwierdził Clarke. — Ma taką minę, jak gdyby wszystko wiedział, a przecież nie wie nic. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie... — umilkł na moment. — Pan Poirot, oto człowiek, jakiego nam potrzeba. Mam pewien plan, ale o tym pomówimy później.

Odszedł i w głębi korytarza zastukał do drzwi, za którymi zniknął doktor. Przez chwilę nie wiedziałem, co robić. Jasnowłosa dziewczyna patrzyła tępym wzrokiem przed siebie.

— O czym pani tak дума, panno Grey? — zapytałem.

Spojrzała na mnie.

— Myślę, gdzie on jest teraz... ten morderca. Zdarzyło się to niespełna dwanaście godzin temu. Ach, czy nie ma osób naprawdę jasnowidzących, które mogłyby zobaczyć, gdzie on teraz jest i co robi?

— Policja prowadzi poszukiwania... — zacząłem. Mój komunał spłoszył nastrój. Dziewczyna odzyskała równowagę.

— Tak — powiedziała. — Oczywiście. Szybko zesłała ze schodów, ja zaś stałem przez chwilę zastanawiając się nad jej słowami. A.B.C.... Gdzież on jest teraz?

Rozdział XVI

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Pan Aleksander Bonaparte Cust wyszedł w tłumie widzów z kina Palladium w Torquay, gdzie oglądał bardzo sensacyjny film. W blasku słonecznego popołudnia mrużył oczy i rozglądał się dokoła z właściwą mu miną zbitego psa.

— Tak, to dobry pomysł... — pomrukiwał do siebie. Gazeciarze mijali go wrzeszcząc na całe gardło:

— Tajemniczy wampir w Churston!

— Morderstwo w Churston!

Pan Cust wygrzebał z kieszeni monetę i kupił dziennik. Nie otworzył go od razu. Wszedł do parku, gdzie bez pośpiechu znalazł altankę z pięknym widokiem na port Torquay. Usiadł i rozłożył gazetę. Nagłówki drukowane były wielkimi literami:

ŚMIERĆ SIR CECILA CLARKE’A

ZAGADKOWE MORDERSTWO W CHURSTON

ZBRODZIA TAJEMNICZEGO WAMPIRA

Niżej był tekst:

Przed niespełna miesiącem Anglię wstrząsnęła wiadomość o zamordowaniu młodej dziewczyny, Elżbiety Barnard z Bexhill. Przypominamy, że przy zwłokach znaleziono rozkład kolejowy ABC. Taki sam rozkład znaleziono przy ciele Cecila Clarke’a. Policja podejrzewa, że obie zbrodnie zostały popełnione przez tego samego sprawcę. Czyżby zwyrodnialec krążył po naszych miejscowościach nadmorskich?

Obok pana Custa siedział młody człowiek we flanelowych spodniach i jasnoniebieskiej koszuli.

— Paskudna sprawa, co? — zagadnął. Pan Cust wzdrygnął się nerwowo.

— Aa... oczywiście, paskudna!

Ręce drżały mu tak, że z trudem utrzymywał gazetę.

— Z wariatami nigdy nic nie wiadomo — ciągnął młody człowiek gawędziarskim tonem. — Nie każdy wygląda na pomyłonego. Czasem są zwyczajni, tacy jak pan albo ja.

— Tak, pewnie — przyznał pan Cust.

— Nawet na pewno. Niektórym wojna pomieszała w głowie i nie przyszli już po tym do siebie.

— Aha. Myślę, że ma pan słuszość.

— Jestem zdecydowanym pacyfistą — oznajmił młody człowiek. — Przeciwnikiem wojen.

— A ja nie jestem zwolennikiem tyfusu ani śpiączki, ani głodu czy raka... Ale mimo wszystko takie rzeczy muszą się zdarzać.

— Tylko że wojnie można zapobiec — podjął rękawicę młody człowiek.

Pan Cust roześmiał się; chichotał dość długo. Młody człowiek zrobił zaniepokojoną minę.

„Widać ma lekkiego bzika” — pomyślał, głośno zaś dodał:

— Przepraszam, czy pan też był na wojnie?

— Byłem. Trochę mnie to... wytrąciło z równowagi. Bardzo często cierpię na bóle głowy. Rozumie pan, na potworne bóle głowy...

— Oo! — zdziwił się młody człowiek.

— Czasami nie bardzo wiem, co robię.

— Naprawdę?... Przepraszam, ale spieszę się. Jestem z kimś umówiony — powiedział nagle i odszedł szybko; wiedział, co grozi, gdy ktoś zacznie opowiadać o swoim zdrowiu.

Pan Cust został z gazetą. Czytał wiadomość raz, drugi, trzeci... Prawie wszyscy mijający go ludzie mówili o morderstwie.

„Okropne! Myślisz, że to ma coś wspólnego z Chińczykami? Tamta kelnerka pracowała, zdaje się, w chińskiej kawiarni?”

„Oczywiście, że na polach golfowych...”

„A ja słyszałem, że na plaży...”

„Jakie to dziwne, kochanie. Przecież dopiero wczoraj byliśmy na podwieczorku w Elbury...”

„Policja na pewno go dostanie”.

„Słyszałam, że lada moment należy się spodziewać aresztowania”.

„Naturalnie, może być w tej chwili w Torquay”.

Pan Cust porządnie złożył gazetę i położył na ławce. Wstał i z posępną miną wolno ruszył ku miastu. Mijały go dziewczęta w białych, różowych i błękitnych letnich sukniach, w piżamach plażowych i szortach. Śmiały się, paplały, szacowały wzrokiem mijanych mężczyzn. Ale żadne spojrzenie nie spoczęło z zainteresowaniem na panu Custcie.

W kawiarni pan Cust usiadł przy bocznym stoliku i kazał sobie podać herbatę ze śmietanką.

Rozdział XVII

Sensacja

Wraz ze śmiercią sir Cecila Clarke'a tajemnica A.B.C. nabrała niebywałego rozgłosu. Zapełniała długie szpalty gazet. Oznajmiano o odkryciu rozmaitych nowych śladów. Lada chwila zapowiadano aresztowanie. Zamieszczano fotografie osób najluźniej związanych z morderstwami. Drukowano wywiady ze wszystkimi, którzy zgodzili się ich udzielać. W parlamencie zaczęły się interpelacje. Morderstwo w Andover łączono teraz z dwiema późniejszymi zbrodniami.

Scotland Yard przychylił się ostatecznie do poglądu, że jak największy rozgłos może przyczynić się do ujęcia mordercy. Cała ludność Wielkiej Brytanii zmieniła się w armię detektywów-amatorów. „Goniec Codzienny” miał szczęśliwy pomysł i stworzył slogan:

A.B.C. MOŻE BYĆ W TWOIM MIEŚCIE

Poirot był oczywiście ośrodkiem zainteresowania. Otrzymane przez niego listy były przedrukowywane i fotografowane. Wymyślano mu, że nie zapobiegł morderstwom, i broniono twierdząc, że lada moment poda do publicznej wiadomości nazwisko zbrodniarza. Reporterzy czyhali na mojego przyjaciela i ewentualny z nim wywiad. Od czasu do czasu pojawiały się tytuły:

CO MÓWI DZISIAJ PAN POIROT

po czym następowała szpalta niebywałych bredni.

Pan Poirot ma poważny pogląd na sytuację

Pan Poirot w przeddzień sukcesu

Kapitan Hastings, najserdeczniejszy przyjaciel

pana Poirota, powiedział w rozmowie z naszym

wysłannikiem...

— Poirot! — zawołałem z rozpaczą. — Wierz mi, błagam! Nigdy nie powiedziałem nic podobnego!

— Wiem, wiem, Hastings — odrzekł dobrotliwie. — Istnieje bezdenna przepaść między słowem mówionym a pisanim. Oni mają sposoby na odwracanie zdań tak, że ich sens zostaje kompletnie zmieniony.

— Nie chcę, abyś myślał, że mówiłem...

— Nie przejmuj się, przyjacielu. To drobiazgi bez znaczenia. Nawet największa bzdura może czasami pomóc.

— W jaki sposób?

— *Eh, bien** — odrzekł poważnie Poirot. — Jeżeli nasz szaleniec przeczyta, co rzekomo powiedziałem dzisiaj reporterowi „Codziennej Kaczki”, straci dla mnie cały szacunek jako dla przeciwnika.

Moje dotychczasowe słowa mogą wywołać wrażenie, że nie robiono nic, aby popchnąć śledztwo naprzód. Naprawdę działa się zupełnie inaczej. Scotland Yard i policja rozmaitych hrabstw niestrudzenie tropiły najniklejsze choćby ślady. W hotelach, pensjonatach i rozmaitych pokojach do wynajęcia (nawet w znacznej odległości od miejsc zbrodni) przeprowadzano drobiazgowo dochodzenia. Troskliwie przesiewano opowieści setek ludzi obdarzonych bujną wyobraźnią, którzy widzieli podejrzanego mężczyznę o błędnym wzroku lub przemykającą w nocy tajemniczą ciemną postać. Nie lekceważono żadnej, choćby najbardziej mglistej informacji. Obserwowano pociągi, autobusy, tramwaje; wypytywano tragarzy, konduktorów, sprzedawców książek i gazet. W rezultacie zatrzymano około dwudziestu osób, zwolniono je jednak po ustaleniu, że na krytyczne noce mają alibi. Ogólne rezultaty były żadne. Oceniono, że pewne informacje mogą przydać się na przyszłość, lecz bez dalszych uzupełnień nie wiodą do niczego.

Crome i jego koledzy byli niestrudzeni. Natomiast Poirot wydawał mi się karygodnie bezczynny. Od czasu do czasu sprzeczałyśmy się na ten temat.

— Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz, *mon ami* — mówił. — Cóż ja mogę zrobić? Drobiazgowo dochodzenie policja załatwia znacznie lepiej niż ja. A ty chcesz, żebym tylko ganiał i ganiał, jak gończy na tropie.

— A ty wolisz siedzieć w domu jak... jak...

— Rozsądny człowiek. Moja siła mieści się w mózgu, nie w nogach. Myślę przez cały czas, kiedy wydaje ci się, że próżnuję.

— Myślisz? — obruszyłem się. — Czy to czas na rozmyślania?

— Tak. Po stokroć tak!

— Ale cóż mogą ci pomóc rozmyślania? Znasz fakty i o trzech zbrodniach wiesz wszystko na pamięć.

— Mnie nie interesują fakty, tylko umysł mordercy.

— Umysł szaleńca?

— Naturalnie. Umysł szaleńca, a więc zagadka, której nie rozwiązuje się w minutę. Jeżeli będę wiedział, jaki to człowiek, łatwo odgadnę, kim on jest. Z każdego morderstwa dowiaduję się więcej. Po zbrodni w Andover właściwie nie wiedzieliśmy o sprawcy nic. Po morderstwie w Bexhill mieliśmy już trochę więcej szczegółów.

A po Churston jeszcze więcej, prawda? Zaczynam dostrzegać nie to, co ty chciałbyś zobaczyć: zarys twarzy i sylwetki, ale widzę już zarys umysłu. Tak, umysłu, który porusza się i pracuje w określonym kierunku. Po następnym morderstwie...

— Poirot! — zawołałem, a przyjaciel zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

— Oczywiście. Jestem przekonany, że będzie następne morderstwo. Wiele, naturalnie, zależy od losu, który dotychczas sprzyjał naszemu nieznanemu. Tym razem wiatr może się zmienić. Ale tak czy inaczej, po kolejnej zbrodni będziemy wiedzieli o wiele więcej. Zbrodnia daje przerażająco wyraźny obraz. Zmieniaj metody, Custy, przyzwyczajenia, nastawienie umysłu jak chcesz, a dusza twoja objawi się zawsze w uczynku. Pozory mogą być złudne, takie, jak gdyby plan przygotowywały dwa skrajnie przeciwne umysły, niebawem jednak ogólny zarys musi się wyłonić i ja będę wiedział!

— Kto jest mordercą? — zapytałem żywo.

— Nie. Nie będę jeszcze znał jego nazwiska i adresu. Będę wiedział, jaki to typ człowieka.

— A wtedy?

— Wtedy wybiorę się na ryby. Spojrzałem nań ze zdziwieniem.

— Widzisz, Hastings — ciągnął — doświadczony wędkarz dobrze wie, jaki rodzaj przynęty obrać dla takiej albo innej ryby. Gdy będę wiedział, jaką rybę chcę złapać, postaram się o właściwą przynętę.

— A wtedy?

— A wtedy... a wtedy!... Przypominasz mi dostojnego Crome'a z jego wiecznym: „O, czyżby?” Wtedy on chwyci przynętę i haczyk, a my zaczniemy zwijać linkę.

— Pięknie, ale tymczasem ludzie będą ginąć na prawo i na lewo.

— Dotychczas zginęły trzy osoby, a codziennie mamy... Ile to?... Chyba ze sto dwadzieścia śmiertelnych wypadków drogowych w Anglii.

— To całkiem inna sprawa.

— Dla tych, co umierają, chyba identyczna. Dla innych: krewnych, przyjaciół... tak, zgadzam się, odmienna. Jedno mnie tylko cieszy w tej całej historii...

— Z największą przyjemnością usłyszę o czymś, co może być w tym pocieszającego.

— Niepotrzebna ironia. Cieszy mnie, że ani cień winy nie pada na niewinnych.

— Cóż w tym za pocięcha?

— Nie rozumiesz tego? Nie ma nic potworniejszego niż życie w atmosferze podejrzenia. Wyobraź sobie, że obserwują cię oczy bliskich i miłość zmienia się u nich w obawę. Wyobraź sobie, że ty podejrzewasz osoby bliskie i kochane. To działa jak jad, jak trucizna. Rozumiesz teraz? Jednego nie mogę zarzucić naszemu A.B.C.: zatrucia życia niewinnym ludziom.

— Niedługo znajdziesz usprawiedliwienie dla tego człowieka — powiedziałem z goryczą.

— Niewykluczone. Przecież on może uważać się za w pełni usprawiedliwionego. Może i my w rezultacie zaczniemy sympatyzować z jego punktem widzenia?

— Doprawdy, Poirot, tego za wiele!

— Bardzo mi przykro, że zgorszyłem cię najprzód beczynnością, a następnie poglądami.

Bez słowa kiwnąłem głową.

— W każdym razie — podjął mój przyjaciel — mam pewien projekt, który na pewno przypadnie ci do Gustu, bo jest czynny, nie bierny. Ponadto realizacja jego wymagać będzie bardzo dużo gadania i prawie nic myślenia.

— Co to za projekt? — spytałem podejrzliwie, gdyż ton Poirota wcale mi się nie podobał.

— Dobycie wszystkiego, co im wiadomo, z krewnych, przyjaciół i służby ofiar.

— Czyżbyś podejrzewał, że ci ludzie coś zataili?

— Nie rozmyślnie. Ale powiedzenie wszystkiego, co wiesz, narzuca zawsze pewną selekcję. Gdybym powiedział ci, żebyś mi zdał wyczerpujące sprawozdanie z dnia wczorajszego, sformułowałbyś to zapewne w taki sposób: „Wstałem o dziewiątej, śniadanie zjadłem o dziesiątej. Składało się z jajek, bekonu i kawy. Potem poszedłem do klubu”. I tak dalej, i tak dalej. Nie powiedziałbyś natomiast: „Zadarłem paznokcie i musiałem go obciąć. Zadzwoiłem, żeby służący przyniósł mi ciepłą wodę do golenia. Na obrus wylałem trochę kawy. Wyczyściłem szczotką kapelusz, zanim włożyłem go na głowę”. Człowiek nie może powiedzieć wszystkiego i dlatego czyni wybór. Jeżeli chodzi o morderstwo, ludzie wybierają to, co uważają za ważne. Ale bardzo często popełniają grube omyłki.

— A w jaki sposób można z nich wydusić potrzebne wiadomości?

— Po prostu tak, jak mówiłem: dzięki rozmowom. Jeżeli wiele razy mówi się o tym samym wydarzeniu albo tej samej osobie, albo tym samym dniu, za każdym razem wychodzą nowe szczegóły.

— Jakie szczegóły?

— Oczywiście nie wiem, bo gdybym wiedział, nie starałbym się ich odkryć. Obecnie jednak upłynęło dosyć czasu, by różne rzeczy odzyskały swą normalną wartość. To przeczy prawom matematycznym, żeby w trzech przypadkach morderstwa ani jeden fakt, ani jedno zdanie nie kryły drogi do rozwiązania zagadki. Coś błahego na pozór może być właściwym drogowskazem. Naturalnie, że będzie to szukanie igły w stogu siana, ale gwarantuję ci, że w tym stogu znajduje się igła.

Wszystko to wydawało mi się bardzo mgliste i niejasne. Poirot zorientował się widocznie, gdyż podjął:

— Nie rozumiesz? Widzę, że jesteś mniej bystry niż prosta pokojówka.

Z tymi słowami podał mi list pisany czysto, lecz niewyrobnym charakterem.

Szanowny Panie! Proszę wybaczyć mi, że ośmielam się pisać do Szanownego Pana. Wiele myślałam o dwóch morderstwach, które nastąpiły po śmierci mojej biednej cioci. Wydaje mi się, że teraz więcej osób jest w podobnej sytuacji. Widziałam w gazetach fotografie tej młodej pani, siostry dziewczyny, która została zamordowana w Bexhill. Odważyłam się napisać do niej, że przyjeżdżam do Londynu i będę się tam starała o miejsce, mogłabym więc zgodzić się do niej albo do jej matki, bo co dwie głowy to nie jedna. Nie żądam wysokiej pensji, bo chodzi mi jedynie o to, by dowiedzieć się, kto jest tym piekielnym zbrodniarzem. Jak byłybyśmy razem, pręcej mogłybyśmy coś wymyślić. Ta pani odpowiedziała mi bardzo grzecznie, że pracuje w biurze i mieszka w pensjonacie, poradziła jednak, żebym napisała do Szanownego Pana, i dodała, że coś podobnego i jej przychodziło do głowy. Obie zostałyśmy pokrzywdzone, powinnyśmy więc trzymać się razem. Wobec tego piszę do Szanownego Pana, aby zawiadomić, że jestem już w Londynie, i podać swój adres. Mam nadzieję, że Szanowny Pan wybaczy mi śmiałość, i przesyłam wyrazy uszanowania

Mary Drower

— Mary Drower to bardzo inteligentna dziewczyna — stwierdził Poirot. — A teraz to przeczytaj — dodał wręczając mi drugi list.

Franklin Clarke skreślił tylko kilka słów zawiadamiając, że przyjeżdża do Londynu i jeśli pan Poirot pozwoli, złoży mu wizytę dnia następnego.

— Nie upadaj na duchu, *mon ami* — powiedział Poirot. — To dopiero początek kampanii.

Rozdział XVIII

Poirot wygłasza mowę

Franklin Clarke odwiedził nas następnego dnia o trzeciej po południu i bez ogródek przystąpił do sedna sprawy.

— Panie Poirot — powiedział — nie jestem zadowolony.

— Nie jest pan zadowolony? Z czego?

— Nie wątpię, że ten Crome to energiczny policjant, ale otwarcie mówiąc, działa mi na nerwy. Te jego miny wszystkowiedzącej wyższości! W Churston wspominałem tu obecnemu pańskiemu przyjacielowi o pewnym planie, ale na głowę spadły mi wszystkie sprawy brata i do tej pory nie miałem czasu. Uważam, panie Poirot, że nie wolno nam zasypiać gruszek w popiele.

— To samo wciąż powtarza Hastings.

— Musimy ruszyć z miejsca. Musimy przygotować się przed następną zbrodnią.

— A więc sądzi pan, że będzie następna zbrodnia?

— A pan?

— Oczywiście.

— A zatem trzeba coś zorganizować.

— Proszę mi bliżej objaśnić pański plan.

— Proponuję utworzenie jak gdyby specjalnego legionu działającego pod pańskim dowództwem, a składającego się z krewnych i przyjaciół osób zamordowanych.

— *Une bonne idée!**

— Miło mi to słyszeć. Wspólnymi siłami możemy coś niecoś zrobić. I jeszcze jedno: jeżeli po następnym ostrzeżeniu wszyscy udamy się na miejsce, jedno z nas mogłoby... nie twierdze, że to bardzo prawdopodobne, ale w każdym razie możliwe... Otóż, moglibyśmy rozpoznać kogoś, kto był w pobliżu miejsca jednej z poprzednich zbrodni.

— Rozumiem i pochwalam pański pomysł. Ale proszę nie zapominać, panie Clarke, że krewni i przyjaciele pozostałych ofiar nie należą do pańskiej sfery. To wszystko płatni pracownicy i jeżeli nawet mogliby otrzymać krótkie urlopy...

— Wzięłem to pod uwagę — przerwał Clarke. — Tylko ja mogę finansować tę imprezę. Osobiście nie jestem szczególnie majątny, ale mój brat był bardzo bogatym człowiekiem, a w rezultacie majątek trafi do mnie. Jak już powiedziałem, proponuję stworzenie legionu specjalnego, którego członkowie byłiby płatni tak mniej więcej, jak by pracowali, naturalnie z uwzględnieniem kosztów i wydatków specjalnych.

— Kto, pańskim zdaniem, winien wchodzić w skład tego legionu?

— I to już rozważyłem. Nawet korespondowałem z panną Megan Barnard, której po części zawdzięczam ten pomysł. Myślałem o panie Barnard i panu Donaldzie Fraserze, narzeczonym zamordowanej kelnerki. Poza tym jest siostrzenica kobiety z Andover; panna Barnard zna jej adres. Nie wydaje mi się, żeby Franz Ascher mógł się na coś przydać, bo to, jak słyszałem, nałogowy pijak. Państwo Barnardowie, ojciec i matka, wydają mi się także za starzy do służby czynnej.

— Nikogo więcej pan nie proponuje?

— Cóż... chyba pannę Grey — zarumienił się wypowiadając to nazwisko.

— Pannę Grey... — powtórzył Poirot.

Nikt nie potrafiłby przesycić tych dwóch słów tak subtelną ironią. Franklin Clarke odmłodził nagle o trzydzieści pięć lat. Miał minę uczniaka przyłapanego na gorącym uczynku.

— Tak — podjął po chwili. — Widzi pan, panna Grey pracowała u mojego brata przeszło dwa lata. Zna okolicę, sąsiadów. I w ogóle jest dobrze zorientowana... Ja w tym czasie przez półtora roku nie byłem w kraju.

Poirot zlitował się nad nim i zmienił temat rozmowy:

— Bawił pan na Wschodzie, w Chinach?

— Tak. Byłem jak gdyby komiwojażerem mego brata. Robiłem dla niego zakupy.

— To musiało być nad wyraz interesujące!... A zatem, panie Clarke, całkowicie aprobuję pański pomysł. Wczoraj mówiłem Hastingsowi, że zbliżenie osób zainteresowanych uważam za konieczne. Trzeba odświeżać wspomnienia, porównywać wrażenia, a wreszcie omawiać całą sprawę od początku do końca. Gadać, gadać, gadać i jeszcze raz gadać. Niekiedy błahe na pozór zdanie może zrodzić olśnienie.

W kilka dni później legion specjalny zebrał się w mieszkaniu Poirota. Kiedy wszyscy zasiedli dokoła wpatrzeni w sławnego detektywa, który jako przewodniczący zajął miejsce u szczytu stołu, przebiegłem wzrokiem zebranych, aby potwierdzić lub zrewidować moje pierwsze o nich wrażenie.

Wszystkie trzy dziewczyny wyglądały niezwykle. Tora Grey, jasnowłosa piękność; czarnowłosa, skupiona Megan Barnard o dziwnej, nieruchomej jak maska Indianina twarzy; ubrana w czarny kostium Mary Drower, schludna, spokojna dziewczyna o ładnej i inteligentnej twarzy. Mężczyźni stanowili ciekawy kontrast. Franklin Clarke był rosy, ogorzały, gadatliwy; Donald Fraser

opanowany i milczący.

Oczywiście Poirot nie mógł przezwyciężyć pokusy i korzystając ze sposobności wygłosił małą mówkę:

— *Mesdames et messieurs!** Wiadomo nam, w jakim celu zgromadziliśmy się tutaj. Policja czyni wszystko, by wytropić zbrodniarza. Ja również nie szczędzę starań na swój odmienny sposób. Wydaje mi się jednak, że zjednoczenie osób, które są osobiście zainteresowane sprawą, a ponadto, że się tak wyrażę, osobiście знаły ofiary, może przynieść wyniki, jakich nigdy nie zdoła osiągnąć śledztwo oficjalne.

Mieliśmy do czynienia z trzema morderstwami: starej kobiety, dziewczyny w kwiecie wieku i starszego dżentelmena. Tylko jedno ogniwo łączy tych troje ludzi: fakt, że zginęli z tej samej ręki. Cóż to znaczy? Że ta sama osoba była w trzech rozmaitych miejscowościach i naturalnym rzeczą porządkiem musiało widzieć ją wielu ludzi. Nie ulega wątpliwości, że zbrodniarz jest szaleńcem w zaawansowanym stadium obłądu. Równie pewnym zdaje się, że jego wygląd i zachowanie nie zwracają uwagi. Osoba ta (nie wiemy oczywiście, mężczyzna czy kobieta) obdarzona jest szatańską chytrą. Jak dotychczas udawało jej się całkowite zacieranie śladów. Policja dysponuje pewnymi mglistymi wskazówkami, na których wszakże absolutnie nie może się oprzeć. Atoli muszą istnieć wskazówki, które nie są mgliste i nieokreślone. Zastanówmy się nad jednym: przecież ów morderca nie przyjechał z północy do Bexhill i nie znalazł przypadkiem na plaży młodej osoby, której nazwisko rozpoczyna się na „B”.

— Czy koniecznie musimy o tym mówić? — przerwał dotknięty do żywego Donald Fraser.

— *Monsieur*, koniecznie musimy mówić o wszystkim — odparował Poirot. — Jest pan tutaj nie po to, by oszczędzać swe uczucia usuwając z myśli drobiazgi, lecz by w razie potrzeby takie właśnie drobiazgi dobywać z mroku podświadomości. Jak więc powiedziałem: to nie przypadkowy traf podsunął naszemu A.B.C. ofiarę w osobie Betty Barnard. Ofiarę tę musiał wybrać świadomie, a zatem z premedytacją. To znaczy, że niewątpliwie przeprowadził z góry rozpoznanie terenu. Szereg faktów znał doskonale: najstosowniejszą godzinę popełnienia zbrodni w Andover, sytuację w Bexhill, przyzwyczajenia sir Cecila Clarke’a w Churston. Ja osobiście nie wierzę, aby nie istniała wskazówka umożliwiająca ustalenie tożsamości zbrodniarza. Zakładam, że ktoś z państwa, a być może wszyscy, wie coś ważnego nie zdając sobie sprawy, że tak jest istotnie. Wcześniej lub później, dzięki obcowaniu państwa ze sobą, wypłynie na jaw coś, o czym na razie nikt z nas nawet nie marzy. To tak, jak układanka obrazkowa: każde z państwa może trzymać w ręku jakąś część pozornie bez znaczenia, ale kilka tych kawałków złożonych razem tworzy fragment wyraźnego już obrazu.

— To są tylko słowa — powiedziała Megan Barnard.

— Słucham? — Poirot spojrział na nią pytająco.

— Wszystko, co pan mówi, to słowa nie mające właściwie żadnego znaczenia.

— Słowa, *Mademoiselle*, są przecież zewnętrzną powłoką myśli.

— A mnie się wydaje, że w tym jest dużo sensu — wtrąciła Mary Drower. — Niech mi pani wierzy, w tym jest dużo sensu. Często się zdarza, że trzeba dobrze przewałkować jakąś sprawę, by ją pojąć. Rozjaśnia się pani w głowie nie wiadomo jak, kiedy i dlaczego. Rozmowa prowadzi do wielu celów.

— W danym przypadku można odwrócić sens przysłowia: mowa jest srebrem, a milczenie złotem — powiedział Franklin Clarke.

— A co pan na to, panie Fraser?

— Wątpię, panie Poirot, aby z tego wynikły jakieś praktyczne korzyści.

— Jakie jest twoje zdanie, Toro? — zwrócił się Clarke do panny Grey.

— Wydaje mi się, że zasada omawiania spraw jest zawsze zdrowa.

— A zatem — podjął Poirot — może wszyscy państwo spróbują odświeżyć w pamięci wspomnienia z okresu poprzedzającego zbrodnię. Zechce pan dać dobry przykład, panie Clarke.

— Chwileczkę, muszę się zastanowić... Rano w dniu, kiedy Cecil został zamordowany, wyjechałem żaglówką na morze. Złowiłem osiem makreli. Pogoda była bardzo piękna. Obiad jadłem bardzo wcześnie. Był gulasz wołowy, dobrze pamiętam. Potem drzemałem w hamaku. Po podwieczorku napisałem kilka listów i nie zdążyłem nadać ich przed odejściem poczty, wobec czego pojechałem samochodem do Paington. Potem była kolacja i... trochę wstyd mi się przyznać... prawie do jedenastej czytałem po raz nie wiem który książkę Nesbita. Przepadałem za nią jako dziecko... Potem zadzwonił telefon.

— Stop! — zarządził Poirot. — A teraz, panie Clarke, proszę sobie przypomnieć, czy rano idąc nad morze spotkał pan kogoś?

— Całą masę ludzi.

— Nikogo nie pamięta pan dokładnie?

— Absolutnie nikogo.

— Na pewno?

— Zaraz, spróbuję sobie przypomnieć... Owszem, pamiętam. Bardzo otyłą kobietę. Zdziwiłem się, dlaczego ma na sobie suknię w poprzeczne pasy. Było z nią dwoje dzieci. Aha! Na plaży dwaj chłopcy rzucali do morza kamienie, po które pływał foksterier. Zaraz, zaraz... Jakaś dziewczyna z prawie żółtymi włosami strasznie piszcziała w kąpieli. Dziwne, że takie obrazy przesuwiają się przed oczyma, jakby ktoś rozwijał taśmę filmu.

— Doskonale się pan spisuje. No, a co było później, w ciągu dnia, w ogrodzie albo jak pan jechał na pocztę?

— W ogrodzie ogrodnik podlewał kwiaty, a jadąc na pocztę... Ach, tak! Omal nie przejechałem jakiejś idiotki, która z roweru gadała i plotkowała ze znajomą. Chyba nic więcej sobie nie przypomnę.

— Na panią kolej — powiedział Poirot do Tory Grey.

— Z rana załatwiałam korespondencję z sir Cecilem — dziewczyna mówiła spokojnym, dźwięcznym głosem.

— Potem omówiłam sprawy domowe z gospodynią. Po południu pisałam swoje prywatne listy i trochę szyłam. Hm... jak to trudno przypomnieć sobie przebieg zwyczajnego dnia... Do łóżka położyłam się wcześniej.

Ku mojemu zdziwieniu Poirot nie pytał o nic więcej i zwrócił się do panny Barnard:

— Panno Megan, czy pani może odświeżyć wspomnienia z ostatniego spotkania z siostrą?

— Ostatni raz widziałam ją mniej więcej dwa tygodnie przed śmiercią. Spędzałam w domu sobotę i niedzielę. Pogoda była piękna. Wybrałyśmy się do Hastings na basen.

— O czym panie rozmawiały?

— Mówiłam Betty bez ogródek, co o niej myślę.

— I co jeszcze? O czym ona mówiła?

— Mówiła, że ma trudności finansowe, a także o kapeluszu i dwóch letnich sukniach, które ostatnio kupiła. Potem trochę o Donie... Mówiła także, że nie cierpi Milly Higley, tej koleżanki z kawiarni. Aha! Obie śmiałyśmy się z panny Merrion, tej rudej kierowniczką. Więcej sobie nie przypominam.

— Czy pani siostra... Bardzo przepraszam, panie Fraser... Czy pani siostra nie mówiła o jakimś mężczyźnie, z którym się spotyka?

— Tego nie powiedziałyby mi nigdy — odparła sucho Megan.

Poirot zwrócił się do rudego, piegowatego młodzieńca:

— Panie Fraser, proszę się teraz skupić. Jak pan powiedział, fatalnego wieczoru poszedł pan przed kawiarnię Pod Rudym Kotem. Chciał pan zostać tam i obserwować Betty Barnard. Czy nie przypomina pan sobie kogoś, na kogo w tym czasie zwrócił pan uwagę?

— Na bulwarze spacerowały całe tłumy. Nikogo szczególnego nie zapamiętałem.

— Niech się pan zastanowi. Czasami umysł zajęty jest czymś innym, a wzrok notuje odruchowo, bezmyślnie, ale dokładnie.

— Nikogo szczególnego nie zapamiętałem — powtórzył uparcie młody człowiek.

Poirot westchnął i zagadnął Mary Drower:

— Otrzymywała pani listy od swojej ciotki, prawda?

— Naturalnie, proszę pana.

— Kiedy dostała pani ostatni?

— Dwa dni przed morderstwem — odparła Mary po chwili namysłu.

— Co pisała pani Ascher?

— Pisała, że stary diabeł znowu się do niej przyczepił, a ona... bardzo państwa przepraszam za to wyrażenie... wyrzuciła go na zbity pysk. Pisała także, że czeka mnie we środę... to były moje urodziny, proszę pana... i że razem pójdziemy do kina. W środę zawsze mam wychodne.

Jakieś wspomnienie — zapewne myśl o miłej wizycie u ciotki — nappełniło łzami oczy Mary. Dziewczyna stłumiła szloch i przeprosiła cicho za swoje nieopanowanie.

— Proszę mi wybaczyć, panie Poirot, nie chciałabym wydać się głupią. Z płaczu nic nie przyjdzie. Pomyślałam tylko, że i ona, i ja czekałyśmy na tę środę. To mnie trochę wzruszyło, proszę pana.

— Dobrze rozumiem to uczucie — wtrącił Franklin Clarke. Najbardziej wzruszają mnie drobne rzeczy. Zwłaszcza myśl o jakiejś wspólnej przyjemności czy prezencie, coś miłego i naturalnego. Raz widziałem zwłoki przejechanej przez autobus kobiety. Widocznie przed chwilą kupiła nowe pantofle. Obok niej leżała pognieciona paczka, z której wystawały cienkie, wysokie obcasy. To wyglądało tak tragicznie, że omal się nie rozplakałem.

— Jakie to prawdziwe! Jakie prawdziwe! — potwierdziła Megan z rzadkim ożywieniem. — Coś podobnego zdarzyło się po śmierci Betty. Mamusia kupiła dla niej pończochy. Kupiła przed południem w dniu, kiedy... to się zdarzyło. Biedna mamusia była zupełnie załamana. Zastałam ją płaczącą nad tymi pończochami. Wciąż powtarzała: „Kupiłam je dla Betty, kupiłam je dla Betty, a ona ich nigdy nie zobaczy!”

Głos drżał jej lekko. Pochyliwszy się do przodu spoglądała na Franklina Clarke'a. Zdawało mi się, że powstaje między nimi nagła nić sympatii, jak gdyby powinowactwo w nieszczęściu.

— Tak, tak — potwierdził Clarke. — Takie drobne rzeczy najboleśniej czasem wspominać.

Donald Fraser niespokojnie kręcił się na krześle. Tora Grey zmieniła temat rozmowy:

— Czy przygotowujemy dzisiaj jakieś plany na przyszłość?

— Naturalnie — powiedział Franklin Clarke odzyskując zwykłą mu energię. — Sądzę, że gdy nadejdzie odpowiedni moment, to znaczy, kiedy pan Poirot otrzyma czwarty list, winniśmy zmobilizować wszystkie siły. Na razie powinniśmy próbować każdy na swój sposób. Może pan Poirot wskazałby nam jakieś drobne cele.

— Mógłbym wysunąć parę kwestii — rzekł skromnie Poirot.

— Doskonale. Ja będę notował — Clarke dobył notes. — Zaczynamy, panie Poirot. Punkt a)?

— Wydaje mi się prawdopodobne, że kelnerka, ta Milly Higley, może wiedzieć coś ważnego.

— a) Milly Higley — zanotował Franklin Clarke.

— Nasuwają mi się dwie metody zbliżenia. Natarcie mogłaby wykonać panna Barnard...

— Czy sądzi pan, że to byłoby w moim stylu?

— Cóż, mogłaby pani wywołać sprzeczkę z tą dziewczyną. Powiedzieć na przykład, że ona nigdy nie lubiła pani siostry, a siostra opowiedziała pani wszystko o niej. Nie wątpię, że taki atak wywołałby powódź odpowiedzi. Dziewczyna wyznałaby pani wtedy wszystko, co myśli o pani siostrze, a z tego dałoby się wyłowić jakieś znamienne fakty.

— A druga metoda?

— Pan Fraser mógłby okazać zainteresowanie tą dziewczyną.

— Czy to konieczne? — zapytał młody człowiek.

— Nie, niekonieczne. Po prostu jedna z możliwych linii wywiadu.

— A może ja bym popróbował? — zaproponował Franklin. — Mam... ehem... dosyć rozległe doświadczenie, panie Poirot. Zapewne poradziłbym sobie jakoś z tą młodą damą.

— Pan będzie miał na pewno co innego do roboty — powiedziała dość szorstko Tora Grey.

— Tak, tak, na pewno... — Clarke zarumienił się lekko.

— A mnie się wydaje — podjął Poirot — że chwilowo nie będzie pan miał wiele do roboty w Churston. Panna Grey mogłaby nam oddać...

— Panie Poirot — przerwała Tora — pan nie wie jeszcze, że ja na dobre wyjechałam z Devonu.

— Aa... Jak to? Nie rozumiem?

— Panna Grey była tak łaskawa, że została jakiś czas i pomogła mi w porządkowaniu rozmaitych spraw. Oczywiście jednak woli zająć odpowiednie stanowisko w Londynie.

Poirot spojrzał bystro najprzód na jedno, potem na drugie.

— Jak zdrowie lady Clarke? — zapytał.

Z podziwem patrzyłem na delikatny rumieniec Tory Grey i ledwie dosłyszałem odpowiedź Franklina.

— Bardzo niedobrze. Ach, panie Poirot, czy mógłby pan znaleźć wolny dzień, aby odwiedzić moją bratową w Devonie? Kiedy wyjeżdżałem, mówiła mi, że pragnie z panem pomówić. Oczywiście, stan jej zdrowia nie pozwala czasami na przyjmowanie wizyt przez dwa albo trzy dni. Gdyby pan jednak chciał zaryzykować... Oczywiście na mój koszt...

— Bardzo chętnie, panie Clarke. Czy mój wyjazd pojutrze odpowiadałby panu?

— Naturalnie. Zaraz zadepeszuję do pielęgniarki, aby odpowiednio regulowała użycie środków uśmierzających.

— A pani, drogie dziecko — zwrócił się Poirot do Mary Drower — mogłaby, jak sądzę, bardzo pomóc nam w Andover. Niech pani wybada dzieci.

— Dzieci? — zdziwiła się dziewczyna.

— Tak. Dzieci niechętnie rozmawiają z obcymi, ale panią znają doskonale. Na ulicy, przy której mieszkała pani ciotka, widziałem wiele bawiących się dzieciaków. Mogły tamtego wieczora zwrócić uwagę na człowieka, który wchodził do trafiki albo stamtąd wychodził.

— A jakie będzie zadanie panny Grey i moje? — zapytał Clarke. Jeżeli naturalnie nie mam jechać do Bexhill.

— Panie Poirot — wtrąciła żywo Tora Grey. — Jaki stempel pocztowy był na trzecim liście?

— Putney.

— Putney — powtórzyła z namysłem. — To będzie, o ile się nie mylę, SW 15?

— Tak. To było nawet w prasie.

— Wynikałoby stąd, że A.B.C. jest londyńczykiem.

— Możliwe, ale nie na pewno.

— Żeby go jakoś wciągnąć w pułapkę — podjął Franklin Clarke. — A gdybym tak zamieścił ogłoszenie... coś w tym sensie: „Do A.B.C. Pilne. H.P. na twoim śladzie. Setka za milczenie. X.Y.Z.” Oczywiście, byłoby to coś znacznie dyskretniejszego. Obecnie chodzi mi tylko, aby pan zrozumiał sam pomysł. Takie ogłoszenie mogłoby go zwabić.

— Tak, to niewykluczone.

— Mógłbyście chcieć spotkać się ze mną i w łeb mi strzelić.

— Ten pomysł wydaje mi się niemądry i bardzo niebezpieczny — rzuciła szorstko Tora Grey.

— A panu, panie Poirot?

— Spróbować nie zaszkodzi. Ale ja myślę, że A.B.C. jest zbyt chytry, aby się na to nabrać. — Poirot uśmiechnął się dyskretnie. — Widzę, panie Clarke, że jest pan jeszcze... proszę się tylko nie obrazić... że w głębi serca jest pan jeszcze uczniakiem.

Franklin Clarke znowu się zarumienił.

— A zatem — zaczął po chwili zaglądając do notesu — mamy następujący stan:

a) Panna Barnard — Milly Higley

b) Pan Fraser — Milly Higley

c) Dzieci w Andover

d) Ogłoszenie

Nie sądzę, że osiągniemy wiele, ale w każdym razie będziemy mieli coś do roboty w okresie oczekiwania.

Wstał, a w kilka minut później zebranie zostało zamknięte.

Rozdział XIX

„Anielska Szwedka”

Poirot usiadł przy stole i przez chwilę nucił coś z cicha.

— Szkoda, że ona jest taka inteligentna — mruknął wreszcie.

— Kto?

Megan Barnard. *Mademoiselle* Megan. Wygarnęła mi prosto z mostu: to są tylko słowa. Od razu zorientowała się, że wszystko, co mówiłem, nie ma żadnego znaczenia. Reszta dała się nabrać.

— A mnie się zdawało, że twoja mowa brzmiała zupełnie rozsądnie.

— Naturalnie, że rozsądnie. Megan to zrozumiała.

— A więc nie wierzysz naprawdę w to, co opowiadałeś?

— Wierzę, ale można to było wyrazić w jednym krótkim zdaniu. Tymczasem ja powtarzałem się, ile dusza zamarzy, a nie spostrzegł tego nikt z wyjątkiem *mademoiselle* Megan.

— Ale dlaczego tak głądziłeś?

— Żeby pchnąć sprawę naprzód i wzbudzić we wszystkich przekonanie, że mają coś do roboty. Chciałem... jak by się tu wyrazić... puścić w ruch rozmowy.

— Sądysz więc, że żaden z obranych kierunków nie doprowadzi do niczego?

— Cóż, wszystko możliwe — zachichotał i po chwili podjął zmienionym tonem. — Pośród tragedii rozpoczynamy grać komedię.

— Nie rozumiem.

— Widzisz, Hastings, rozpoczyna się zwyczajny dramat ludzki. Zastanów się chwilę. Mamy trzy grupy ludzi, które zetknęły się ze sobą w wyniku wspólnej tragedii. I cóż się dzieje? Natychmiast rozpoczyna się drugi dramat, zupełnie niezależny. Czy przypominasz sobie mój pierwszy występ w Anglii? Aż strach pomyśleć, ile to lat temu... Pogodziłem dwoje zakochanych metodą całkiem prostą: doprowadziłem do tego, że jedno z nich zostało aresztowane pod zarzutem morderstwa. Nic innego nie spełniłoby zadania. Tak, tak, mój drogi. Śmierć nas otacza, ale my żyjemy. Nieraz już stwierdziłem, że morderstwo potrafi być wielkim swatem.

— Co ty pleciesz, Poirot? — zawołałem zgorszony.

— Jestem pewien, że ci ludzie myślą jedynie o...

— Mylisz się, *mon ami*. A co byś powiedział o samym sobie?

— O sobie?

— Tak, tak, o sobie. Kiedy nasi goście wyszli, wróciłeś z przedpokoju nucąc pewną melodyjkę.

— Chyba w nuceniu melodyjki nie ma nic podejrzanego?

— Absolutnie nic. Ale piosenka może zdradzać myśli.

— O czym ty mówisz?

— Że piosenka może zdradzić myśli. Czasem bywa to niebezpieczne, zdradliwe. Mówi o tym, co dzieje się w podświadomości. Wracając z przedpokoju nuciłeś głupią piosenkę z czasów wojny. Jakie są jej słowa?... Aha!

— Poirot zaśpiewał ohydny falsetem:

Raz blondynkę kocham, raz brunetkę,

Raz Cygankę, raz anielską Szwedkę...

Trudno o coś bardziej rewelacyjnego. Ale wydaje mi się, że tym razem blondynka stanowczo bierze górę nad brunetką.

— Niepoprawny jesteś, Poirot! — zawołałem, lecz poczułem, że się rumienię.

— Objawy całkiem naturalne. Spostrzegłeś chyba nagle nić sympatii między Franklinem Clarke i *mademoiselle* Megan? Jak on się jej przyglądał! A jak się to nie podobało Torze Grey... Albo pan Donald Fraser...

— Poirot — powiedziałem — jesteś nieuleczalnym romantykiem.

— Romantyzm? To ostatnie, co można mi zarzucić. To ty jesteś romantyczny, Hastings.

Chciałem podjąć dyskusję na ten temat, lecz drzwi otwarły się nagle i ku mojemu wielkiemu zdumieniu do pokoju weszła Tora Grey.

— Bardzo przepraszam, że pozwoliłam sobie wrócić — powiedziała spokojnie — jest jednak coś, o czym koniecznie chciałam pana poinformować, panie Poirot.

— Służę pani. Zechce pani łaskawie usiąść. Dziewczyna usiadła i milczała przez chwilę, jak gdyby

szukając odpowiednich słów.

— Pan Franklin Clarke postąpił bardzo szlachetnie. Dał panom do zrozumienia, że Combeside opuściłam z własnej woli. Postąpił jak człowiek przychylny mi i lojalny. Naprawdę jednak sprawa przedstawia się odmiennie. Miałam zamiar zostać w Devonie, gdyż w zbiorach sir Cecila jest bardzo wiele do zrobienia. To lady Clarke życzyła sobie, żebym odeszła. Nie mogę mieć do niej pretensji. Jest ciężko chora, oszołomiona narkotykami, które stale przyjmuje. To czyni ją podejrzliwą i kapryśną. Nabrała do mnie nieuzasadnionej niechęci i stanowczo zażądała, abym zrezygnowała z posady.

Nie mogłem oprzeć się podziwowi dla odwagi tej dziewczyny. Nie próbowała osłaniać mgłą faktu, jak niewątpliwie postąpiłoby wiele osób, lecz szczerze i po prostu wszystko jasno opowiedziała. Poczulem dla niej współczucie i uznanie.

— Zaimponowała mi pani postawa — oznajmiłem.

— Prawda jest zawsze najlepsza — odrzekła z niedostrzegalnym uśmiechem. — Nie chciałam się kryć za rycerskim gestem pana Clarke’a. To wspaniały człowiek.

Ostatnie zdanie wypowiedziała takim tonem, że nie miałem wątpliwości, jak wysoko ceni Franklina Clarke’a.

— *Mademoiselle*, postąpiła pani szlachetnie i uczciwie — rzekł Poirot.

— Był to dla mnie cios — podjęła Tora. — Nie wyobrażałam sobie, że lady Clarke nie lubi mnie aż tak bardzo. Miałam raczej wrażenie, że od początku była mi życzliwa. Cóż, człowiek uczy się do śmierci — wstała. — Tyle tylko chciałam panom powiedzieć. Do widzenia.

Odprowadziłem ją do przedpokoju.

— Postąpiła naprawdę godnie — powiedziałem wróciwszy do Poirota. — Ta dziewczyna ma odwagę.

— I umie kalkulować.

— Kalkulować? Dlaczego?

— Potrafi sięgać wyobraźnią naprzód. Spojrzałem nań z powątpiewaniem.

— To naprawdę śliczna dziewczyna — dodałem po chwili.

— I doskonale ubrana. Ta suknie z *crepe-marocain** i srebrny lis! *Dernier crie!**

— Powinieneś być krawcową, Poirot. Ja nie widzę nigdy, jak kto jest ubrany.

— Powinieneś zapisać się do klubu nudystów, Ha—stings.

Zirytowałem się i chciałem coś ostro odpowiedzieć, lecz przyjaciel uprzedził mnie zmieniając nagle temat i ton.

— Wiesz — powiedział — nie mogę odpędzić wrażenia, że w trakcie dzisiejszej naszej rozmowy padło zdanie o bardzo wielkiej wadze. Dziwne, dziwne... Nie mogę się zorientować, co to właściwie było... Przelotny błysk, który rozjaśnił mi w głowie. Przypomniało mi to coś, co słyszałem już albo widziałem...

— Coś z Churston?

— Nie, nie... Coś dawniejszego. Mniejsza o to! I tak mi się to przypomnia.

Spojrzał na mnie, roześmiał się i znowu zaczął nucić.

— Ta dziewczyna to anioł, istny anioł, prawda? Anielska Szwedka.

— Idź do wszystkich diabłów! — wybuchnąłem.

Rozdział XX

Lady Clarke

Kiedy ponownie przyjechaliśmy do Combeside, rezydencję tę spowijała głęboka melancholia. Po trosze było to sprawą wilgotnej i wietrznej pogody oraz nadchodzącej jesieni, po części atmosfery osamotnienia i pustki. Na parterze domu wszystkie okna były zamknięte i osłonięte żaluzjami, a w małym saloniku, do którego nas wprowadzono, pachniało chłodem i wilgocią. Energiczna pielęgniarka w białym fartuchu przysłała do nas poprawiając krochmalone mankiety.

— Zapewne pan Poirot? — powiedziała żywo. — Jestem siostra Capstick. Pan Clarke uprzedził mnie o pana przyjeździe.

Poirot zapytał uprzejmie o stan zdrowia lady Clarke.

— Cóż, biorąc pod uwagę wszystko, lady Clarke czuje się nieźle — opowiedziała.

„Biorąc pod uwagę wszystko... — pomyślałem. — To znaczy, że ta kobieta jest skazana na śmierć”.

— Oczywiście, nie można liczyć na znaczną poprawę — ciągnęła pielęgniarka — ostatnio jednak zastosowaliśmy nowe środki i doktor Logen jest zupełnie zadowolony ze stanu lady Clarke.

— O ile mi wiadomo, nie może być mowy o zupełnym wyzdrowieniu?

— Ach, my nigdy nie wyrażamy się tak kategorycznie — powiedziała pani Capstick, jak gdyby trochę urażona otwartością mojego przyjaciela.

— Myślę, że śmierć męża była dla lady Clarke straszliwym ciosem?

— Widzi pan, panie Poirot, nie był to cios tak silny, jakiego mogłaby doznać osoba zdrowa i w pełni władz umysłowych. Lady Clarke widzi i odczuwa wszystko jak gdyby przez mgłę.

— Bardzo przepraszam, że pytam o takie rzeczy, ale czy to było kochające się małżeństwo?

— Tak, zgodne i szczęśliwe. Biedny sir Cecil strasznie trapił się chorobą żony. Dla lekarza takie sprawy są gorsze niż dla laika. Koledzy nic mogą karmić go złudnymi nadziejami. Na początku choroby sir Cecil był niesłychanie przygnębiony.

— Na początku choroby — powtórzył Poirot. — Więc później czuł się lepiej?

— Cóż, do wszystkiego można przywyknąć. A poza tym sir Cecil miał swoje zbiory. Pasja kolekcjonerska przynosi nieraz znaczną ulgę. Od czasu do czasu wyjeżdżał na licytacje. To go

interesowało. Ostatnio był bardzo zajęty. Przy pomocy panny Grey przekatalogowywał zbiory i urządził muzeum według nowoczesnych zasad.

— Aha, dużo pracował z panną Grey... O ile mi wiadomo, ona odeszła ostatnio?

— Tak... Strasznie mi przykro... Ale, widzi pan, wielkie damy potrafią być kapryśne w czasie choroby. Wtedy niepodobna z nimi dyskutować. Najlepiej od razu ustąpić. Panna Grey zachowała się bardzo taktownie i rozumnie.

— Czy lady Clarke zawsze jej nie lubiła?

— Nie. Właściwie trudno mówić o nielubieniu. Wydaje mi się nawet, że z początku lady Clarke była bardzo przychylna pannie Grey... Bardzo przepraszam, musimy skończyć tę gawędę. Moja pacjentka zaczyna się niepokoić, co się z nami stało.

Pielęgniarka poprowadziła nas na pierwsze piętro, gdzie dawniejszą sypialnię zamieniono na piękny i przyjemny salon. W wielkim fotelu pod oknem siedziała lady Clarke. Była bardzo chuda i jej szara twarz miała wyraz, jaki widuje się często na twarzach osób cierpiących. Robiła wrażenie osoby pogrążonej jak gdyby w półdrzemce. Uderzyło mnie, że jej źrenice są małe jak ostrza szpilek.

— Oto pan Poirot, którego pani życzyła sobie widzieć — powiedziała siostra Capstick dzwięcznym, przyjemnym głosem.

— Aha... Pan Poirot... Aha... — odpowiedziała niepewnie lady Clarke i wyciągnęła rękę.

— Witam łaskawą panią. Oto mój przyjaciel, kapitan Hastings.

— Dzień dobry, kapitanie. Bardzo panowie uprzejmi, że zechcieli przyjechać.

Niepewnym ruchem wskazała nam krzesła. Gdy usiedliśmy, zapanowała cisza. Zdawało mi się, że lady Clarke usnęła, po chwili jednak jak gdyby się obudziła.

— Aa... Chciałam pomówić z panami o Cccilu... o śmierci Cecila... — westchnęła i na swój niepewny sposób pokiwała głową. — Kto by się domyślił, że taki będzie koniec? Byłam przekonana, że to ja odejdę pierwsza... Cecil był zdumiewająco silny i zdrowy jak na swój wiek. Nigdy nie chorował. Miał blisko sześćdziesiąt lat, a wyglądał raczej na pięćdziesiąt... Tak, tak, był bardzo silny.

Znowu umilkła i przymknęła oczy. Poirot znał się dobrze na skutkach rozmaitych środków odurzających i narkotyków, dzięki którym czas rozciąga się w nieskończoność, czekał więc spokojnie i milczał.

— Z serca dziękuję, że panowie przyjechali — podjęła nagle lady Clarke. — Prosiłam o to Franklina.

Obiecał mi, że nie zapomni panu powtórzyć. Mam nadzieję, że Franklin nie postąpi jak głupiec... On taki naiwny, chociaż w swoim czasie objechał cały świat. Wszyscy mężczyźni są tacy. Do końca

życia pozostają uczniakami... A szczególnie Franklin...

— Jest bardzo impulsywny — wtrącił Poirot.

— Tak, tak... I rycerski. Wszyscy mężczyźni są niemądry... Nawet Cecil... — urwała nagle i po chwili wahania podjęła: — Wszystko jest takie dziwne, niejasne... Ciało jest strasznym wrogiem człowieka, panie Poirot, zwłaszcza gdy bierze górę nad duchem. Wtedy nie myśli się już o niczym, tylko o tym, czy ból znów przyjdzie, czy może nie...

— Tak, lady Clarke. Walka ciała z duchem to jedna z największych tragedii naszego życia — dodał cicho Poirot.

— Choroba mnie otępia. Nie mogę sobie teraz przypomnieć, co właściwie chciałam panu powiedzieć.

— Czy miało to dotyczyć śmierci sir Cecila?

— Śmierci Cecila? Tak... możliwe... Biedny, biedny szaleniec... Ten morderca. Wszystkiemu winien współczesny hałas i szybkość... Ludzie nie mogą tego wytrzymać. Zawsze litowałam się nad obłąkanymi.... W ich głowach muszą dziać się okropne rzeczy! I zamykają ich w szpitalach. To straszne! Ale nie ma przecież innej rady. Oni mordują ludzi. Policja nie ujęła go jeszcze?

— Jak dotąd nie, lady Clarke.

— A tamtego dnia musiał się kręcić tutaj gdzieś w pobliżu.

— Trudno było go spostrzec, lady Clarke. Jest pełnia sezonu, wszędzie spotyka się nieznajomych.

— Tak, tak, zapomniałam... Ale turyści są przeważnie na plażach. Nie chodzą wyżej, koło naszego domu.

— Przecież nikt obcy nie przychodził tutaj trzydziestego sierpnia.

— Kto panu to mówił? — zapytała chora z nagłą energią.

— Służba — odparł zdziwiony Poirot — i panna Grey.

— Ona kłamie! — wybuchnęła lady Clarke. Omal nie zerwałam się z krzesła, lecz Poirot uspokoił mnie wymownym spojrzeniem. Lady Clarke mówiła dalej gorączkowo, z ogniem:

— Nie lubię jej. Nigdy nie lubiłam. Cecil uważał ją za ósmy cud świata. Ciągle się roztkliwiał, że to sierota i sama na świecie. Czy to coś złego być sierotą? Czasami to szczęście. Można mieć przecież ojca nicponia albo matkę alkoholickę. Wtedy dopiero jest nad czym ubolewać!... Cecil podkreślał, że ona taka dzielna, pracowita. Przypuszczam, że pracowała naprawdę dobrze, ale dlaczego dzielna?

— Niech się pani nie denerwuje, lady Clarke — powiedziała łagodnie pielęgniarka. — Zmęczy się

pani i nie dokończymy rozmowy.

— Z miejsca ją wyrzuciłam. Franklin mówił, że mogłaby być dla mnie pociechą i dobrym towarzystwem. Co za bezczelność! Ładna pociecha! Odpowiedziałam, że im prędy się jej pozbędę, tym lepiej. Franklin to głupiec. Wolałam, żeby się z nią nie widywał. Zachowuje się jak uczeń. Nie ma ani trochę zdrowego rozsądku. „Jeżeli chcesz — powiedziałam — wypłacę jej trzymiesięczną pensję, ale niech zaraz wyjeżdża. Nie chcę jej oglądać ani dnia dłużej!” Choroba ma jedną dobrą stronę: mężczyźni nie mogą kłócić się z chorą kobietą. Franklin zrobił, jak mu kazałam, i ona wyjechała. Myślę, że wyjechała jako męczennica... Taka dzielna i urocza!

— Proszę się nie denerwować, lady Clarke. To może pani zaszkodzić — przypomniała znów siostra Capstick, ale chora uciszyła ją niecierpliwym ruchem ręki.

— Pani miała na jej punkcie takiego samego bzika, jak wszyscy.

— Ach, lady Clarke, nie powinna pani mówić takich rzeczy. Moim zdaniem panna Grey to urocza osoba. Wygląda tak romantycznie, jak bohaterka z jakiejś powieści.

— Wszyscy mnie wciąż drażnią — westchnęła cicho lady Clarke.

— Niech się pani nie denerwuje, droga pani. Przecież panny Grey już nie ma.

— Dlaczego powiedziała pani, że panna Grey kłamie? — zapytał Poirot.

— Bo kłamie. Mówiła panu przecież, że nikt obcy nie przychodził do domu tamtego dnia.

— Właśnie! A na własne oczy, z tego okna, widziałam, jak rozmawiała z ganku z jakimś przybłądą.

— Kiedy?

— Przed południem w dzień śmierci Cecila... Tak około jedenastej.

— Jak ten człowiek wyglądał?

— Zwyczajnie. Nie było w nim nic szczególnego.

— Dżentelmen czy taki sobie przeciętny człowiek?

— Nie, nie dżentelmen. Jakiś taki szary, bez wyrazu. Nie pamiętam.

Twarz jej wykrzywił spazm nagłego bólu.

— Bardzo przepraszam, może panowie już pójdą... Jestem trochę zmęczona... Siostro, siostro...

Posłuchaliśmy i niezwłocznie opuściliśmy pokój.

— Zdumiewająca historia z panną Grey i tym przybłądą — zaczął Poirot w powrotnej drodze do

Londynu.

— Widzisz, Hastings, jest tak, jak ci mówiłem: zawsze i wszędzie można się czegoś dowiedzieć.

— Ale dlaczego skłamała twierdząc, że nie widziała nikogo obcego?

— Może być po temu siedem różnych powodów. A jeden z nich musi być bardzo prosty.

— Czy to zagadka dla mnie?

— Nie, najwyżej zachęta do samodzielnego myślenia. Ale nie zaprzatajmy sobie teraz głów tą sprawą. Najprostsza droga do uzyskania odpowiedzi to zadać to pytanie panie Grey.

— A jeżeli znowu skłamię?

— To byłoby nader interesujące i pełne znaczenia.

— Niepodobna — powiedziałem — aby taka dziewczyna była w zмовie z szaleńcem.

— Niepodobna i wcale tego nic podejrzewam. Zamyśliłem się.

— Piękna dziewczyna nieraz musi przeżywać ciężkie chwile — westchnąłem.

— Bynajmniej. Ten ciężar możesz śmiało zrzucić z serca.

— Kiedy tak jest naprawdę! Wszyscy czepiają jej się dlatego właśnie, że jest piękna.

— Mówisz głupstwa, *mon ami*. Kto w Combeside był źle usposobiony do panny Grey? Sir Cecil, Franklin czy siostra Capstick?

— Nie, ale lady Clarke.

— Widzę, żeś pełen współczucia dla pięknych młodych kobiet. Ja lituję się raczej nad kobietami chorymi i starymi. Możliwe, że właśnie lady Clarke dowiodła bystrości wzroku, a jej mąż, pan Franklin Clarke i siostra Capstick byli ślepi, jak nietoperze albo... albo jak kapitan Hastings.

— I ty, Poirot, czepiasz się tej biednej dziewczyny.

— A może raczej — uśmiechnął się złośliwie — próbuję wsadzić cię na bojowego rumaka? Zawsze byłeś prawdziwym rycerzem gotowym w każdej chwili biec na ratunek uciśnionych dziewczic... Urodziwych dziewczic, *bien entendu* *.

— Pocieszny jesteś — powiedziałem nie mogąc powstrzymać się od śmiechu,

— Cóż chcesz? Człowiek nie może być nieustannie tragiczny. Coraz silniej wciągają mnie zwykłe ludzkie sprawy wynikające z tej tragedii. Mamy do czynienia z trzema dramatami rodzinnymi. Przede wszystkim Andover: tragiczne życie pani Ascher, jej walki, utrzymywanie tego Niemca, miłość do

siostrzenicy. Już ten materiał wystarczyłby na powieść. Następnie Bexhill: spokojni, szczęśliwi rodzice, dwie córki tak bardzo niepodobne do siebie — ładna, lekkomyślna wietrznica i chłodna, silna Megan o bystrej inteligencji i namiętym umiłowaniu prawdy. I jeszcze jedna postać: spokojny młody człowiek o tajonej niepohamowanej zazdrości, zakochany nadal w nieżyjącej już dziewczynie. A na zakończenie dom w Churston: umierająca żona, mąż pochłonięty pasją zbieracza i wzrastającą coraz bardziej sympatią dla pięknej dziewczyny, z której pomocy systematycznie korzysta; ten młodszy brat — żywy, ognisty, przystojny, otoczony romantyczną aureolą swoich dalekich podróży... Zwróć uwagę, Hastings, że w normalnym biegu wydarzeń te trzy dramaty nigdy by się nie zetknęły. Akcja toczyłaby się dalej bez wzajemnego oddziaływania. Ach, ta łamigłówka życia! Fascynuje mnie zawsze i wszędzie.

— Paddington — oznajmiłem, gdyż nie mogłem zdobyć się na inną odpowiedź.

Kiedy przybyliśmy do Whitehaven Mansions, oznajmiono nam, że jakiś pan czeka na Poirota. Spodziewałem się Franklina Clarke'a lub inspektora Jappa, lecz ku wielkiemu memu zdziwieniu okazało się, że to Donald Fraser. Był bardzo zakłopotany; jego nieśmiałość rzucała się w oczy jeszcze bardziej niż zwykle. Poirot nie dręczył go pytaniami, lecz zaproponował przekąskę i kieliszek wina.

Wydawszy odpowiednie polecenie wziął na siebie cały ciężar rozmowy opowiadając szeroko o przebiegu naszej wizyty u lady Clarke. Do rzeczy przystąpił dopiero wówczas, gdy posililiśmy się.

— Przyjechał pan z Bexhill, panie Fraser? — zapytał.

— Tak.

— Jak powiodło się z Milly Higley?

— Milly Higley? — zdziwił się młody człowiek. — Ach, ta z kawiarni! Nie, nawet nie próbowałem. Chodzi mi... — urwał. Ręce drżały mu nerwowo. Wreszcie zawołał: — Nie wiem, dlaczego do pana przyjechałem!

— Ale ja wiem — zapewnił Poirot.

— Skąd? Jakim cudem?

— Przyjechał pan do mnie, ponieważ dręczy pana coś, co musi pan koniecznie komuś powiedzieć. Miał pan słuszość. Wybrał pan stosowną osobę. Słucham.

Pewność siebie Poirota wywarła pożądany skutek. Fraser spojrział na niego z wyrazem wdzięczności i posłuszeństwa.

— Tak pan myśli? — spytał.

— Nie tylko myślę. Jestem pewien.

— Panie Poirot, czy pan zna się na snach?

Był to ostatni temat, jaki spodziewałem się usłyszeć, ale Poirot wcale nie wydawał się zaskoczony.

— Tak, znam się — odparł. — A więc co, dręczą pana jakieś sny?

— Tak... Pewnie pan powie, że to nic dziwnego, że właśnie powinienem śnić o... o tym. Ale to jest sen niezwykle.

— Ciekawe.

— Przez trzy noce z rzędu śniło mi się to samo. Mój Boże, ja chyba oszaleję!

Twarz zbladła mu, oczy biegały niespokojnie. Prawdę mówiąc wyglądał na bliskiego szaleństwa.

— Ciągle to samo i to samo — podjął. — Jestem na plaży. Szukam Betty. Rozumie pan, ona żyje, tylko mi gdzieś zginęła. Muszę ją odnaleźć. Musze oddać jej pasek. Ten pasek trzymam w ręku. A potem...

— A potem?

— Wszystko się zmienia. Już jej nie szukam. Jest blisko, przede mną. Siedzi na plaży odwrócona tyłem. Nie wie, że się zbliżam. I... i... Ach, nic mogę dalej!

— Proszę mówić — rzucił Poirot silnym, rozkazującym głosem.

— Podchodzę od tyłu... ona nic nie słyszy... Zarzucam jej pasek na szyję i ciągnę, ciągnę...

W głosie Frascra było tyle męki, że uległem grozie. Kurczowo ścisnąłem poręcz fotela. Obraz był aż zanadto realny.

— Ona dusi się... umiera... nie żyje... Ja ją udusiłem... A później jej głowa przechyliła się do tyłu i widzę twarz... To Megan, nie Betty...

Był zupełnie załamany. Twarz miał bladą, ręce mu drżały. Poirot podał mu kieliszek wina.

— Co taki sen znaczy, panie Poirot? Dlaczego wraca do mnie noc po nocy?

— Proszę wypić wino! Młody człowiek posłuchał.

— Co to znaczy? Przecież ja jej nie zabiłem — powiedział spokojniejszym tonem.

Nie wiem, co Poirot odpowiedział, gdyż w tej chwili usłyszałem charakterystyczne dla listonosza stukanie i wyszedłem z pokoju. List, który znalazłem, usunął na bardzo daleki plan zainteresowanie cierpieniami Donalda Frascra. Co tchu skoczyłem do gabinetu.

— Poirot! — zawołałem. — Poirot! Jest czwarty list!

Zerwał się, wziął ode mnie kopertę i rozciął ją. List rozłożył na stole. Pochyliliśmy się nad nim

wszyscy trzej czytając:

Znowu się nie udało. A, fe! A, fc! Co robi pan? Co robi policja? Naprawdę, zabawa jest pierwszorzędna. Gdzie też wybierzemy się następnym razem?

Biedny pan Poirot! Z serca panu współczuję. Może tylko z początku tak źle idzie? Trzeba próbować, próbować i jeszcze raz próbować. Przed nami jeszcze długa droga. Dokąd? Do Tipperary? Nie, to przyjdzie później z literą „T”. Kolejne wydarzenie nastąpi w Doncaster dn. 11 września.

Na razie cześć!

A.B.C.

Rozdział XXI

Rysopis mordercy

Wydaje mi się, że od tej pory Poirot zaczął tracić zainteresowanie dla tego, co nazywał zwykłym ludzkim dramatem. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że nie możemy nic przedsięwziąć, dopóki nie nadejdzie czwarty list z wiadomością o zamierzonym miejscu morderstwa „D”. Atmosfera oczekiwania przyniosła pewne odprężenie. Obecnie jednak, gdy znów spojrzwały na nas z białej kartki drukowane litery, łowy miały rozpocząć się na nowo.

Niezwłocznie przyjechał ze Scotland Yardu inspektor Crome. Był jeszcze u nas, gdy zjawili się Franklin Clarke i Megan Barnard. Dziewczyna wyjaśniła, że przyjechała również z Bexhill.

— Chciałam zapytać o coś pana Clarke’a — powiedziała.

Zdawało się, że zależy jej, aby wyjaśnić i usprawiedliwić swoje postępowanie. Stwierdziłem zresztą ten fakt nie przywiązując do niego większego znaczenia. Myśl o nadejściu czwartego listu zaprzętała mnie bez reszty.

Crome nie był zdaje się zadowolony z nadmiaru uczestników rozmowy. Stał się szczególnie sztywny i małomówny.

— Zabiorę ten list, panie Poirot. Jeżeli życzy pan sobie sporządzić kopię...

— Nie, nie to zupełnie zbyteczne.

— Jak przedstawiają się pańskie plany, inspektorze? — zapytał Clarke.

— Całkiem po prostu, panie Clarke.

— Tym razem musimy go dostać! Chcę panu wyznać, inspektorze, że utworzyliśmy związek, który ma samodzielnie zająć się tą sprawą. Legion osób zainteresowanych.

— O, czyżby? — powiedział Crome najchłodniejszym, na jaki było go stać, tonem.

— Jak sądzę, inspektorze, nie ma pan wysokiego zdania o amatorskiej robocie?

— Widzi pan, pański legion nie dysponuje takimi środkami jak ja.

— Mamy za to osobiste pretensje, a to może pomóc.

— O, czyżby?

— Wydaje mi się, że i zadanie policji nie będzie takie łatwe. Prawdę mówiąc, mam wrażenie, że

A.B.C. jeszcze raz pana wykiwa.

Już dawno zauważyłem, że inspektorowi rozwiązywał się język, gdy ktoś wyczerpawszy inne metody zaczynał powątpiewać o jego możliwościach.

— Jestem przekonany — powiedział Crome — że tym razem nasze przygotowania nie dadzą powodu do krytyk. Ten wariat ostrzegł nas w porę. Jedenasty jest dopiero w przyszłą środę. Mamy możliwość rozpętania wielkiej kampanii prasowej. Doncaster zostanie ostrzeżone. Na baczności będzie się miał każdy, czyje nazwisko zaczyna się na literę „D”. Już to samo coś warte. Ponadto ściągniemy do miasta znaczne rezerwy policji. Sprawa ta została już omówiona z komendantami rozmaitych hrabstw. Wszyscy w Doncaster — policja i cywile — będą tropić jednego człowieka. A więc, wykluczając szczególny pech, powinni go chwycić.

— Od razu widać, inspektorze, że nie jest pan sportowcem — stwierdził spokojnie Clarke.

— Co? Dlaczego, panie Clarke? — obruszył się Crome.

— Człowieku, czy pan nie rozumie, że w przyszłą środę są w Doncaster wyścigi o nagrodę Saint Leger? Drugi co do ważności bieg po Derby?

Inspektorowi zrzęda mina. Tym razem nie mógł się zmusić do swojego zwykłego: „O, czyżby?”
Zamiast tego powiedział:

— Rzeczywiście. To komplikuje sprawę.

— A.B.C. jest niewątpliwie wariatem, ale nie głupcem — dorzucił Franklin.

Na chwilę wszyscy umilkli, jak gdyby rozważali sytuację.

Tłumy na wyścigach... Rozmówiona w sporcie angielska publiczność... Nieskończona ilość komplikacji.

— Sprytnie obmyślane — mruknął Poirot. — *Tout de mème c'est bien imagine ça!**

— Moim zdaniem — podjął Clarke — morderstwo nastąpi na terenie wyścigów. Może nawet podczas gonitwy Saint Leger?

Inspektor Crome wstając schował list do kieszeni.

— Fatalny pech — oznajmił. — Saint Leger diabelnie komplikuje sprawę.

Wyszedł; z przedpokoju dobiegł nas szmer głosów. W minutę później Tora Grey była w pokoju.

— Wiem już od inspektora, że przyszedł kolejny list — powiedziała żywo. — Gdzie tym razem?

Padał deszcz. Tora Grey miała na sobie czarny kostium i futrzaną pelerynkę. Mały czarny kapelusik sterczał na czubku jej złocistej głowy. Pytanie swoje zwróciła do Franklina Clarke'a, do którego

podeszła prosto od progu i czekając na odpowiedź położyła mu rękę na ramieniu.

— Doncaster, w dniu gonitwy Saint Leger. Rozpoczęła się żywa dyskusja. Oczywiście byliśmy zdania, że wszyscy musimy znaleźć się na miejscu, lecz tłumny napływ publiczności na wyścigi straszliwie komplikował nasze i tak nie bardzo konkretne plany. Ogarnęło mnie zniechęcenie. Cóż może działać sześcioro ludzi, choćby nawet powodowanych silnym bodźcem osobistym? Przecież wszystkie podejrzane miejsca będą pod obserwacją niezliczonych, uważnych i przenikliwych policjantów. Co za znaczenie może mieć sześć par oczu? Jak gdyby w odpowiedzi na moje myśli Poirot zabrał głos. Mówił tonem nauczyciela lub kaznodziei:

— *Mes enfants**! Nie wolno nam rozpraszać sił. Do sprawy musimy podejść metodycznie i z rozwagą. Prawdy należy szukać od środka, nie od zewnątrz. Wszyscy musimy postawić sobie pytanie: co ja wiem o mordercy? W ten sposób wspólnymi siłami uda nam się zapewne wytworzyć obraz człowieka, którego poszukujemy.

— Nic o nim nie wiemy — westchnęła z rezygnacją Tora Grey.

— Nie, *Mademoiselle*, to nie jest ściśle. Każdy z nas coś o nim wie. Ach, gdybyśmy mogli mieć pewność, co właściwie jest ważne! Jestem przekonany, że te wiadomości są między nami. Musimy je tylko wydobyć na jaw.

Clarke pokręcił głową.

— Nie wiemy, czy jest stary, czy młody, czy blondyn czy brunet. Nic o nim nie wiemy. Nikt z nas nie rozmawiał z nim nigdy ani go nie widział. Przecież nie raz i nie dwa każdy z nas powiedział wszystko, co mu było wiadome.

— Nie wszystko! — zawołał Poirot. — Na przykład panna Grey mówiła, że w dniu śmierci sir Cecila Clarke'a nie rozmawiała z nikim obcym ani nikogo takiego nie widziała.

— Bo tak było — powiedziała spokojnie dziewczyna.

— Rzeczywiście? A od lady Clarke wiemy, *mademoiselle*, że z okna swego pokoju widziała panią. Stała pani na ganku i rozmawiała z jakimś mężczyzną.

— Stałam na ganku i rozmawiałam z jakimś mężczyzną? — Tora sprawiała wrażenie naprawdę zdziwionej i trudno ją było posądzić o udawanie. — Lady Clarke musiała się chyba pomylić. Ja... Ach! — rumieniec oblał jej policzki. — Oczywiście, racja! Jakaż ja głupia! Zupełnie o tym zapomniałam. Ale to drobiazg bez znaczenia... Przyszedł jakiś człowiek, który chciał mi sprzedać pończochy. Wie pan, teraz dużo takich. To przeważnie byli żołnierze... Był dość natrętny i ledwie się go pozbyłam. Właśnie przechodziłam przez hali, kiedy wszedł na ganek, więc zamiast dzwonić zagadnął mnie. Wydał mi się taki jakiś zabiedzony, nieszkodliwy... Może właśnie dlatego o nim zapomniałam zupełnie.

Poirot wymachiwał rękami, ścisnął skronie i mruzczał coś do siebie z takim przejęciem, że wszyscy przyglądaliśmy się mu w milczeniu.

— Pończochy... — bełkotał. — Pończochy... pończochy... Czyżbym miał motyw? Tak. Trzy miesiące temu i wtedy... i teraz... Wielki Boże! Mam!

Usiadł i spojrzał na mnie byстрыm wzrokiem.

— Pamiętasz, Hastings? Andover. Sklep. Piętro. Pokój sypialny. Komoda. Para nowych jedwabnych pończoch. Teraz już wiem, co dwa dni temu zwróciło moją uwagę. Pani, *Mademoiselle*, — zwrócił się do Megan — mówiła, że jej matka płakała nad nowymi pończochami, które kupiła dla Betty w dniu jej śmierci — rozejrzał się dokoła. — Rozumiecie teraz? Ten sam motyw powtarza się trzykrotnie. To nie może być zbieg okoliczności. Dwa dni temu, kiedy opowiadała panna Megan, miałem wrażenie, że jej słowa z czymś się łączą. Teraz już wiem z czym. Ze zdaniem sąsiadki pani Ascher, tej pani Fowler. Mówiła o agentach, którzy chodzą po domach i usiłują sprzedać ludziom różne rzeczy, na przykład pończochy. *Mademoiselle*, tamte pończochy pani matka kupiła nie w sklepie, ale od kogoś, kto przyszedł do domu?

— Tak, tak, na pewno. Teraz dobrze pamiętam. Mamusia mówiła, że zawsze bardzo żałuje tych biedaków, co handlują po domach.

— Ale cóż to ma za związek z naszą sprawą? — zawołał Franklin. — To, że ktoś chodzi po domach i sprzedaje pończochy, niczego jeszcze nie dowodzi.

— Powtarzam, *mon ami*, o zbiegu okoliczności nie może być mowy. Trzy morderstwa. Za każdym razem jakiś mężczyzna niby to sprzedaje pończochy, a naprawdę rozpoznaje teren.

Gwałtownie zwrócił się do Tory:

— Pani ma głos. Proszę opisać tego człowieka. Spojrzała nań z zakłopotaniem.

— Nie potrafię. Nie wiem, jak... Chyba miał okulary i był ubrany w starą zniszczoną marynarkę.

— Proszę dokładniej, *Mademoiselle*.

— Był przygarbiony... Więcej nic nie wiem. Ledwie na niego spojrzałam. To taki człowiek, na którego nie zwraca się uwagi.

— O to właśnie chodzi — podkreślił z powagą Poirot. — Cała tajemnica tych morderstw spoczywa w podanym przez panią rysopisie mordercy, bo to niewątpliwie był morderca.

— Taki człowiek, na którego nie zwraca się uwagi.

— Tak, tak, naturalnie. Otrzymaliśmy od pani rysopis mordercy.

Rozdział XXII

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Pan Aleksander Bonaparte Cust siedział jak skamieniały. Nietknięte śniadanie wystygło. Imbryk okrywała zgnieciona gazeta, którą pan Cust czytał do niedawna z wielkim zainteresowaniem. Nagle wstał, kilka razy przemierzył pokój tam i z powrotem, a wreszcie opadł ciężko na fotel pod oknem. Twarz ukrył w dłoniach i jęknął głucho. Nie słyszał dźwięku otwieranych drzwi. Właścicielka mieszkania, w którym odnajmował pokój, pani Marbury, stanęła w progu.

— Panie Cust, może chciałby pan spróbować doskonałej... Co się stało? Niedobrze panu?

Pan Cust opuścił ręce.

— Nie, nie, nic, pani Marbury... Od rana trochę źle się czuję.

— A widzę, widzę — powiedziała kobieta spoglądając na tacę ze śniadaniem. — Nie tknął pan niczego. Czy głowa znów dokucza?

— Nie... Tak, naturalnie. I jestem trochę rozdrażniony.

— Współczuję panu. Oczywiście, dzisiaj pan nie wyjedzie?

Pan Cust ożywił się nagle.

— Wyjadę! Muszę. Mam interesy, bardzo ważne interesy.

Ręce mu drżały; pani Marbury widząc to wzruszenie chciała rozerwać lokatora.

— Cóż, jak mus to mus. Daleko jedzie pan tym razem?

— Nie, do... — zawahał się — do Cheltenham.

W niezdecydowaniu jego było coś tak dziwnego, że pani Marbury spojrzała nań podejrzliwie.

— Cheltenham to przyjemne miasteczko — podjęła gawędziarskim tonem. — Jednego roku jeździłam tam, jeszcze z Bristolu. Bardzo ładne sklepy.

— Tak, tak, chyba...

Kobieta pochyliła się z trudem (jej krepą figurą nie sprzyjała gimnastyce), by podnieść zgniecioną gazetę leżącą na podłodze.

— Ostatnio cała prasa pisze tylko o tych morderstwach — przebiegła wzrokiem nagłówki artykułów. — Aż ciarki człowieka przechodzą. Ja tam wcale tego nie czytam. Zupełnie tak, jakby ożył Kuba–Rozpruwacz.

Pan Cust poruszył wargami, ale nie wydał dźwięku.

— Doncaster — ciągnęła gospodyni. — Tam ma popełnić następne morderstwo. Chyba dobrze zapamiętałam? Gdybym mieszkała w Doncaster i miała nazwisko na „D”, uciekłabym najbliższym pociągiem. Wolalabym nie ryzykować. Czy pan coś mówił, panie Cust?

— Nie... nic, nic, proszę pani.

— W Doncaster będą wyścigi i całe tłumy ludzi. Pewno wyobraża sobie, że łatwo mu pójdzie. Ale znów piszą, że mobilizuje się setki policjantów... Ach, panie Cust, pan naprawdę bardzo źle wygląda. Może zażyłby pan kropli na serce? A w każdym razie nie powinien pan jechać dziś w drogę.

Pan Cust przemógł się jakoś.

— Muszę, pani Marbury. Muszę. Zawsze na czas wypełniam swoje... swoje zobowiązania. Ludzkie zaufanie to najważniejsza rzecz. Jak podejmę się czegoś, doprowadzam to do końca. Tylko tym sposobem można do czegoś dojść w handlu.

— Ale jeżeli pan jest chory...

— Nie jestem chory. Trochę dręczą mnie... rozmaite sprawy osobiste. W dodatku źle spałem. Poza tym czuję się zupełnie normalnie.

Pod koniec rozmowy zachowywał się tak pewnie, że kobieta wzięła tace z nietkniętym śniadaniem i ociągając się wyszła z pokoju.

Pan Cust wyciągnął spod łóżka walizkę i przystąpił do pakowania. Piżama, neseser, zapasowy kołnierzyk, skórzane ranne pantofle... Potem otworzył schowek i wyjął kilkanaście płaskich tekturowych pudełek mierzących mniej więcej dziesięć cali na siedem. Rzucił okiem na leżący na stole rozkład kolejowy i z walizką w ręku wyszedł z pokoju.

Wkładając w hallu płaszcz i kapelusz westchnął tak głęboko, że dziewczyna, która wyszła z drzwi po lewej stronie, spojrzała na niego ze współczuciem.

— Co panu, panie Cust?

— Nic, panno Lili.

— Tak pan wzdycha...

— Panno Lili — zapytał z nagłą energią — czy wierzy pani w jakieś złe przeczucia... jasnowidzenia?

— No, wie pan!... Trudno mi na to odpowiedzieć. Oczywiście, że są dni, kiedy człowiek wierzy, że wszystko pójdzie mu dobrze, a kiedy indziej ciągle się czegoś obawia...

— Tak, tak, naturalnie — bąknął pan Cust i znowu westchnął głęboko. — No, do widzenia, panno Lili. Żegnam. Obie panie były dla mnie bardzo, bardzo dobre.

— Ojej, taki pan uroczy, jakby wyjeżdżał na zawsze — roześmiała się Lili.

— Nie, nie, skąd znowu! Przecież wrócę.

— Zobaczymy się w piątek. Dokąd pan jedzie tym razem? Znow nad morze?

— Nie, nie... ehem... Do Cheltenham.

— I to przyjemna miejscowość, ale nie taka piękna, jak Torquay. Musiało tam być ślicznie. Na przyszły rok pojedę do Torquay na urlop. Aha, był pan bardzo niedaleko miejsca morderstwa... Tego trzeciego morderstwa A.B.C.... Przecież to akurat miało miejsce, jak pan był w Torquay?

— Tak, tak... aha. Ale Churston jest o sześć czy siedem mil.

— Tak czy inaczej, to wstrząsająca historia. Mój Boże, przecież mógł pan otrzeć się o mordercę na ulicy... Mógł pan nawet z nim rozmawiać.

— Tak, mogłem, naturalnie — powiedział pan Cust z takim widmowym uśmiechem, że zwrócił uwagę dziewczyny.

— Ach, panie Cust, pan bardzo źle wygląda.

— Ale czuję się dobrze, zupełnie dobrze. Do widzenia, panno Marbury.

Drżącą ręką sięgnął po kapelusz, chwycił walizkę i szybko wyszedł z domu.

— Komiczny stary dziwak — powiedziała do siebie Lili tonem pobłażania. — Chyba trochę pomyłony.

Inspektor Crome rozkazał jednemu ze swoich podwładnych:

— Proszę mi przynieść spis wszystkich firm wyrabiających lub rozprowadzających pończochy. Potrzebny mi jest również wykaz agentów. Przede wszystkim tych na prowizji.

— Czy to sprawa A.B.C., panie inspektorze?

— Tak. Jeden z pomysłów pana Herkulesa Poirota — odparł Crome lekceważącym tonem. — Pewno i z tego nic nie wyniknie, nie wolno jednak zaniedbywać najdrobniejszej nawet poszlaki.

— Słusznie, panie inspektorze. Pan Poirot nieraz pokazał, co potrafi. Ale teraz, jak mi się zdaje, trochę stetryczał.

— To kuglarz — stwierdził Crome. — Nieustannie pozuje. Niektórych to bierze, ale mnie nie. Mniejsza o niego. Zajmijmy się raczej przygotowaniem w Doncaster.

Tom Hartigan powiedział do Lili Marbury:

— Dziś rano widziałem twojego starego bzika.

— Pana Custa?

— Właśnie, pana Custa. Na dworcu King's Cross. Miał tę swoją minę zabłąkanej kury. Chyba jemu brak piątej klepki? Właściwie ktoś powinien się nim zaopiekować. Najprzód upuścił gazetę, a potem bilet. Podniosłem bilet, bo on wcale nie wiedział, że go zgubił. Podziękował mi tak jakoś głupio. Myślę, że mnie nie poznał.

— Nic dziwnego — orzekła Lili. — Przecież widział cię tylko w hallu, i to zaledwie parę razy.

W milczeniu przetańczyli dokoła parkietu.

— Czy się nie przesłyszałam? — zapytała nagle dziewczyna. — Mówiłeś o dworcu King's Cross czy o Paddington?

— O King's Cross.

— Tam spotkałeś pana Custa?

— Oczywiście.

— Jesteś pewien?

— Najzupełniej. Dlaczego pytasz?

— Zabawne. Byłam przekonana, że do Cheltenham jedzie się z Paddington.

— I miałaś rację. Ale twój stary bzik nie jechał do Cheltenham, tylko do Doncaster.

— Mylisz się, do Cheltenham.

— Nie, do Doncaster. Przecież podniosłem i widziałem jego bilet.

— A mnie mówił, że wybiera się do Cheltenham. Jestem tego zupełnie pewna.

— Musiałaś się przesłyszeć. Na pewno jechał do Doncaster... Taki to ma szczęście! Postawiłem coś niecoś na Firefly i strasznie chciałbym zobaczyć Saint Leger.

— O, pan Cust nie pojechał chyba na wyścigi. Nie wydaje mi się, żeby był z takich. Ach, Tom, chyba go ten A.B.C. nie zamorduje? Przecież Doncaster wyznaczył na kolejne miejsce.

— Staremu nic nie grozi. Jego nazwisko nie rozpoczyna się na „D”.

— Za to mógł być zamordowany poprzednim razem. Był w Torquay, bardzo niedaleko Churston, gdzie popełniono poprzednią zbrodnię.

— Był w Torquay?... Dziwny zbieg okoliczności, prawda? — Tom roześmiał się bez troski. — Ale w Bexhill nie był chyba w czasie drugiego morderstwa?

Lili zmarszczyła brwi.

— Wyjeżdżał z domu. Tak, dobrze sobie przypominam, że go nie było. Zapomniał wziąć kostium kąpielowy, który mama dla niego cerowała. Mama wtedy mówiła: „Ach, pan Cust wyjechał wczoraj bez kostiumu kąpielowego!” A ja na to: „Kto by się tam przejmował kostiumem kąpielowym. W gazetach jest o okropnym morderstwie. W Bexhill uduszono jakąś dziewczynę”.

— No, jeżeli staremu potrzebny był kostium kąpielowy, na pewno jechał nad morze. Ach, Lili — znowu roześmiał się głośno — cóż by to była za historia, gdyby twój stary bzik był tym mordercą!

— Biedny pan Cust? On nie skrzywdziłby nawet muchy — uśmiechnęła się dziewczyna.

Umilkli. Na pozór zajęci byli tylko tańcem i sobą, ale w podświadomości ich coś zaczynało kiełkować.

Rozdział XXIII

Doncaster 11 września

Doncaster!

Do końca życia będę pamiętał ten jedenasty września. Ilekroć widzę w gazecie wzmiankę o gonitwie Saint Leger, umysł mój wraca bezwiednie nie do wyścigów, lecz do morderstwa. Kiedy wspominam swoje własne wrażenia, najbardziej dręczy mnie poczucie zupełnej bezradności. Na miejscu byliśmy wszyscy: Poirot, ja, Clarke, Fraser, Megan Barnard, Tora Grey i Mary Drower, a w gruncie rzeczy nikt z nas nie mógł nic zrobić. Budowaliśmy zamki na lodzie żywiąc mglistą nadzieję, że ktoś z nas rozpozna w wielotysięcznym tłumie twarz lub sylwetkę widzianą przelotnie raz, i to dwa albo trzy miesiące wcześniej. Prawdę rzekłszy, trudności były jeszcze większe. Spośród nas jedna tylko Tora Grey mogłaby rozpoznać zbrodniarza. Chłód jej poczynał topnieć pod wpływem napięcia. Zniknęła gdzieś energia i opanowany sposób bycia. Siedziała załamując ręce i bliska płaczu mówiła nerwowo do Poirota:

— Przecież ja wcale na niego nie patrzyłam. Ach, dlaczego, dlaczego? Jaka ja byłam głupia! Polega pan na mnie, a ja zawiodę i pana, i wszystkich! Jeżeli nawet zobaczę go tutaj, mogę go nie poznać. W ogóle mam złą pamięć wzrokową.

W swoim czasie Poirot w rozmowach ze mną dawał wyraz swojemu dość krytycznemu nastawieniu do tej dziewczyny. Obecnie jednak okazywał jej tylko łagodną życzliwość. Był może nawet zanadto serdeczny, co naprowadziło mnie na myśl, że na cierpienia pięknych dziewcząt jest równie wrażliwy, jak ja.

— Spokojnie, spokojnie, *ma petite** — mówił gładząc ją po ramieniu. — Proszę, bez hysterii. Na to nie możemy sobie pozwolić. Jeżeli pani zobaczy tego człowieka, na pewno go pani pozna.

— Skąd taka pewność?

— Powód mam nie jeden. Przede wszystkim ten, że czerwone musi nastąpić po czarnym.

— Co ty pleciesz, Poirot? — zdziwiłem się.

— Mówię językiem stołów gry. W rulecie może być długa seria czarna, lecz w rezultacie los musi paść na czerwone. To matematyczna teoria prawdopodobieństwa.

— Chcesz powiedzieć, że szczęście się odwraca?

— Nie inaczej. Chcę też powiedzieć, że graczowi brak często rozumnego przewidywania. A morderca to przecież gracz najwyższej klasy, bo ryzykuje nie pieniądze, lecz życie. Gracz wygrywa i myśli, że będzie wygrywał nieustannie. Nie odchodzi od stołu gry z pełnymi kieszeniami. Tak samo w

zbrodni. Morderca, któremu się udało, nie może uwierzyć, że w przyszłości szczęście może go zawieść. Jedyne sobie przypisuje całą zasługę. A mówię wam, *mes amis*^{*}, że nawet najstaranniej przygotowana zbrodnia nie może się udać bez przysłowiowego łuta szczęścia.

— Czy nie posuwa się pan za daleko w tym twierdzeniu? — Franklin Clarke miał pewne wątpliwości.

— Nie, nie. Może to być tylko jeden łut szczęścia, ale musi działać na korzyść mordercy. Proszę się zastanowić: przecież ktoś mógł wejść do trafiki pani Ascher w momencie, gdy morderca stamtąd wychodził. Temu komuś mogło przyjść do głowy, aby zajrzeć za kontuar, a wówczas zobaczyłby zwłoki i albo z miejsca ujął zbrodniarza, albo mógłby dać tak dokładny jego rysopis, że policja ujęłaby go bez trudu.

— Tak, naturalnie, to możliwe — przyznał Clarke. — Z pańskich wywodów wynika, że każdy morderca musi grać na los szczęścia.

— Niewątpliwie. Morderca jest zawsze hazardzistą. I jak ogół hazardzistów, nie zdaje sobie sprawy, kiedy powinien przestać grać. Po każdej zbrodni wzrasta jego dobre mniemanie o własnych zdolnościach. Maleje za to poczucie proporcji. Przestaje myśleć: byłem sprytny i miałem szczęście. Myśli po prostu: byłem sprytny. Rośnie w nim wiara we własny spryt. No i, *mes amis*, kulka idzie w ruch. Kończy się seria koloru. Krupier ogłasza numer i woła: „Rouge!”^{*} tym razem.

— Sądzi pan, że tak będzie i w naszej sprawie? — zapytała Megan i z zastanowieniem zmarszczyła brwi.

— To musi nastąpić wcześniej lub później. Do tej pory los sprzyjał zbrodniarzowi. Któregoś dnia musi uśmiechnąć się do nas. Mam wrażenie, że zwrot już nastąpił. Za początek uważam sprawę pończoch. Teraz wszystko, zamiast jak dotychczas iść po jego myśli, zacznie zbrodniarza zawodzić. Wtedy on również zacznie popełniać omyłki.

— Muszę przyznać, że dodaje nam pan ducha — stwierdził Franklin Clarke. — A bardzo nam potrzeba takiej zachęty. Od rana dręczy mnie poczucie tragicznej bezradności.

— Mnie także wydaje się mało prawdopodobnym, abyśmy mogli dokonać czegoś o praktycznym znaczeniu — podtrzymał go Donald Fraser.

— Nie bądź defetystą, Don! — zgromiła go Megan.

— A ja twierdzę, że nic nie wiadomo — wtrąciła mocno zarumieniona Mary Drower. — Ten piekielnik jest w Doncaster. My też tutaj jesteśmy. Ostatecznie ludzie spotykają się nieraz w najdziwniejszy sposób.

— Ach, gdybyśmy dysponowali lepszymi środkami! — westchnąłem.

— Nie zapominaj, Hastings — odpowiedział Poirot — że policja robi wszystko, co możliwe w granicach zdrowego rozsądku. Zmobilizowano silne rezerwy. Zaczny inspektor Crome może mieć

irytujący sposób bycia, ale to bardzo zdolny i energiczny oficer. A pułkownik Andersen, komendant policji w tym hrabstwie, jest prawdziwym człowiekiem czynu. Całe miasto, a zwłaszcza teren wyścigów, są obserwowane i patrolowane. Co krok będziemy spotykać agentów po cywilnemu. Niemalże też zrobiła kampania prasowa: w porę ostrzegła ludność.

— Jestem prawie pewien — powiedział Donald Fraser — że tym razem A.B.C. nie odważy się spróbować. Musiałby być szaleńcem!

— Niestety, on jest szaleńcem — odparł sucho Clarke. — Jak pan sądzi, Poirot, czy zrezygnuje dzisiaj, czy będzie chciał postawić na swoim?

— Moim zdaniem jego obsesja działa tak silnie, że będzie musiał spełnić swoją obietnicę. Gdyby zrezygnował, przyznałby się do porażki, a na to nie przystanie nigdy jego szaleńczy egoizm. Opinię tę podziela doktor Thompson. Cała nasza nadzieja w tym, że zbrodniarz zostanie ujęty w chwili ataku.

— Na to jest za przebiegły — Donald smutno pokręcił głową.

Poirot spojrział na zegarek, a my zrozumieliśmy ten sygnał. Z góry już ustalono, że będziemy pracowali cały dzień. Z rana mieliśmy patrolować ulice, a później umieścić się w rozmaitych dogodnych punktach na polu wyścigowym. Powiadam „my”, chociaż, jeżeli o mnie chodzi, patrolowanie moje nie na wiele mogło się przydać, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy nie widziałem A.B.C. Ponieważ jednak mieliśmy się rozdzielić, aby pokryć możliwie jak największy teren, zaproponowałem, że mogę służyć jako eskorta jednej z kobiet. Poirot pochwalił mój zamiar z miną, jak się obawiam, nieco ironiczną.

Panie poszły po kapelusze. Donald Fraser stał przy oknie pogrążony w myślach. Franklin Clarke zerknął na niego, lecz zorientował się widocznie, że jest zbyt zamyślony, by podsłuchiwać, więc zniżonym głosem zwrócił się do Poirota:

— Panie Poirot, był pan w Churston. Jak wiem, widział się pan z moją bratową. Czy mówiła... napomykała... robiła jakieś aluzje... — urwał zakłopotany.

— O co chodzi? Czy pańska bratowa mówiła mi, napomykała, robiła aluzje na jaki temat? — Poirot pytał z twarzą tak kamienną, że zbudziło to moje podejrzenie.

Franklin Clarke poczerwieniał mocno.

— Może pan jest zdania, że to nie pora na poruszanie spraw osobistych...

— Bynajmniej.

— Ale wydaje mi się, że najlepiej zmierzać prosto do celu.

— To najwłaściwszy kierunek.

Odniosłem wrażenie, że nawet Clarke zaczął podejrzewać, iż nieruchoma maska Poirota kryje wewnętrzne rozbawienie. Dalszy ciąg przemówienia nie szedł mu łatwo.

— Moja bratowa to niesłychanie miła kobieta... Zawsze bardzo ją lubiłem. Ale, widzi pan, długo już choruje, a przy tego rodzaju chorobie... Rozumie pan, dostaje środki odurzające i takie różne lekarstwa... Skutkiem tego wyobraża sobie przedziwne rzeczy o rozmaitych ludziach...

— Aha.

Nie miałem już wątpliwości: w oczach Poirota igrały swawolne błyski. Ale pochłonięty swoją dyplomatyczną misją Franklin Clarke wcale tego nie dostrzegał.

— Chodzi mi o Torę... o pannę Grey.

— Ach, o pannę Grey — głos mojego przyjaciela zabrzmiał szczerym zdziwieniem.

— Tak. Właśnie na jej temat lady Clarke wbiła sobie do głowy różne rzeczy. Widzi pan, Tora... panna Grey, to bardzo przystojna młoda osoba...

— Tak pan uważa?

— Kobiety, nawet najlepsze, są trochę zazdrosne o inne kobiety. Oczywiście Tora była nieocenioną pomocnicą mojego brata. Często powtarzał, że nigdy nie miał lepszej sekretarki... No, i naprawdę ją lubił. Ale to wszystko było zupełnie uczciwe, jasne. Na pewno Tora nie jest dziewczyną, która...

— Na pewno — przyznał Poirot tonem szczerego przekonania.

— Ale, widzi pan, moja bratowa była... jak by się tu wyrazić... zazdrosna, jak mi się zdaje. Nie, nie okazywała tego w sposób widoczny, ale po śmierci Cecila, kiedy wynikła kwestia pozostania panny Grey w Combeside, Charlotta wystąpiła bardzo stanowczo. Oczywiście, po części to skutek choroby i morfiny, i... i... Tego samego zdania jest siostra Capstick. Powiada, że nie można mieć pretensji do Charlotty za jej dziwaczne podejrzenia... — urwał nagle.

— No i co — zapytał Poirot.

— Chciałbym, panie Poirot, aby pan dokładnie zrozumiał, że w tym wszystkim naprawdę nic nie było. To bezpodstawne wymysły ciężko chorej kobiety. O, proszę spojrzeć — zaczął szukać po kieszeniach. — To list mojego brata. Otrzymałem go, kiedy byłem na Malajach. Chciałbym, żeby go pan przeczytał, bo wyraźnie w nim mowa o charakterze stosunków, jakie łączyły mojego brata z panną Grey.

Poirot wziął list, Franklin zaś stanął obok niego, wskazał palcem odpowiedni urywek i począł czytać głośno:

— „... mniej więcej wszystko po staremu. Charlotta cierpi może trochę mniej niż dotychczas. Żałuję, że nie mogę Ci przesłać o niej lepszych wiadomości. Zapewne pamiętasz Torę Grey? To bardzo dobra dziewczyna i jest mi niewypowiedzianą pociechą. Nie wiem doprawdy, jak w tych

ciężkich czasach poradziłbym sobie bez niej. Jej zainteresowanie i współczucie jest zawsze niezawodne. Ponadto ma doskonały Cust, kocha piękne rzeczy i podziela moją pasję do chińskiej sztuki. Prawdziwie szczęśliwy był dla mnie dzień, kiedy ją znalazłem. Córka nie potrafiłaby być bliższą i miłszą współpracownicą. Dotychczas miała życie trudne i nie zawsze szczęśliwe, zadowolony więc jestem, że u nas znalazła dom i prawdziwie życzliwe serca.”

— Widzi pan — podjął Franklin — tak mój brat odnosił się do panny Grey. Uważał ją niemal za córkę. Bardzo mnie to boli, że z chwilą śmierci Cecila jego żona prawie wypędziła tę dziewczynę z domu. Kobiety to istne diablice, panie Poirot.

— Niech pan nie zapomina, że lady Clarke jest ciężko chora i znosi niewypowiedziane męki.

— Wiem, wiem i ciągle to sobie powtarzam. Nie wolno sądzić jej surowo. Mimo wszystko jednak byłem zdania, że ten list powinienem panu pokazać. Nie chciałem dopuścić, aby na podstawie słów lady Clarke wyrobił pan sobie złą opinię o Torze.

— Może pan być pewien — rzekł z uśmiechem Poirot zwracając list — że z zasady nie wyrabiam sobie opinii (złych ani dobrych) na podstawie cudzych słów. Sam kształtuję moje sądy o ludziach.

— Tak czy inaczej — powiedział Clarke chowając list — zadowolony jestem, że go panu pokazałem. Otóż i nasze panie. Chyba zaraz wyruszymy do pracy?

Kiedy wychodziliśmy z pokoju, Poirot skinął na mnie i został nieco w tyle.

— Koniecznie chcesz wybrać się na te wyprawę?

— Naturalnie. Nie chcę siedzieć w domu z założonymi rękami.

— Pamiętaj, że mózg może być równie czynny, jak ciało.

— To raczej twoja specjalność, nie moja.

— Niewątpliwie masz rację. O ile się nie mylę, miałeś zamiar być kawalerem jednej z naszych dam?

— Wydawało mi się to rozsądne.

— A którą damę chciałeś zaszczyścić swoim towarzystwem?

— Czy ja wiem? Jeszcze się nie zastanawiałem.

— Jak zapatrujesz się na pannę Barnard?

— Uważam ją raczej za typ kobiety zupełnie samodzielnej — bąknąłem.

— A panna Grey?

— To już lepszy pomysł.

— Stwierdzam, Hastings, że jesteś dziwnie i bezczelnie nieuczciwy. Od rana myślałeś o swoim jasnowłosym aniele.

— Nie pleć głupstw, Poirot!

— Szczerze boleję, że krzyżuję ci plany, zmuszony jednak jestem poprosić cię, abyś komu innemu służył jako eskorta.

— Dobrze, dobrze. Od dawna wiem, że masz słabość do tej ciemnowłosej lalki z nieruchomą twarzą.

— Mylisz się. Osobą, którą chcę powierzyć twojej pieczy, jest Mary Drower. Proszę cię, Hastings, nie odstępuj jej na krok.

— Dlaczego?

— Dlatego, *mon ami*, że jej nazwisko zaczyna się na „D”. Nie wolno nam ryzykować.

Uwaga ta wydała mi się całkiem słuszna, choć zrazu nieco zbyt przesadna. Po namyśle jednak doszedłem do wniosku, że jeżeli A.B.C. istotnie nienawidzi Poirota, może obserwować jego ruchy. W takim wypadku wybór Mary Drower mógłby mu się wydać bardzo zręcznym posunięciem.

Bez wahania przyrzekłem ściśle zastosować się do otrzymanych poleceń. Wyszedłem z pokoju zostawiając Poirota w fotelu pod oknem. Mój przyjaciel miał przed sobą małą ruletkę. Puścił ją w ruch, kiedy byłem już za drzwiami, i zawołał głośno:

— Rouge! To dobry omen, Hastings! Szczęście się odwraca. Zła passa mija.

Rozdział XXIV

(Nie z opowiadania
kapitana Hastingsa)

Pan Leadbetter mruknął głucho i gniewnie, gdy jego sąsiad wstał i mijając go niezręcznie upuścił kapelusz na krzesło w poprzednim rzędzie i pochylił się, aby go podnieść. Działo się to w kulminacyjnym momencie głośnego filmu „Ptaki niebieskie”, patetycznego melodramatu, na którego obejrzenie pan Leadbetter czekał przez cały tydzień. Złotowłosa bohaterka grana przez Katherine Royal (zdaniem pana Leadbettera najlepszą aktorkę świata) krzyczała właśnie ochryplym głosem:

— Nigdy! Nigdy! Wolałabym umrzeć z głodu. Ale nie umrę. Pamiętaj! Stwórca żywi ptaki niebieskie.

Pan Leadbetter przechylał się niecierpliwie w prawo i w lewo. Ach, ci ludziska! Dlaczego nie mogą doczekać końca filmu? Dlaczego wychodzą w najdramatyczniejszym momencie? Nareszcie! Bezceremonialny dżentelmen poszedł dalej. Pan Leadbetter dobrze już widział ekran i Katherine Royal stojącą w oknie nowojorskiego drapacza chmur na którymś tam piętrze. A teraz wsiada do pociągu. Trzyma dziecko w ramionach... Jakie dziwne są wagony w Ameryce, zupełnie niepodobne do angielskich... Teraz znowu Steve w swoim szałasie w górach...

Film płynął szczęśliwie ku wzruszającemu i niemal religijnemu zakończeniu. Pan Leadbetter aż sapnął z zadowolenia, gdy zapaliły się światła. Powoli dźwignął się z fotela mrużąc oczy. Nigdy nie było mu pilno wyjść z kina. Powrót do codziennego prozaicznego życia zajmował mu zawsze kilka minut.

Rozejrzał się dokoła. Naturalnie, publiczności niewiele. Wszyscy polecili na wyścigi. Pan Leadbetter nie pochwalał wyścigów ani gry w karty, ani picia czy palenia. Jako abstynent miał więcej energii na chodzenie do kina.

Ludzie spieszyli do wyjścia.

Pan Leadbetter podążył za innymi. Widz z krzesła w poprzednim rzędzie widocznie drzemał, bo opadł nisko. Pan Leadbetter obruszył się na myśl, że ktoś mógł spać na takim dramacie, jak „Ptaki niebieskie”.

Jakiś zirytowany dżentelmen mówił do śpiocha, którego nogi barykadowały przejście:

— Przepraszam pana. Bardzo przepraszam.

Pan Leadbetter był już przy wyjściu. Obejrzał się. Zdawało mu się, że powstało jakieś

zamieszanie. Widział portiera, niewielką grupkę osób. Może ten człowiek z fotela przed nim nie spał, tylko upił się do nieprzytomności?

Pan Leadbetter zatrzymał się na chwilę, zawahał i wyszedł z sali, na skutek czego stracił największą sensację dnia, nieporównanie bardziej wstrząsającą niż zwycięstwo Not Halt w Saint Leger i wypłata w stosunku osiemdziesiąt pięć za jeden.

Portier mówił:

— Tak, ma pan rację, on musi być chory. Panie, panie, co panu jest?

Ktoś cofnął rękę z okrzykiem przerażenia i patrzył na gęstą czerwoną ciecz.

— Krew!

Portier krzyknął głucho. Pod fotelem zobaczył róg książki w żółtej oprawie.

— Jak Boga kocham — zawołał — to A.B.C.!

Rozdział XXV

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Pan Cust wyszedł z kina Royal i spojrzał w niebo. Wieczór był piękny, naprawdę piękny. Przypomniał mu się wiersz Browninga:

Bóg jest na niebie, na ziemi dobrze się dzieje...

Bardzo lubił tę cytate, ale często zdawało mu się, że nie jest zupełnie prawdziwa.

Z uśmiechem dreptał trawnikiem aż do hotelu Pod Czarnym Łabędziem, gdzie się zatrzymał. Lekko dysząc wszedł na drugie piętro do małego, dusznego pokoju z widokiem na brukowane podwórze i garaż. Gdy już znalazł się w pokoju, uśmiech znikł nagle z jego twarzy. Na rękawie w pobliżu mankietu spostrzegł plamę. Dotknął jej niespokojnie. Była wilgotna i czerwona... Krew...

Wsunął rękę do kieszeni i wy dobył coś dziwnego: długi, cienki nóż. Jego ostrze było również lepkie i czerwone.

Pan Cust usiadł w fotelu i przez długi czas siedział bez ruchu. Nagle przebiegł pokój niespokojnym wzrokiem ściganego zwierza. Językiem przesunął po wargach.

— To nie moja wina, nie moja — szepnął takim tonem, jak uczeń broniący się przed nauczycielem.

Jeszcze raz obliznął wargi. Jeszcze raz dotknął ostrożnie rękawa.

Wstał i szybko podszedł do umywalni. Ze staroświeckiego dzbanka nalał do miednicy wody, zdjął marynarkę, wypłukał rękaw i starannie zaczął go wyżywać. Woda poczerwieniała silnie.

Ktoś zastukał do drzwi. Pan Cust znieruchomiał.

Drzwi otwierają się. Wchodzi młoda, tęga dziewczyna z dzbankiem w ręku.

— O, bardzo pana przepraszam! Przyniosłam gorącą wodę.

— Dziękuję — zdołał wyjąkać. — Już umyłem się w zimnej.

Dlaczego to powiedział? Dziewczyna zwróciła spojrzenie ku miednicy. Nastąpiła pauza, bardzo długa pauza, nim pokojówka powiedziała:

— Tak, proszę pana — i wyszła szybko.

Pan Cust stał jak skamieniały. Stało się. Nareszcie... Nasłuchiwał: czy rozlegną się krzyki, tupot nóg na schodach?... Chwilowo słyszał tylko bicie własnego serca.

Nagle ożył, jak gdyby rozmarzył niespodzianie. Wciągnął marynarkę, na palcach podszedł do drzwi i uchylił je ostrożnie. Nie było słychać nic, prócz zwyczajnego gwaru dochodzącego z baru. Pan Cust ukradkiem zszedł po schodach. Nie spotkał nikogo. Szczęście mu dopisywało. Przystanął na parterze. Którędy teraz?

Zdecydował się. Szybko minął korytarz i tylnymi drzwiami wyszedł na podwórze. Dwóch szoferów majstrowało coś przy samochodach. Rozmawiali głośno o przebiegu wyścigów.

Pan Cust szybkim krokiem przemierzył podwórze i wyszedł na ulicę. Przy pierwszym skrzyżowaniu skręcił na prawo, potem na lewo, potem znów na prawo.

Czy odważy się pójść na stację? Tak. Tam będą tłumy. Uruchomiono specjalne pociągi. Jeżeli dopisze mu szczęście, wszystko się uda. Jeżeli dopisze mu szczęście...

Rozdział XXVI

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Inspektor Crome słuchał nerwowej paplaniny pana Leadbettera:

— Stówó daję, panie inspektorze, serce mi bić przestaje, jak myślę o tym. Przez cały program on musiał siedzieć tuż obok mnie, na sąsiednim krześle.

— Niech pan to opowie dokładniej — rzekł inspektor Crome zupełnie nie zainteresowany zachowaniem się serca pana Leadbettera. — Ten człowiek wyszedł pod koniec filmu?

— Tak, pod koniec „Ptaków niebieskich” z Katherine Royal — powiedział pan Leadbetter.

— Przechodził przed panem i wtedy się potknął?

— Na pewno tylko udał. Teraz to rozumiem. Potem pochylił się nad fotelem przede mną, aby podnieść kapelusz. I wtedy, na pewno wtedy, musiał zadźgać tego biedaka.

— Nic pan nie słyszał? Krzyku, jęku?

Pan Leadbetter nie słyszał nic prócz donośnego, ochrypłego głosu Katherine Royal, lecz żywa wyobraźnia podsunęła mu jęk. Inspektor Crome przyjął tę informację z dobrodziejstwem inwentarza i poprosił, by pan Leadbetter mówił dalej.

— Jak film się skończył, wyszedłem.

— Czy może pan opisać tego człowieka?

— Był bardzo wysoki, co najmniej sześć stóp. Istny olbrzym.

— Włosy miał ciemne czy jasne?

— Włosy?... Nie jestem całkiem pewien... Chyba był łysy i minę miał taką ponurą.

— A nie utykał przypadkiem? — zapytał inspektor Crome.

— Tak, tak! Jak tylko pan inspektor to powiedział, zaraz sobie przypomniałem. Zdaje się, że utykał. I był taki jakiś śniady... coś jakby Mulat.

— Czy siedział koło pana, kiedy po nadprogramie zapaliły się światła?

— Nie. Wszedł dopiero po rozpoczęciu „Ptaków niebieskich”.

Inspektor Crome pokiwał głową, podał panu Leadbetterowi zeznanie do podpisania i pozbył się go z ulgą. — Chyba trudno o gorszego świadka — powiedział cierpko. — Trzeba go tylko trochę naprowadzić na drogę, a wszystko powtórzy. Jasno widać, że nie ma pojęcia, jak ten facet wyglądał. Dawać teraz portiera!

Portier, bardzo sztywny i o wojskowej postawie, wszedł i stanął na baczność z oczyma utkwionymi w pułkownika Andersena.

— No, Jameson, co nam możecie powiedzieć? Macie coś do powiedzenia? Jameson zasalutował.

— Tak jest, panie pułkowniku. Po seansie, panie pułkowniku, ktoś mi powiedział, że jakiś pan zachorował. Na miejscach po cztery szylingi i sześć pensów rzeczywiście ktoś siedział bez ruchu. Kilku panów stało dokoła. Ten, co siedział, wyglądał mi coś bardzo podejrzanie, panie pułkowniku. Jeden z panów, co stali dokoła, dotknął marynarki tego chorego i krzyknął. Na jego rękę była krew, panie pułkowniku. Od razu zrozumiałem, że ten, co siedział, był nieżywy. Zadźgany, panie pułkowniku. Pod krzesłem zobaczyłem rozkład ABC. Wiem, jak się zachować należy, toteż nic nie dotykałem, tylko zaraz zameldowałem na policji o tragedii, która się zdarzyła.

— W porządku, Jameson. Postąpiliście bardzo właściwie.

— Dziękuję, panie pułkowniku.

— Czy nie zauważyliście kogoś, kto na parę minut przed końcem seansu wyszedł z miejsc po cztery szylingi i sześć pensów?

— Kilkanaście osób wyszło, panie pułkowniku.

— Możecie je opisać?

— Chyba nie, panie pułkowniku. Wszedł pan Parnell i taki jeden młody, Sam Baker, ze swoją dziewczyną. A tak nikogo innego nie zauważyłem.

— Szkoda. Możecie odejść, Jameson.

— Rozkaz, panie pułkowniku. Portier zasalutował i wyszedł.

— Mamy już orzeczenie lekarskie — powiedział pułkownik Anderson.

— Teraz warto by pogadać z tym człowiekiem, który go znalazł.

Policjant wszedł i zasalutował.

— Przyszedł pan Herkules Poirot z jeszcze jednym panem.

Inspektor Crome skrzywił się z niesmakiem.

— No cóż, niech wejdą. Nie ma rady.

Rozdział XXVII

Morderstwo w Doncaster

Deptałem po piętach Poirota, a więc usłyszałem ostatnią część zdania inspektora Crome'a. Zarówno on jak i komendant policji hrabstwa mieli nietęgę minę. Pułkownik Anderson przywitał nas serdecznie.

— Miło mi pana widzieć, panie Poirot. Znowu jesteśmy w kłopotach, jak pan widzi.

Odniosłem wrażenie, że uprzejmość ta była wynikiem obawy pułkownika, czy nie usłyszeliśmy nieprzychylnych słów inspektora.

— Nowe morderstwo A.B.C., prawda? — zapytał Poirot.

— Tak, bodaj to diabli! Śmiała robota. Ten zbrodniarz zadźgał faceta w kinie.

— Co? Tym razem posłużył się nożem?

— Aha. Widać lubi zmieniać metody. Pałka, uduszenie, a teraz nóż. Szatan, lubi odmianę. Oto protokół oględzin lekarskich, jeżeli to pana interesuje — podał mojemu przyjacielowi arkusz papieru i dodał: — Rozkład ABC leżał na podłodze między nogami trupa.

— Czy ofiarę zidentyfikowano? — zapytał Poirot.

— Tak. A.B.C. raz przynajmniej nawalił. W tym jedyna dla nas pociecha. Zabity nazywa się Earlsfield. Jerzy Earlsfield, fryzjer z zawodu.

— Ciekawe... — mruknął Poirot.

— Widać pomylił litery — dodał pułkownik. Mój przyjaciel z powątpiewaniem pokręcił głową

— Może byśmy przesłuchali następnego świadka? — odezwał się Crome. — Mówił, że mu bardzo pilno do domu.

— Dobrze, niech wejdzie.

Policjant wprowadził dżentelmena w średnim wieku, bardzo podobnego do Lokaja Żaby z „Alicji w Krainie Czarów”. Dżentelmen był widocznie wzburzony; głos drżał mu z przejęcia.

— Nigdy nie przeżyłem nic równie okropnego — skrzeczał. — Mam, proszę panów, słabe serce, bardzo słabe serce. Dziwię się, że nie kipnąłem.

— Pańskie nazwisko? — sucho zapytał inspektor.

— Downes. Roger Emanuel Downes.

— Zawód?

— Jestem przełożonym szkoły dla chłopców w Highfield.

— Panie Downes, zechce pan opowiedzieć swoimi słowami o wydarzeniu, którego był pan świadkiem.

— Mogę to załatwić w kilku zdaniach, proszę panów. Po zakończeniu seansu wstałem z fotela. Miejsce po mojej lewej stronie było wolne, ale na następnym siedział jakiś mężczyzna, jak mi się zdawało śpiący. Nie mogłem go wyminąć, bo nogi wyciągnął przed siebie. Przeprosiłem go grzecznie, a jak nie zareagował na to, powtórzyłem moją prośbę... ehem... trochę głośniejsze. Nadal nie odpowiadał. Wziąłem go więc za ramię i próbowałem obudzić. Osunął się nieco niżej, a więc zorientowałem się, że albo stracił przytomność, albo jest ciężko chory. Zawołałem: „Ten pan zasnął, proszę wezwać portiera!” Portier przyszedł. Kiedy zdjąłem rękę z ramienia tego człowieka, zobaczyłem, że jest wilgotna i czerwona. Uprzytomniłem sobie, że ten jegomość został zraniony. W tej samej chwili portier zauważył rozkład ABC. Ach, proszę panów, cóż to był za straszny szok! Bóg wie, co mogło stać się ze mną. Od lat cierpię na poważną chorobę serca i...

Pułkownik Andersen przyglądał się panu Downes z bardzo dziwną miną.

— Panie Downes — przerwał mu — tym razem miał pan niebywałe szczęście.

— Naturalnie, panie pułkowniku. Nie odczułem nawet palpacji.

— Nie zrozumiał mnie pan, panie Downes. Mówił pan, że pan siedział o dwa krzesła za ofiarą.

— Tak, od tego biedaka oddzielało mnie tylko jedno miejsce. Ach, prawda! Nawet siedziałem obok niego, tylko potem przesunąłem się, żeby lepiej widzieć ekran.

— Jest pan mniej więcej tego wzrostu i budowy, co ofiara... Tak... I na szyi ma pan bardzo podobny wełniany szalik.

— Nic bardzo rozumiem... — zaczął chłodno pan Downes.

— Mówię panu, człowieku — podjął pułkownik — że miał pan niebywałe szczęście. Morderca tropił pana, lecz z jakichś powodów nastąpiła omyłka. Trafił nie w te plecy. Niech mnie diabli wezmą, panie Downes, jeżeli nóż nie był przeznaczony dla pana.

Pedagog wytrzymał walecznie wszystkie dotychczasowe próby, ostatniej jednak nie zdołał sprostać. Opadł na krzesło, począł krztusić się i bardzo poczerwieniał na twarzy.

— Wody — jęknął głucho — wody...

Podano mu szklanekę i w miarę, jak wypijał jej zawartość, cera jego wracała do normalnej barwy.

— Dla mnie? — zapytał. — Dlaczego dla mnie?

— Na to wygląda — powiedział Crome. — Prawdę rzekłszy, nie widzę innego wyjaśnienia.

— Twierdzą panowie, że ten człowiek... Ten diabeł wcielony... Ten krwawy morderca śledził mnie i czekał na sposobność?

— Moim zdaniem niewątpliwie.

— Ale, na miłosierdzie boże, dlaczego mnie? — zawołał przerażony pedagog.

Inspektor Crome zwalczył pokusę i nie odpowiedział: „A dlaczego nie?”, rzekł natomiast:

— Tnidno wymagać, by szalenciec miał jakieś konkretne powody po temu, co czyni.

— Boże, zmiłuj się nade mną! — westchnął pan Downes.

Dźwignął się z krzesła. Odniosłem wrażenie, że nagle skurczył się i postarzał.

— Jeżeli nie jestem już panom potrzebny — powiedział — to chyba... chyba pójdę do domu. Nie czuję się zupełnie dobrze.

— Jest pan wolny, panie Downes. Poślę z panem policjanta, żeby po drodze nic się nie przytrafiło.

— Ach, nie, nie, dziękuję. To zbyteczne.

— Ale nie zaszkodzi — stwierdził pułkownik Anderson.

Wzrokiem zapytał o coś inspektora Crome, ten zaś odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy. Pan Downes wyszedł bardzo niepewnym krokiem.

— No, rzeczywiście, miał szczęście — powiedział pułkownik. — Czy jednak nie będzie tym razem dwóch ofiar, co?

— Wziąłem to pod uwagę — zapewnił inspektor Crome. — Komisarz Rice wszystko już przygotował. Dom tego człowieka będzie pod obserwacją.

— Obawia się pan — spytał Poirot — że A.B.C. popróbuje raz jeszcze, jak się dowie o swojej pomyłce?

— Niewykluczone — odrzekł Anderson. — Ten A.B.C. wydaje mi się zwolennikiem dokładności i porządku. Zmartwi się, że nie wszystko poszło według planu.

Poirot przytaknął poważnym ruchem głowy.

— Gdybym nareszcie dostał rysopis tego zbrojaka! — pułkownik Anderson był rozdrażniony. — Nie dowiedzieliśmy się o nim niczego nowego.

— I na to przyjdzie czas — pocieszył go Poirot.

— Tak pan sądzi? Cóż, wszystko możliwe. Bodaj to lichy! Czy nikt nie ma oczu do patrzenia?

— Cierpliwości, cierpliwości — wtrącił znów Poirot.

— Dziwnie pan pewny siebie, panie Poirot. Są jakieś powody uzasadniające ten optymizm?

— Tak, drogi pułkowniku. Dotychczas morderca nie popełnił błędu. Teraz zaczyna.

— Jeżeli tylko tyle ma pan nam do powiedzenia — zaczął Anderson gniewnym tonem, lecz w tej chwili nastąpiło zakłócenie.

Wszedł policjant i zameldował:

— Przyszedł pan Ball z gospody Pod Czarnym Łabędziem i przyprowadził swoją pokojówkę. Mówi, że wie coś, co na pewno mogłoby nam pomóc.

— Wprowadźcie ich, zaraz wprowadźcie. Bardzo potrzeba nam pomocy.

Pan Ball z gospody Pod Czarnym Łabędziem był otyłym, powolnym mężczyzną o ciężkich ruchach. Roztaczał wokół mocny zapach piwa. Towarzyszyła mu — niewątpliwie bardzo przejęta swoją rolą — młoda dziewczyna o okrągłych oczach.

— Mam nadzieję, że nie narzucam się i nie zajmuję łaskawym panom cennego czasu — powiedział pan Bali powolnym, grubym głosem. — Ale ta mała, Mary, myśli, że ma do powiedzenia coś, co łaskawi panowie powinni wiedzieć.

Mary zachichotała, ale przestraszyła się widać, bo umilkła.

— Cóż to takiego, moja droga? — zapytał Anderson.

— Jak się nazywasz?

— Mary, wielmożny panie. Mary Stroud.

— Więc słuchamy, Mary. Mów śmiało. Dziewczyna zwróciła spojrzenie swoich okrągłych oczu na chlebowodawcę.

— Ona zawsze nosi gorącą wodę do pokojów gości — wyręczył pracownicę pan Bali. — Dzisiaj mieliśmy u siebie sześciu panów. Niektórzy przyjechali na wyścigi, inni w sprawach handlowych.

— Do rzeczy, do rzeczy! — poganiał niecierpliwie pułkownik.

— No, gadaj, Mary — powiedział pan Bali. — Opowiedz wszystko. Nie masz się czego bać.

Mary westchnęła ciężko, zakrztusiła się i zdyszczanym głosem rozpoczęła swoją opowieść:

— Zastukałam do drzwi i nikt nie odpowiedział, więc weszłam, bo inaczej to czekałabym naturalnie, aż ten pan powiedziałby „Proszę!”, ale że nic nie powiedział, więc weszłam i zobaczyłam, że on myje ręce.

Umilkła i zaczęła oddychać głośno.

— Mów dalej, Mary. Śmiało! — zachęcił Anderson. Dziewczyna zerknęła z ukosa na pana Balia i jak gdyby widok jego obudził w niej natchnienie, podjęła:

— Mówię: „Przyniosłam gorącą wodę, proszę pana, i stukałam do drzwi”, mówię , a on: „O, już się umyłem w zimnej!” Tak powiedział, więc ja naturalnie spojrzałam na miednicę i... mój Boże! Proszę wielmożnego pana, woda była cała czerwona!

— Czerwona? — zapytał ostro Anderson.

— Mary powiedziała mi zaraz — przejął głos Bali — że on nie miał na sobie marynarki i ścisnął w rękę rękaw, a ten rękaw był cały mokry. Tak było, Mary, co?

— Aha, panie gospodarzu! Tak było. A twarz, proszę wielmożnego pana, miał taką jakąś dziwną. Mało co nic zemdlałam ze strachu.

— Kiedy to było? — zapytał Anderson.

— Tak mniej więcej kwadrans po piątej — powiedział Bali.

— Przeszło trzy godziny temu! — wybuchnął Anderson. — Dlaczego nie przyszlście zaraz?

— Zaraz to ja nie wiedziałem o tym morderstwie — powiedział Bali. — Dopiero jak w hotelu dowiedzieliśmy się o tym, Mary zaczęła wrzeszczeć, że w tej miednicy to mogła być krew, a ja ją zapytałem, co za głupstwa plecie, a ona mi wtedy wszystko powiedziała. Pomyślałem sobie, że to wszystko może być zawracanie głowy, więc sam poszedłem na górę. W pokoju nie było nikogo. Zacząłem pytać tego i owego i jeden szofer mi powiedział, że jak był na podwórzu, to widział, jak jakiś facet przemykał się tamtędy i wyszedł na ulicę. Zapytałem, jak ten facet wyglądał, i opis zgadzał się z wyglądem tego mojego gościa. No, to zaraz powiedziałem starej, że Mary powinna pójść na policję. A Mary przestraszyła się i zaczęła płakać, to ja jej powiedziałem, żeby się nie bała, i że z nią pójde.

Inspektor Crome podał mu arkusz papieru.

— Niech pan opisz tego człowieka — powiedział — tak szybko, jak pan potrafi. Nie mamy czasu do stracenia.

— Był średniego wzrostu — powiedziała Mary — i taki jakiś przygarbiony, i w okularach.

— Jak ubrany?

— Miał ciemny garnitur i melonik. Wszystko dobrze podniszczone.

Dokładniejszego rysopisu nie dało się uzyskać. Inspektor Crome nie nalegał na dalsze szczegóły. Telefony poszły wnet w ruch, ale nikt w komisariacie policji nie żywił wielkich nadziei. Crome dowiedział się tylko, że człowiek, który przekradał się przez podwórze, nie miał torby podróźnej ani walizki.

— W jego bagażu może być jakaś wskazówka — powiedział i wysłał dwóch policjantów Pod Czarnego Łabędzia. Wraz z nimi poszli dumny z siebie i własnej ważności pan Bali i Mary, która zaczynała pochlipywać.

Sierżant zameldował się, nim upłynęło dziesięć minut.

— Przyniosłem księgę hotelową, panie pułkowniku — powiedział. — Jest jego podpis.

Wszyscy pochyliliśmy się nad tym dokumentem. Pismo było drobne, nieczytelne.

— A.B. Case albo Cush — powiedział pułkownik.

— A.B.C. — dodał znaczącym tonem Crome.

— A co z bagażem? — zapytał Anderson.

— Jedna walizka średniej wielkości pełna niewielkich kartonowych pudełek.

— Pudełek? A co w pudełkach?

— Pończochy, panie pułkowniku. Jedwabne pończochy.

Crome zwrócił się do Poirota:

— Gratuluję — powiedział. — Był pan na właściwym tropie.

Rozdział XXVIII

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Na biurku inspektora Crome'a w Scotland Yardzie dyskretnie zaterkotał telefon. Inspektor podniósł słuchawkę.

— Mówi Jacobs, panie inspektorze. Mam u siebie jednego młodego człowieka. Opowiada historie, której pan inspektor powinien chyba wysłuchać.

Crome westchnął. Przeciętnie dwadzieścia osób dziennie zgłaszało się z tak zwanymi „ważnymi wiadomościami” w sprawie A.B.C. Cześć z nich byli to nieszkodliwi wariaci, a poza tym różni zacni ludzie, którzy naprawdę wierzyli, że ich informacje mogą się na coś przydać. Zadaniem sierżanta Jacobsa było przesiewanie tych ludzi i oddzielanie plewy od ziarna.

— Dziękuję, Jacobs. Przyślijcie mi tego młodego człowieka.

Po chwili sierżant Jacobs zapukał do drzwi przełożonego i wprowadził wysokiego młodzieńca nie odznaczającego się niczym niezwykłym.

— To pan Tom Hartigan, panie inspektorze. Ma nam do powiedzenia coś, co może mieć znaczenie w sprawie A.B.C.

Inspektor powstał uprzejmie i podał gościowi rękę.

— Dzień dobry, panie Hartigan. Zechce pan usiąść? Może papierosa?

Tom Hartigan usiadł nieśmiało i wytrzeszczył oczy na osobistość, którą w myśli nazywał „jedną z najgrubszych ryb Scotland Yardu”. Po chwili zrobił taką minę, jak gdyby rozczarował go wygląd inspektora. Przecież to był całkiem zwyczajny człowiek!

— A zatem — powiedział Crome — wie pan o czymś związanym ze sprawą A.B.C.? Proszę mówić. Słucham.

— Oczywiście, to może być nic ważnego — zaczął nerwowo Tom. — Tak mi tylko przyszło do głowy... Bardzo przepraszam, jeżeli niepotrzebnie zajmę czas panu inspektorowi.

Crome westchnął znowu. Ileż czasu tracił na zachęcanie ludzi do mówienia!

— My najlepiej to osądzimy — powiedział. — Zechce pan łaskawie zapoznać nas z faktami, panie Hartigan.

— A więc to tak było, panie inspektorze. Mam jedną znajomą, a jej matka wynajmuje pokoje. To w Camden Town, panie inspektorze. Od dwóch lat pokój na drugim piętrze zajmuje jegomość nazwiskiem Cust.

— Co? Cust?

— Tak, panie inspektorze. To taki facet w średnim wieku, strasznie nieśmiały i spokojny. Trochę wyjeżdża na prowincję. Na pozór ma taką minę, że muchy by nie skrzywdził, i nigdy by mi nie przyszło do głowy, że coś z nim może być nie w porządku, gdyby nie coś bardzo dziwnego.

Dość chaotycznie, powtarzając wiele razy jedno i to samo, Tom opowiedział o swoim spotkaniu z panem Custem na dworcu King's Cross i o przygodzie ze zgubionym biletem.

— Pan inspektor może pomyśleć o tym, co się panu spodoba — ciągnął — ale mnie wydało się to niewyraźne. Lili, niby ta moja znajoma, jest pewna, że on mówił o Cheltenham, a jej matka mówi to samo.

Dobrze pamięta rozmowę, jaką miała z nim rano, kiedy wyjeżdżał. Naturalnie, nie bardzo się zastanawiałem nad tą całą historią, Ale Lili, niby ta moja znajoma, powiedziała, że ma nadzieję, że ten A.B.C. nic nie robi panu Custowi w Doncaster, i powiedziała także, jaki to dziwny zbieg okoliczności, że on był niedaleko Churston w dniu poprzedniego morderstwa. Roześmiałem się i zapytałem, czy był także w Bexhill, a ona na to, że nie wie, gdzie był, ale także wyjeżdżał, i to nad morze. Powiadam wtedy, jakie to by było dziwne, żeby on właśnie był A.B.C. A ona, że biedny pan Cust nie zabiłby nawet muchy. Tyleśmy wtedy rozmawiali na ten temat. Potem zaczęło mnie to jakby nurtować, panie inspektorze. Myślałem nieraz o tym panu Custcie i przychodziło mi do głowy, że on tak niegroźnie wygląda, ale chyba musi być trochę pomyłony.

Tom umilkł na chwilę, żeby chwycić oddech, a kiedy podjął znów rozmowę, inspektor Crome nie odrywał od niego wzroku i słuchał bardzo uważnie.

— Po tym morderstwie w Doncaster, panie inspektorze, we wszystkich gazetach ukazały się wzmianki, że policja poszukuje wiadomości o adresie jakiegoś A.B. Case albo Cush opisanego tak, że to całkiem pasowało do starego. Jak miałem pierwszy wolny wieczór, zaraz poszedłem do Lili i zapytałem o inicjały pana Custa. Ona nie mogła sobie przypomnieć, ale jej matka pamiętała. Powiedziała mi, że jego inicjały są na pewno A.B. Zaczęliśmy we trójkę kombinować i próbowaliśmy sobie przypomnieć, czy Cust wyjeżdżał z Londynu w dniu tego pierwszego morderstwa w Andover. Rozumie pan inspektor, że niełatwo przypomnieć sobie drobną sprawę sprzed trzech miesięcy. Nagłowiliśmy się dobrze, ale w końcu ustaliliśmy, że na pewno wyjeżdżał, bo dwudziestego pierwszego czerwca brat pani Marbury przyjechał z Kanady. Przyjechał bez zapowiedzi i był kłopot z jego umieszczeniem, a więc Lili zaproponowała, żeby Bert Smith przespał się w pokoju Custa, bo on akurat wyjechał. Pani Marbury nie zgodziła się na to, bo, jak mówiła, byłaby to nieprzyzwoitość wobec lokatora, a ona lubi być solidna i zawsze na miejscu. Tak czy inaczej, datę ustaliliśmy na pewno, bo Bert Smith przyjechał do Southampton wialnie tego dnia.

Inspektor Crome słuchał bardzo uważnie i od czasu do czasu coś notował.

— Czy to wszystko? — zapytał.

— Wszystko, panie inspektorze. Mam nadzieję, że nie na próżno zająłem panu czas.

— Nie, nie, panie Hartigan. Miał pan racje, że tutaj przyszedł. Oczywiście, to są bardzo nikłe poszlaki. Daty i podobieństwo nazwisk mogą być zbiegiem okoliczności. Na pewno jednak odbędę rozmowę z panem Custem. Czy jest dzisiaj w domu?

— Tak, panie inspektorze.

— Kiedy wrócił?

— Wieczorem w dniu morderstwa w Doncaster.

— I co robił od tego czasu?

— Przeważnie nie ruszał się z domu. Pani Marbury mówi, że zachowuje się bardzo dziwnie. Ciągłe kupuje gazety. Po ranne wychodzi bardzo wcześnie, a popołudniowe kupuje dopiero po zmroku. Pani Marbury mówi, że strasznie dużo do siebie gada. Myśli, że on na dobre wariuje.

— Proszę mi podać adres pani Marbury — powiedział inspektor, a kiedy Tom posłuchał, dodał: —Bardzo panu dziękuję. Postaram się tam zajrzeć w ciągu dnia. Nie muszę oczywiście ostrzegać pana, aby w razie spotkania z panem Custem zachowywać się ostrożnie, a przede wszystkim nie mówić mu o niczym — wstał i uściśnął rękę młodego człowieka. — Może pan być z siebie zadowolony. Bardzo dobrze pan zrobił, że do nas przyszedł. Do widzenia, panie Hartigan.

— Jak pan inspektor sądzi? — zapytał Jacobs wchodząc do gabinetu w kilka minut później. — Mnie się to wydało ważne.

— W każdym razie obiecujące — przyznał inspektor. — Oczywiście, jeżeli ten chłopiec prawdziwie przedstawił fakty. Jak dotąd, nic nie wyszło z fabrykantami pończoch. Warto, żebyśmy nareszcie zaczęli się o coś konkretnego. Jacobs, proszę o akta sprawy z Churston.

Przez kilka minut szukał potrzebnego dokumentu.

— Aha, mam. Protokół zeznań złożonych w komisariacie policji w Torquay. Młody człowiek nazwiskiem Hill zeznał, że kiedy wyszedł w Torquay z kina Palladium po filmie „Ptaki niebieskie”, zauważył mężczyznę w średnim wieku, który zachowywał się bardzo dziwnie. Mówił do siebie. Hill usłyszał nawet, jak powiedział: „To dobry pomysł!” „Ptaki niebieskie” to film, który wyświetlano również w kinie Regal w Doncaster?

— Tak, panie inspektorze.

— Coś w tym może być. Oczywiście, nic pewnego, ale nie wykluczam, że wtedy właśnie zrodził się w głowie A.B.C. pomysł działania przy następnym morderstwie. Adres tego Hilla jest zapisany. To dobrze. Rysopis tego człowieka podaje niedokładnie, ale w ogólnym zarysie zgadza się on ze słowami Mary Stroud i naszego Toma Hartigana. Ha, cóż, zaczyna być gorąco.

— Jakie rozkazy, panie inspektorze?

— Wyznaczcie dwóch ludzi do obserwacji tego domu w Camden Town. Tylko nie wystraszyć mi ptaszka za wcześnie! Muszę jeszcze pomówić z głównym inspektorem. Potem najlepiej będzie sprowadzić tego Custa tutaj i wyciągnąć z niego zeznanie.

Lili Marbury czekała na Toma Hartigana na bulwarze przed gmachem Scotland Yardu.

— I co, Tom, dobrze poszło?

— Tak. Rozmawiałem z samym inspektorem Crome. On prowadzi całą tę sprawę.

— Jak wygląda?

— Taki sobie, zwyczajny. Myślałem że detektyw powinien wyglądać całkiem inaczej.

— Widać komendant policji woli teraz zwyczajnych ludzi — powiedziała Lili z powagą. — No i co ci powiedział?

Tom streścił pokrótce rozmowę.

— A więc naprawdę myślą, że to on?

— Myślą, że to niewykluczone. W każdym razie przyjadą i zadadzą mu kilka pytań.

— Biedny pan Cust!

— Moja droga, nie ma sensu powtarzać: „Biedny pan Cust!” Jeżeli to naprawdę A.B.C., on właśnie popełnił cztery bestialskie morderstwa.

— Okropność! — Lili westchnęła i z niedowierzaniem pokręciła głową.

— No, dosyć o tym! Teraz, moja mała, chodźmy na obiad. Pomyśl tylko! Jeżeli okaże się, że mamy rację, to na pewno moje nazwisko będzie w gazetach.

— Tom, co ty mówisz?

— Na pewno. I twoje także. I twojej matki. Czy ja wiem?... Może nawet zamieszczą nasze fotografie?

— Ach, Tom! — dziewczyna była tak przejęta, że ścisnęła go za łokieć.

— Tak czy inaczej, pora na obiad. Pójdziemy dzisiaj do dobrej restauracji.

Lili ścisnęła go za łokieć jeszcze silniej.

— Chwileczkę — powiedziała. — Muszę jeszcze zatelefonować.

— Do kogo?

Do znajomej, z którą miałam się spotkać. Weszła do budki telefonicznej. Po trzech minutach wróciła do Toma jak gdyby trochę zdenerwowana.

— Możemy iść — wzięła go pod rękę. — Powiedz mi wszystko o Scotland Yardzie. Nie widziałeś tam tego drugiego?

— Jakiego drugiego?

— Tego pana z Belgii, do którego A.B.C. pisuje listy.

— Nie widziałem.

— Musisz mi opowiedzieć wszystko, wszystko. Do kogo się zwróciłeś, jak tam wszedłeś, z kim zacząłeś rozmawiać i co powiedziałeś.

Pan Cust ostrożnie położył słuchawkę na widełki. Spojrzał na panią Marbury, która — najwidoczniej przez ciekawość — stała na progu pokoju.

— Nieczęsto są do pana telefony, panie Cust.

— Tak, pani Marbury, rzeczywiście... Nawet bardzo rzadko.

— Chyba nie stało się nic złego?

— Nie, nie...

Cóż za natrętna kobieta! Panu Custowi wpadły w oko nagłówki w gazecie, którą trzymał w ręku. Urodziny. Zaślubiny. Zgony.

— Mojej siostrze urodził się syn — powiedział niepewnie, gdyż nigdy nie miał siostry.

— Mój Boże, cóż za miła wiadomość! — zawołała pani Marbury i pomyślała: „A nigdy nic nie mówił o tej siostrze. Ha! Mężczyźni są już tacy”. — Słowo daję, strasznie się zdziwiłam, jak ta pani powiedziała, że prosi do telefonu pana Custa. Z początku zdawało mi się, że to głos mojej Lili, taki podobny. Ale później zorientowałam się, że jest wyższy i cieńszy. No, panie Cust, gratuluje. Czy to pierwsze dziecko pana siostry, czy też ma pan już siostrzeńców albo siostrzenice?

— Tak... Nie... To pierwsze dziecko i chyba drugiego już nie będzie... ehem... Bardzo się śpieszę. Siostra... siostra chce, żebym koniecznie przyjechał. Jeżeli zaraz pójdę, zdążę jeszcze złapać pociąg.

— Na długo pan wyjeżdża, panie Cust? — zawołała pani Marbury za lokatorem, który wbiegał już na schody.

— Nie, nie... Dwa, może trzy dni.

Zniknął w swoim pokoju, a pani Marbury wróciła do kuchni rozmyślając z sentymentem o „malej, słodkiej kruszynie”.

Nagle poczuła wyrzuty sumienia za wczorajszy wieczór. Przecież wraz z Tomem i Lili głowiła się nad datami. Prawie już uwierzyli, że poczciwy pan Cust to ten potwór, A.B.C. Dobre sobie! Przypadkowy zbieg inicjałów i jeszcze kilku drobnych okoliczności.

„Ee, chyba Tom i Lili nie myśleli tego na serio — pomyślała z ulgą. — A teraz tylko wstyd im będzie”.

Z przyczyn, których sama nie potrafiła wyjaśnić, wiadomość, że siostra pana Custa urodziła dziecko, rozproszyła wszelkie podejrzenia pani Marbury co do uczciwości jej lokatora.

„Spodziewam się, że ta kobieta nie cierpiała bardzo” — myślała sprawdzając palcem żelazko i zabrała się do prasowania bluzki Lili.

Pan Cust cicho zszedł po schodach z walizką w rękę. Przez chwilę patrzył na telefon. Krótka rozmowa dzwijała jeszcze w jego wyobraźni.

— To pan, panie Cust? Myślę, że zainteresuje pana pewna wiadomość; inspektor ze Scotland Yardu wybiera się do pana.

Co na to odpowiedział? Nie mógł sobie przypomnieć. Chyba:

— Dziękuję, bardzo dziękuję, moja droga. Bardzo pani dobra.

Dlaczego zatelefonowała do niego? Czy domyślała się czegoś? A może chciała sprawdzić, czy ucieknie, jak usłyszy o wizycie inspektora? Ale skąd wiedziała, że policja wybiera się do niego?... A przedtem zmieniła głos. Matka jej nie poznała. Wygląda, jak gdyby... jak gdyby Lili wiedziała... Ale gdyby wiedziała, nie ostrzegłaby go przecież. Chociaż, któż to odgadnie? Kobiety są takie dziwne. Nieoczekiwanie okrutne albo nieoczekiwanie litościwe. Przecież raz widział, jak Lili wypuszczała mysz z pułapki... Dobre dziecko. Dobre i ładne dziecko.

Zatrzymał się w przedpokoju przed masywnym wieszakiem obciążonym płaszczami i parasolami.

Czy teraz?

Na decyzję pana Custa wpłynął jakiś szmer w kuchni.

Tak! Nie ma czasu do stracenia. Pani Marbury może wejść w każdej chwili.

Otworzył drzwi i wyszedłszy z domu zamknął je bezszelestnie.

Dokąd iść?

Rozdział XXIX

W Scotland Yardzie

Znowu konferencja. Główny inspektor Scotland Yardu, Crome, Poirot i ja.

— Panie Poirot, pański pomysł, żeby zwrócić uwagę na sprzedawców pończoch, okazał się doskonały — oznajmił główny inspektor.

Poirot rozłożył ręce.

— Niestety, nie osiągnęliśmy rezultatu. Ten człowiek nie był stałym agentem. Nie zbierał zamówień, tylko sprzedawał towar.

— Ale teraz wszystko jest jasne, Crome — zwrócił się główny inspektor do swego podwładnego.

— Tak się wydaje — Crome zajrzał do akt. — Czy mam naszkicować aktualną sytuację?

— Bardzo proszę.

— Przeprowadziliśmy badania w Churston, Paington i Torquay. Mamy listę osób, którym Cust oferował pończochy. Muszę przyznać, że nie szczędził pracy. W Torquay mieszkał w małym hoteliku niedaleko stacji. Przyszedł do hotelu w dniu morderstwa o godzinie dwudziestej drugiej trzydzieści. Mógł wsiąść w Churston do pociągu o godzinie dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt siedem i przyjechać do Torquay o dwudziestej drugiej dwadzieścia. Na stacji ani w pociągu nie zauważono nikogo odpowiadającego jego rysopisowi, ale w piątek urządzano regaty w Kingswear i pociągi tamtej linii były przepelnione.

— W Bexhill sytuacja wygląda podobnie. Mieszkał w hotelu Globe pod własnym nazwiskiem. Stwierdziliśmy, że był wtedy z pończochami w kilkunastu domach, między innymi u pani Barnard i w kawiarni Pod Rudym Kotem. Pokój zwolnił wczesnym wieczorem. Do Londynu przyjechał mniej więcej o dziesiątej trzydzieści następnego dnia. W Andover działo się nie inaczej. Mieszkał Pod Strusim Piórem. Proponował pończochy pani Fowler, sąsiadce pani Ascher, i jeszcze kilku osobom zamieszkałym przy tej samej ulicy. Para znaleziona w mieszkaniu pani Ascher odpowiada dokładnie zapasom Custa.

— Jak dotąd, wszystko dobrze — stwierdził główny inspektor.

— Opierając się na uzyskanych informacjach poszedłem pod adres wskazany mi przez Hartigana, lecz dowiedziałem się, że Cust wyszedł z domu mniej więcej przed trzydziestoma minutami. Ktoś do niego telefonował. Gospodyni twierdzi, że to był pierwszy tego rodzaju przypadek.

— Wspólnik? — mruknął z powątpiewaniem główny inspektor.

— Wątpię — wtrącił Poirot. — Byłoby to bardzo dziwne, chyba że...

Wszyscy spojrzeliśmy na niego, ale on urwał i tylko pokręcił głową.

— Starannie przeszukałem pokój zajmowany przez Custa — ciągnął Crome. — Wyniki rewizji są niewątpliwe. Znalazłem blok korespondencyjny: papier bardzo podobny do tego, na którym pisano listy do pana Poirota, znaczny zapas pończoch. A w głębi schowka, w którym przechowywano towar, paczkę bardzo podobną w kształcie i rozmiarach, lecz zawierającą (jak się okazało) nie pończochy, tylko osiem nowych rozkładów kolejowych ABC.

— Niezbity dowód — powiedział główny inspektor.

— Jest jeszcze coś — podjął Crome tonem triumfu. — Znalazłem to dopiero dzisiaj rano i nie złożyłem jeszcze meldunku... W pokoju Custa nie było śladu noża...

— Idiotyzmem byłoby przyniesienie tego noża do domu — wtrącił Poirot.

— Naturalnie. Ale Cust nie jest przecież normalnie rozumującą istotą ludzką. W każdym razie przyszło mi do głowy, że mógł przynieść nóż do domu i potem dopiero zorientować się, jakim niebezpieczeństwem grozi ukrycie go w pokoju, na co słusznie zwrócił uwagę pan Poirot. Zacząłem szukać gdzie indziej. Jakie miejsce w domu musiałyby wydać mu się najdogodniejsze? Oczywiście ciężki wieszak w przedpokoju. Takiego mebla nigdy się nie odsuwa. Mnie też niełatwo było odsunąć go od ściany. Znalazłem.

— Nóż?

— Nóż. I to niewątpliwie ten. Są jeszcze na nim ślady zaschłej krwi.

— Piękna robota, Crome — pochwalił główny inspektor. — Teraz już tylko jednego nam potrzeba.

— Czego?

— Raczej: kogo. Człowieka.

— Na pewno go dostaniemy — zapewnił Crome z przekonaniem.

— A co pan na to, panie Poirot?

— Słucham? — Poirot jak gdyby obudził się z drzemki.

— Mówiliśmy właśnie, że ujęcie mordercy jest tylko kwestią czasu. Czy pan się zgadza?

— O, tak... Niewątpliwie.

Powiedział to tak roztargnionym tonem, że zwróciło to naszą uwagę.

— Coś pana jeszcze niepokoi, Poirot? — zapytał główny inspektor.

— Coś niepokoi mnie, i to bardzo. Chodzi mi o to, dlaczego? O motyw.

— Ależ, mój drogi — rzucił niecierpliwie główny inspektor.

— Przecież ten człowiek jest szaleńcem. Inspektor Crome pospieszył łaskawie z odsieczą.

— Rozumiem, co pan Poirot ma na myśli, i w pewnym sensie przyznaję mu rację. Musiała istnieć jakaś określona obsesja. Korzenie jej mogą tkwić w bardzo silnym kompleksie niższości. Może to być również mania prześladowcza, a jeżeli tak jest, Cust mógł łączyć ze swoimi sprawami osobę pana Poirota. Mógł sobie wmówić, że pan Poirot jest detektywem, który ma za zadanie tropienie właśnie jego.

— Bodaj was licho! — zawołał główny inspektor. — Mówicie jakimś nowoczesnym żargonem. W moich czasach, jak człowiek był wariat, to był wariat i nie wynajdywano żadnych naukowych terminów, żeby sytuację zagmatwać. Myślę, że jakiś całkiem nowoczesny lekarz zaproponowałby, aby tego A.B.C. umieścić w sanatorium, wmawiać mu przez dwa miesiące, że jest pierwszorzędnym facetem, a potem puścić na wolność jako pełnoprawnego i odpowiedzialnego za swoje czyny obywatela.

Poirot uśmiechnął się w milczeniu. Tak zakończyła się konferencja.

— A więc, twierdzi pan, Crome — główny inspektor chciał się upewnić — że przyłapanie go to tylko kwestia czasu?

— Mielibyśmy go już dawno, gdyby nie wyglądał tak pospolicie. Musimy być ostrożni. I tak narobiliśmy kłopotu wielu Bogu ducha winnym ludziom.

— Ciekawe, gdzie on może być teraz? — mruknął główny inspektor.

Rozdział XXX

(Nie z opowiadania kapitana Hastingsa)

Pan Cust stał przed sklepem zieleniarskim. Tak, to tu. A. Ascher, trafika.

W oknie wisiała kartka z napisem „Do wynajęcia”. Sklep był pusty, opuszczony.

— Bardzo przepraszam — zwróciła się do pana Custa zieleniarka sięgając po cytryny.

Mruknął coś i odsunął się na bok. Powoli, ciągnąc za sobą nogi, ruszył w stronę głównej ulicy miasta.

Miał trudności. Wielkie trudności. Wcale nie posiadał pieniędzy. Strasznie kręci się w głowie, gdy człowiek nie jadł przez cały dzień... I świat wygląda całkiem inaczej.

Z kiosku z gazetami krzyczały tytuły:

„Sprawa A.B.C. Morderca jeszcze na wolności”.

„Wywiad z panem Herkulesem Poirot”.

— Herkules Poirot... Ciekawe, czy on wie? — szepnął do siebie pan Cust.

Poszedł dalej. Wolał nie przyglądać się zbyt długo gazetom.

— „Cóż, koniec niedaleki” — myślał.

Najprzód prawa noga, potem lewa. Jak to się śmiesznie idzie. Najprzód prawa noga, potem lewa. Zabawne... Ale ludzie w ogóle są zabawni, a zwłaszcza on, Aleksander Bonaparte Cust. Zawsze wszyscy się z niego śmieli, a on nawet nie miał do nich wielkiej pretensji.

Dokąd teraz?

Nie wiedział. Koniec bliski. Patrzył tylko na własne nogi.

Najprzód prawa, potem lewa...

Podniósł wzrok. Tuż przed sobą zobaczył oświetloną tablicę z napisem „Policja”.

„Zabawne” — pomyślał i roześmiał się z cicha.

Silnie pchnął drzwi. W tej samej chwili zachwiał się i padł twarzą naprzód.

Rozdział XXXI

Herkules Poirot zadaje pytania

Był pogodny dzień listopadowy. Doktor Thompson i nadinspektor Japp przyszli do Poirota, aby zawiadomić go o wyniku wstępnej rozprawy przeciwko Aleksandrowi Bonaparte Custowi.

Poirot miał lekki bronchit, nie mógł więc udać się do sądu i na szczęście mnie tam też nie wysłał.

— Przysięgli orzekli, że powinien odbyć się proces — powiedział Japp. — No i na tym koniec.

— Ale w takich przypadkach i w tym stadium — powiedziałem — oskarżony ma już zwykle obrońcę.

— Tak się dzieje — potwierdził Japp. — Myślę, że młody Lucas podejmie się tej sprawy. To, że się tak wyrażę, wielki ryzykant. Ale cóż, w danym wypadku linia obrony może opierać się jedynie na obłądzie.

Poirot wzruszył ramionami.

— Taki kierunek obrony doprowadzi do zamknięcia w zakładzie. A zaniknięcie do końca życia niewiele jest lepsze od śmierci.

— Lucas może liczyć również na coś innego — podjął Japp. — Cust ma doskonałe alibi na okoliczność morderstwa w Bexhill. To może osłabić pozycję oskarżenia. Chociaż i my jesteśmy tutaj bardzo silni. W każdym razie Lucas może wymyślić coś oryginalnego. Ten młody człowiek bardzo chce zwrócić na siebie uwagę.

— A jaka jest pańska opinia, doktorze? — zwrócił się Poirot do Thompsona.

— O Custcie? Słowo daję, nie wiem, co powiedzieć. Doskonale gra rolę człowieka normalnego. Naturalnie jest epileptykiem.

— Jego aresztowanie wyglądało bardzo dramatycznie — wtrąciłem.

— Właśnie. Wszedł do komisariatu policji w Andover i dostał ataku. Tak, to była odpowiednio efektowna kurtyna po ostatnim akcie dramatu. A.B.C. od początku starannie przygotowywał efekty.

— Czy to możliwe, żeby ktoś popełnił zbrodnię i nie wiedział o tym? — zapytałem. — Mam wrażenie, że Cust przeczy z całym przekonaniem.

— Nie należy wierzyć teatralnym pozom — uśmiechnął się doktor Thompson — i rozmaitym „przysięgam na Boga!” Moim zdaniem Cust doskonale zdaje sobie sprawę, że popełnił te morderstwa. Jeżeli zaś chodzi o pańskie pytanie — doktor zwrócił się do mnie — jest zupełnie możliwe, że cierpiący na chwilowe utraty pamięci epileptyk może nie wiedzieć, co w tym okresie robił. Na ogół jednak przeważa pogląd, że czyny popełnione w takim stanie muszą być zgodne z ogólnym charakterem chorego.

Począł obszernie rozwodzić się nad tą kwestią opowiadając o *grand mal i petit mal*^{*}, prawdę mówiąc, zrobił mi zupełny zamęt w głowie. To się często zdarza, gdy uczony wygłasza wykład na temat swojej specjalności.

— Mimo wszystko — ciągnął — jestem przeciwnikiem teorii, że Cust dopuścił się tej zbrodni nieświadomie. Teorii takiej można by bronić, gdyby nie listy do pana Poirota. Listy stanowczo jej przeczą. Dowodzą premedytacji i starannego przygotowania.

— Ale kwestia listów nie jest jeszcze zupełnie wyjaśniona — wtrącił Poirot.

— Bardzo to pana dręczy, prawda?

— Oczywiście. Listy były pisane do mnie. W tej sprawie Cust milczy nadal jak zakłęty. Dopóki nie zrozumie powodów, dla jakiego listy te były pisane do mnie, nie uznaję, że zagadka została rozwiązana.

— Tak, rozumiem to z pańskiego punktu widzenia. Nie podejrzewa pan, że Cust kiedykolwiek w życiu mógł zetknąć się z panem?

— To niemożliwe.

— Mam! Pańskie imię!

— Moje imię?

— Tak. Matka obarczyła Custa dwoma szczególnie pompatycznymi imionami: Aleksander i Bonaparte. Widzi pan skojarzenie? Aleksander — wojownik, któremu świata było mało do podbojów. Bonaparte — wielki cesarz Francuzów. Cust szukał przeciwnika... przeciwnika, że się tak wyrażę, własnej klasy. No i znalazł pana. Herkulesa, siłacza.

— Pańskie słowa, doktorze — powiedział Poirot — są wysoce sugestywne. Zapładniają umysł.

— Cóż, to tylko luźny pomysł. No, pora na mnie. Doktor Thompson pożegnał się i wyszedł. Japp został.

— Macie zmartwienie z tym alibi? — spytał Poirot.

— Mamy — przyznał nadinspektor. — Ja w nie nie wierzę, bo na pewno nie jest prawdziwe. Ale diabelnie trudno będzie je obalić. Ten Strange ma charakter.

— Co to za człowiek?

— Pod czterdziestkę, tęgi, stanowczy, bardzo pewny siebie, inżynier górnik. Sam zgłosił się do sądu i zażądał, żeby koniecznie dziś przyjęto jego zeznania. Wybiera się do Chile. Miał wrażenie, że sprawa zakończy się z miejsca. Nigdy nie widziałem bardziej stanowczego człowieka.

— Rozumiem. Taki jegomość, co za nic nie przyzna się do omyłki — dodał Poirot.

— Tak. Mówi z przekonaniem i bardzo trudno to podważyć. Zaklina się na wszystkie świętości, że zaczeplił Custa w hotelu White Cross w Eastbourne wieczorem dwudziestego czwartego lipca. Był sam i chciał z kimś pogadać. Jestem prawie pewien, że Cust to idealny słuchacz. Nigdy nie przerywa... Po kolacji Strange grał z Custem w domino. Strange jest zdaje się mistrzem w tej grze i był zadowolony, gdy w Custcie znalazł równorzędnego partnera. Wie pan, jakimi zapaleńcami są gracze w domino. Potrafią bawić się kamieniami przez długie godziny. Tak też było z naszymi znajomymi. Cust chciał już pójść spać, ale Strange nie zgodził się na to i przysięga na wszystko, że grali co najmniej do północy. Sprawdzaliśmy. Tak było istotnie. Rozstali się dziesięć minut po północy. Jeżeli więc Cust był w hotelu White Cross w Eastbourne dziesięć minut po północy, nie mógł udusić Betty Barnard na plaży w Bexhill między północą a pierwszą.

— Istotnie, problem trudny do rozwiązania — przyznał Poirot. — A w każdym razie daje do myślenia.

— Zwłaszcza inspektorowi Crome'owi — dodał Japp.

— Ten Strange jest przekonany o prawdzie swoich zeznań?

— Tak. Uparty jak diabeł. Bardzo trudno się zorientować, na czym błąd polega. Przypuśćmy, że Strange się myli, że jego partnerem nie był Cust. Czemu więc, u licha, twierdzi, że ten partner nazywał się Cust? W księdze hotelowej jest podpis złożony bezsprzecznie ręką Custa. Trudno twierdzić, że Strange jest współnikiem. Szaleńcy o skłonnościach zbrodniczych nie miewają współników. Może Betty Barnard umarła później. Też nie. Godzinę zgonu lekarz ustalił niewątpliwie. A przecież Cust musiałby stracić sporo czasu, żeby z Eastbourne dostać się do Bexhill odległego o mniej więcej czternaście mil.

— Tak, to istotnie trudny orzech do zgryzienia — mruknął Poirot.

— Właściwie to alibi nie powinno mieć znaczenia. Morderstwo w Doncaster jest niewątpliwie: plamy krwi na rękawie, nóż. Tu nie ma najmniejszej luki. Każda ława przysięgłych musi go uznać winnym, choćby na tej podstawie. Ale alibi z Bexhill psuje obraz pięknej sprawy. Cust zamordował w Doncaster, zamordował w Churston, zamordował w Andover, a więc do stu tysięcy diabłów! musi być również winnym zbrodni w Bexhill. Musi! Ale ja nie rozumiem, jak mógł tę zbrodnię popełnić — wstał i rozłożył ręce. — No, na pana kolej, Poirot. Crome błądzi w ciemnościach. Niech pan użyje tych swoich szarych komórek, o których tak pan lubi mówić. Niech nam pan wytłumaczy, jak się to mogło stać w Bexhill.

Inspektor Japp pożegnał się i wyszedł.

— No i co, Poirot? — zapytałem. — Szare komórki sprowadzą tym razem zadaniu?

— Powiedz, Hastings, czy uważasz tę sprawę za zakończoną? — Poirot odpowiedział pytaniem na pytanie.

— Chyba tak... Mamy sprawcę, mamy znaczną część dowodów. Brak nam tylko zewnętrznej polityry.

— Sprawa skończona! Dobry sobie! Przecież sprawa to człowiek. Póki nie będziemy wiedzieli wszystkiego o człowieku, tajemnica zostanie równie nieprzenikniona, jak na początku. To żadne zwycięstwo, że posadzimy Custa na ławie oskarżonych.

— Przecież wiemy o nim bardzo dużo — zaproponowałem.

— Nic! Absolutnie nic. Znamy jego miejsce urodzenia. Wiemy, że był w wojsku, walczył na froncie, otrzymał lekką ranę w głowę i został zwolniony jako epileptyk. Wiemy, że od dwóch lat mieszka u pani Marbury. Wiemy, że to spokojny, nietowarzystki człowiek, taki, jakiego się nie dostrzega. Wiemy, że wymyślił i przeprowadził z powodzeniem bardzo zawiły plan serii morderstw. Wiemy, że popełnił kilka niebywale głupich błędów. Wiemy, że mordował bez miłosierdzia, a zarazem miał tak wrażliwe sumienie, że nie chciał obciążać winą innych. Gdyby chciał zabijać bez przeszkód, nietrudno by mu było zwalić każdą z tych zbrodni na kogoś innego. Czy nie rozumiesz, że ten człowiek to zbiór przeciwieństw? Głupi i przebiegły, okrutny i wspaniałomyślny. Musi być jakaś myśl przewodnia, która godzi ze sobą jego dwie tak sprzeczne z sobą natury.

— Cóż, może masz i słuszość, jeżeli traktujesz Custa jako studium psychologiczne — powiedziałem.

— Przecież ta sprawa jest od początku studium psychologicznym. Przez cały czas szukam po omacku, próbuję poznać mordercę. A teraz zdaję sobie sprawę, że nie znam go zupełnie. Jestem zbłąkany.

— Żądza sławy... — zacząłem.

— Tak, to tłumaczy wiele. Mnie jednak nie zadowala. Chcę wiedzieć więcej. Dlaczego popełniał te morderstwa? Dlaczego wybierał te właśnie ofiary?

— Alfabetycznie...

— Nie tylko — przerwał mi znowu. — Betty Barnard nie była jedyną osobą w Bexhill, której nazwisko zaczyna się na „B”. Betty Barnard... Coś mi świta w głowie... To powinno być słuszne... To musi być słuszne... Ale jeżeli tak... — umilkł, ja zaś nie chciałem mu przerywać.

Milczenie trwało długo i mam wrażenie, że drzemałem chwilę. Kiedy się ocknąłem, Poirot trzymał mi rękę na ramieniu.

— Drogi, kochany Hastings — powiedział serdecznie. — Mój dobry geniusz.

Zdumiał mnie ten nieoczekiwany dowód uznania.

— Tak, tak — ciągnął Poirot. — Zawsze mi pomagałeś, przynosiłeś szczęście, byłeś moim natchnieniem.

— Ale jakie natchnienie dałem ci tym razem?

— Formułując rozmaite pytania przypomniałem sobie pewną twoją uwagę. Olśniewająco prostą, dowodzącą jasnowidzenia uwagę. Mówiłem ci już, że masz szczególny talent do dostrzegania rzeczy oczywistych. A ja to coś oczywistego przegapiłem.

— Cóż powiedziałem tak ważnego?

— Wszystko jest teraz jasne, przezroczyste jak kryształ. Znalazłem odpowiedzi na wszystkie moje pytania. Wiem, dlaczego pani Ascher, chociaż tego domyślałem się od dawna. Wiem, dlaczego sir Cecil Clarke i ten fryzjer z Doncaster, a przede wszystkim wiem najważniejsze i najbardziej istotne: dlaczego Herkules Poirot.

— Mógłbyś mi to wyjaśnić?

— Nie w tej chwili. Muszę jeszcze zebrać trochę informacji. Uzyskam je od naszego legionu specjalnego. A potem... Potem, kiedy dostanę odpowiedź na ostatnie pytanie, odbędę rozmowę z A.B.C. Nareszcie staniemy twarzą w twarz: A.B.C. i Herkules Poirot, godni siebie przeciwnicy.

— I co wtedy?

— Wtedy będziemy rozmawiać. Zapewniani cię, Hastings, że dla osoby, która ma coś do ukrycia, nic nie jest bardziej niebezpieczne od rozmowy. Pewien mądry, stary Francuz powiedział mi niegdyś, że mowa jest dobrym wynalazkiem, bo nie pozwala ludziom myśleć. Ale rozmowa jest także niezawodnym środkiem wykrycia czegoś co człowiek pragnie ukryć. Człowiek, mój drogi, nie może oprzeć się pokusie i w rozmowie z innym człowiekiem musi dać wyraz swojej indywidualności. Rozumiesz? W takim wypadku wcześniej czy później musi się zdradzić.

— Co spodziewasz się usłyszeć w rozmowie z Custem?

— Kłamstwo, dzięki któremu poznam prawdę — uśmiechnął się Herkules Poirot.

Rozdział XXXII

„Lisa złapiemy i w klatce zamkniemy”

Przez kilka następnych dni Poirot był bardzo zajęty. Wychodził w jakichś tajemniczych sprawach, bardzo mało mówił, miał nachmurzoną minę i za nic nie chciał zaspokoić mojej ciekawości odnośnie do zasługi, jaką mi przypisywał. Nie prosił mnie nigdy o udział w tajemniczych wycieczkach, co, muszę przyznać, urażało mnie nieco.

Dopiero pod koniec tygodnia oznajmił, że wybiera się do Bexhill, i zaproponował, abym mu towarzyszył. Oczywiście zaproszenie to przyjąłem z radością. Niebawem jednak dowiedziałem się, że nie tylko ja mam wziąć udział w tej wyprawie. Dotyczyło to również innych przedstawicieli legionu specjalnego. Podobnie jak ja, wszyscy byli zaintrygowani i nie wiedzieli, o co chodzi. Ale już pod koniec dnia zacząłem wyobrażać sobie niejasno, w jakim kierunku zmierza tok myśli Poirot.

Mój przyjaciel udał się przede wszystkim do pani Barnard i wybadał dokładnie, o jakiej porze odwiedził ją pan Cust i co mówił. Z kolei udał się do hotelu i wypytał szczegółowo o odejście Custa. Miałem wrażenie, że nie dowiedział się niczego nowego, ale Poirot wydawał się zadowolony.

Z hotelu poszedł na plażę, gdzie znaleziono zwłoki Betty Barnard. Długi czas spacerował koło tego miejsca i badawczo przyglądał się żwirowi, czego nie mogłem zrozumieć, bo przyływ zalewa przecież plażę dwa razy na dzień. Nic jednak nie mówiłem, gdyż Poirot nauczył mnie wierzyć, że wszelkimi jego postępkami, z pozoru nawet niedorzecznymi, kieruje jakaś idea.

Następnie poszliśmy na szosę do punktu, gdzie można było zaparkować samochód najbliższego miejsca, w którym leżały zwłoki. Po tym udaliśmy się na przystanek autobusów odjeżdżających z Bexhill do Eastbourne.

Wreszcie Poirot zaprowadził nas wszystkich do kawiarni Pod Rudym Kotem, gdzie pulchna kelnerka, Milly Higley, podała nam obrzydliwą herbatę.

Mój przyjaciel prawił dziewczynie komplementy na kwiecistą francuską modłę, ona zaś odpowiadała żartami, twierdząc, że dobrze zna Francuzów, której to pomyłki co do swojej narodowości nie prostował. Robił tylko do kelnerki takie oko, że byłem zdziwiony i, przyznaję, trochę zgorszony.

— No — powiedział wreszcie — skończyłem w Bexhill. Teraz jadę do Eastbourne. Tam jeszcze krótka rozmówka i koniec. Nie ma potrzeby, żeby państwo mi towarzyszyli. Tymczasem możemy przejść do hotelu na coctail. Herbata była ohydna.

Kiedy usiedliśmy do coctailu, Franklin Clarke zapytał ciekawie:

— Sądzę, że mój domysł jest trafny: próbuje pan obalić to alibi? Nie rozumiem tylko, dlaczego jest pan taki zadowolony? Przecież do tej pory nie dowiedział się pan niczego nowego.

— Nie dowiedziałem się, ma pan rację — odrzekł Poirot.

— A więc dlaczego?

— Cierpliwości, na wszystko przyjdzie czas.

— Widzę jednak, że już teraz jest pan kontent z siebie.

— To dlatego, drogi panie, że jak dotąd nic nie przeczy mojej koncepcji.

Spoważniał nagle.

— Mój przyjaciel Hastings — podjął — opowiadał mi niegdyś, że jako młody człowiek bawił się w grę towarzyską zwaną „Prawda”. Każdemu z uczestników zadaje się trzy pytania. Na dwa z nich trzeba odpowiedzieć prawdziwie, na trzecie skłamać. Naturalnie pytania są zawsze wysoce niedyskretne. Ale przed rozpoczęciem gry wszyscy musieli przysiąc, że będą mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę.

— I co z tego? — zapytała szorstko Megan.

— Chciałbym, żebyśmy zabawili się w tę grę. Ale nie trzeba będzie aż trzech pytań. Jedno wystarczy. Jedno pod adresem każdego z obecnych.

— Nie ulega wątpliwości, że wszyscy odpowiedzą na wszystko — wtrącił żywo Clarke.

— Sprawę chcę potraktować bardzo serio. Czy zgodzą się państwo przysiąc, że będą mówić prawdę?

Był tak uroczysty, że wszyscy zdziwiliśmy się i mimo woli wpadli w równie uroczysty nastrój. Przysięga została złożona.

— *Bon** — powiedział Poirot. — Możemy zacząć.

— Służę — zaproponowała Tora Grey.

— Nie, tym razem damy nie będą miały pierwszeństwa. Obejdziemy się bez uprzejmości. Zaczniemy z innej beczki. Panie Clarke, co pan sądzi o kapeluszach, które panie nosiły w tym roku na wyścigach w Ascott?

— Czy to ma być dowcip? — Franklin Clarke spojrział na niego zdumiony.

— Bynajmniej.

— A więc poważne pytanie?

— Tak.

— Cóż — uśmiechnął się Clarke — nie byłem w Ascott, ale kapelusze, które oglądałem w samochodach jadących do Ascott, wydawały mi się jeszcze komiczniejsze niż w poprzednich latach.

— Uważa pan te kapelusze za zbyt wyzywające?

— Raczej za zbyt strojne.

— Monsieur — zwrócił się Poirot do Donalda Frascra — czy miał pan już w tym roku urlop?

— Urlop? — zdziwił się Fraser. — Tak, w pierwszej połowie sierpnia.

Zachmurzył się. Widocznie pytanie przypomniało mu stratę ukochanej, Poirot puścił mimo uszu jego odpowiedź i zwrócił się do Tory Grey, ja zaś zauważyłem niedostrzegalną zmianę w tonie jego głosu. Pytanie padło sucho i wyraźnie:

— *Mademoiselle*, czy w przypadku śmierci lady Clarke wyszłaby pani za sir Cecila, gdyby poprosił o pani rękę?

Dziewczyna zerwała się z miejsca.

— Jak pan śmie zadawać podobne pytania? To oburzające!

— Możliwe, ale pani przysięgła mówić prawdę. A zatem: tak czy nie?

— Sir Cecil był dla mnie bardzo dobry. Traktował mnie prawie jak córkę. Ja odpowiadałam podobnymi uczuciami. Byłam wdzięczna i przywiązana do niego.

— Bardzo przepraszam *mademoiselle*, ale to nie jest odpowiedź: tak czy nie.

Zawahała się.

— A więc stanowczo: nie.

— Dziękuję, *mademoiselle* — powiedział zdawkowo Poirot i spojrzał na Megan Barnard.

Dziewczyna była bardzo blada. Oddychała z trudem, jak gdyby szykowała się do ciężkiej próby. Głos Poirota zadźwięczał ostro, jak trzaśnięcie z bicia:

— *Mademoiselle*, czy pragnie pani, abym w wyniku moich dochodzeń dowiedział się prawdy?

Megan uniosła głowę. Pewien byłem, że odpowie szczerze, bo wiedziałem już o jej fantastycznym umiłowaniu prawdy.

— Nie! — zawołała głośno, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu.

Wszyscy zerwali się z miejsc. Poirot bystro spojrzał jej w oczy.

— *Mademoiselle* Megan — powiedział. — Być może nie pragnie pani wykrycia prawdy, ale, na Boga, potrafi pani ją mówić!

Skierował się w stronę drzwi, lecz jak gdyby sobie coś przypomniał, zawrócił i stanął przed Mary Drower.

— Proszę powiedzieć, czy ma pani narzeczonego?

— Ach, panie Poirot... — dziewczyna zarumieniła się mocno. — Ja... ja jeszcze nie wiem.

— *Alors, c'est bien, mes enfants** — uśmiechnął się i spojrzał na mnie. — No, Hastings, na nas czas. Jedziemy do Eastbourne.

Samochód czekał i za chwilę jechaliśmy szosą nadbrzeżną wiodącą przez Pevensey do Eastbourne.

— Czy warto pytać cię o coś, Poirot? — bąknąłem.

— Za wcześnie. Wyciągaj własne wnioski. Zapadło milczenie. Mój przyjaciel, widać bardzo z siebie zadowolony, nucił z cicha. W Pevensey zaproponował, żeby się zatrzymać na chwilę i obejrzeć zamek. Kiedy wracaliśmy do samochodu, przystanęliśmy na chwilę obok kręgu bawiących się dzieci, które piskliwymi głosikami śpiewały jakąś piosenkę.

— Co one śpiewają? — zapytał Poirot. — Nie mogę zrozumieć słów.

Słuchałem przez chwilę; zrozumiałem refren:

„Lisa złapiemy

I w klatce zamkniemy,

I nie puścimy już nigdy”.

— Lisa złapiemy i w klatce zamkniemy, i nie puścimy już nigdy — powtórzył Poirot.

Spowaźniał nagle i spochmurniał.

— To straszne, Hastings, straszne — urwał. — Polujecie tutaj na lisy?

— Sam nigdy nie polowałem. Nie było mnie na to stać. Sądzę jednak, że w tych stronach nie ma dobrych polowań.

— Chodziło mi o Anglię w ogóle — powiedział Poirot. — Dziwny sport. Czeka się gdzieś pod osłoną wzgórza, potem rozbrzmiewa trąbka i zaczyna się bieg, bieg na przełaj, przez płoty, rowy... Lis ucieka, kluczy. Ale ogary...

— Gończe — poprawiłem.

— Gończe są na tropie, dopadają lisa i zwierzę umiera szybko i boleśnie.

— Tak, w twoim sformułowaniu to brzmi okrutnie, ale...

— Lis ma doskonałą zabawę, co? Nie opowiadaj głupstw, mój przyjacielu. Cóż, może szybka, bolesna śmierć jest mimo wszystko lepsza niż to, o czym śpiewały te dzieci...

— Zamknięcie w klatce? Na zawsze? Tak. To naprawdę okropne, przyznaję.

Poirot pokiwał głową i powiedział zupełnie zmienionym tonem:

— Jutro odwiedzę Custa — po czym zwrócił się do szofera: — Wracamy do Londynu.

— Nie jedziesz do Eatsbourne? — zapytałem zdziwiony.

— Nie mam po co. Wiem już dosyć.

Rozdział XXXIII

Aleksander Bonaparte Cust

Nie byłem obecny przy rozmowie, jaką Poirot odbył z owym dziwnym człowiekiem, Aleksandrem Bonaparte Custem. Dzięki znajomościom w policji i szczególnemu charakterowi sprawy nie miał trudności z otrzymaniem zezwolenia na widzenie, lecz nie rozciągało się ono na mnie. Poza tym Poirot uważał za stosowne odbyć rozmowę ściśle poufną, w cztery oczy. Po powrocie jednak streścił mi tak dokładnie przebieg wszystkiego, co zaszło, że czuję się upoważniony do zanotowania wszystkiego tak, jak bym był obecny.

Pan Cust wydawał się przybity. Pochylił się jeszcze bardziej, ręce drżały mu nerwowo. Poirot nie odzywał się zrazu. Przyglądał się siedzącemu naprzeciw więźniowi. Wytworzyło to atmosferę spokoju, złagodziło napięcie. Dramatyczne musiało być to spotkanie przeciwników w długim pojedynku. Na miejscu Poirota czułbym się chyba do głębi wstrząśnięty. Ale on ma zwyczaj zmierzać prosto do celu i zależało mu jedynie na wywarciu pewnego efektu na przeciwniku.

— Czy pan wie, kim jestem? — zapytał wreszcie łagodnie.

— Nie, nie... — z ociąganiem odrzekł Cust. — Nie wiem. Może jest pan... jak to się nazywa?... dependentem pana Lucasa?

Mówił uprzejmie, ale bez większego zainteresowania. Był pogrążony we własnych myślach.

— Jestem Herkules Poirot — przedstawił się cicho mój przyjaciel i bacznie obserwował wrażenie. Pan Cust spojrział na niego.

— Aha — powiedział tak bezosobowo, jak inspektor Crome zwykł mówić swoje „O, czyżby?”.

— Aha — powtórzył po chwili zupełnie już innym, bardziej ożywionym tonem i bystrzej spojrział na Poirota.

— Tak — ciągnął mój przyjaciel — jestem człowiekiem, do którego pan pisał listy.

Zadzierzgnięta nic sympatii prysła. Pan Cust spuścił wzrok i powiedział ze strachem i irytacją:

— Nigdy do pana nie pisałem. To nie moje listy... Mówiłem to już ze dwadzieścia razy.

— Wiem. Ale jeżeli ich pan nie pisał, kto był autorem?

— Wróg. Muszę mieć wroga. Wszyscy się przeciwko mnie zmówili. Policja, wszyscy. To jakaś potworna zмова.

Poirot milczał.

— Wszyscy mnie zawsze dręczyli — ciągnął nieszczęśnik. — Wszyscy. Zawsze.

— Nawet wtedy, kiedy był pan dzieckiem?

— Nie, nie... Wtedy chyba nie... Matka bardzo mnie kochała, ale była ambitna, straszliwie ambitna. Dlatego dała mi takie komiczne imiona. Wmawiała sobie, że muszę zostać wielkim człowiekiem. Ciągle mnie namawiała, żebym miał o sobie dobre mniemanie. Mówiła o sile woli, o tym, że każdy jest kowalem własnego losu. Twierdziła, że będę mógł zjechać tak wysoko, jak zechcę — umilkł na chwilę. — Oczywiście nie miała racji. Wcześniej to rozumiałem. Tacy jak ja nie robią kariery. Zawsze sam sobie wszystko psułem. Wystawiałem się na pośmiewisko. Byłem nieśmiały, bałem się ludzi. Już w szkole, gdy tylko chłopcy dowiedzieli się moich imion, zaczęli mi dokuczać. Byłem złym, bardzo złym uczniem. I chyba ostatnim w sportach — smutno pokiwał głową. — Dobrze, że moja biedna matka umarła wcześniej. Byłaby boleśnie zawiedziona. Nawet w szkole handlowej okazałem się głupcem. Pisania na maszynie i stenografii uczyłem się dłużej niż wszyscy inni. Ale mimo wszystko sam nie czułem się głupcem... Ehem... Rozumie mnie pan, prawda? — zwrócił błagalne spojrzenie ku Poirotowi.

— Doskonale rozumiem i słucham dalej.

— Tak. Ale wciąż dręczyło mnie przykre uczucie, że wszyscy uważają mnie za głupca. Tak było w szkole handlowej i później w biurze.

— I później, na wojnie — odpowiedział Poirot.

— Nie — Cust ożywił się nagle. — Na wojnie było mi dobrze. Pierwszy raz czułem się takim samym człowiekiem jak wszyscy inni — uśmiechnął się blado. — A potem zostałem ranny w głowę... bardzo lekko.. Ale w szpitalu odkryli, że miewam... te ataki. Ja naturalnie od dawna wiedziałem, że są momenty, o których później nie pamiętam. To się chyba nazywa chwilowa utrata pamięci? Nawet kilka razy upadłem. Byłem jednak zdania, że na tej podstawie nie powinni mnie zwalniać z wojska. Ale i oni mnie skrzywdzili.

— A później? — zapytał Poirot.

— Dostałem posadę w biurze. Z początku dobrze mi się powodziło, po wojnie jednak było gorzej. Obniżyli mi pensję. Zrozumiałem, że do niczego nie dojdę. Ciągle inni przeskakiwali mnie w awansach. Nie potrafiłem się pchać. Żle mi się wiodło, coraz gorzej. Szczególnie jak przyszedł kryzys. Zmieniałem posady i mówiąc otwarcie, nie miałem z czego żyć. Wtedy otrzymałem ofertę na ten interes z pończochami. Miałem dostać pensję i prowizję.

— Wie pan chyba — podjął łagodnym tonem Poirot — że firma, która jakoby pana zatrudnia, kategorycznie temu przeczy.

— Bo i oni są w zмовie. Muszą być w zмовie. Mam przecież dowody na piśmie. Tak, dowody na piśmie: listy, w których mi polecają, dokąd mam jechać, i podają adresy osób, które mam

odwiedzić.

— Listy pisane na maszynie.

— Naturalnie. Listy dużych firm zawsze są pisane na maszynie.

— Czy zdaje sobie pan sprawę, panie Cust, że maszynę do pisania można zidentyfikować? Wszystkie te listy były pisane na jednej i tej samej maszynie.

— Cóż z tego?

— Na maszynie znalezionej w pańskim pokoju.

— Tę maszynę dostałem z firmy, jak zaczynałem pracę.

— Zgoda. Ale listy otrzymywał pan później. Tak więc wygląda, jak by pan sam je pisał i nadawał pod swoim adresem.

— Nie, nie, to spisek. Zmowa przeciwko mnie. A zresztą, listy mogły być pisane na takiej samej maszynie.

— Słusznie. Na takiej samej. Ale te są pisane na tej samej.

— To zmowa przeciwko mnie — powtórzył z uporem Cust.

— A co pan powie o znalezionych w schowku rozkładach kolejowych ABC?

— Wcale o nich nie wiedziałem. Myślałem, że we wszystkich paczkach są pończochy.

— Dlaczego odfajkował pan nazwisko pani Ascher na liście osób z Andover?

— Zdecydowałem, że od niej zacznę. Przecież jakoś trzeba zacząć.

— Ma pan rację. Jakoś trzeba zacząć.

— Nie, nie, co innego miałem na myśli.

— Ale pan wie, co ja myślałem? Cust milczał. Wstrząsały nim dreszcze.

— Ja tego nie zrobiłem! — zawołał wreszcie. — Jestem niewinny! To omyłka, straszna omyłka! Niech pan pamięta o drugim morderstwie, tym w Bexhill. Grałem wtedy w Eastbourne w domino. Temu nie może pan zaprzeczyć — głos jego zabrzmiał tonem triumfu.

— Nie mogę — przyznał Poirot. — Ale to przecież tak łatwo omylić się o jeden dzień. A jeżeli jest pan równie uparty i pewny siebie, jak pan Strange, nigdy nie dopuści pan myśli, że to omyłka. Będzie pan wciąż powtarzał swoje pierwsze twierdzenie. Tak właśnie postępuje pan Strange. A księga hotelowa? Podpisując nietrudno chyba postawić niewłaściwą datę. Najprawdopodobniej nikt

tego nie zauważy.

— Przez cały tamten wieczór grałem w domino.

— Dobrze pan gra, prawda?

— Tak... Tak mi się zdaje — powiedział pan Cust, któremu słowa mojego przyjaciela sprawiły widoczną przyjemność.

— To trudna gra, wymagająca znacznej wprawy.

— Naturalnie. Można grać na bardzo rozmaite sposoby. Kiedy pracowałem w biurze, często grywałem w barze podczas przerwy obiadowej. Nie uwierzy pan, jak ludzie zupełnie obcy zbliżają się przy dominie — zachichotał nerwowo. — Dobrze pamiętam jednego przypadkowego partnera... Nigdy go nie zapomnę, bo mówił takie dziwne rzeczy... Zaczęliśmy rozmawiać przy kawie, potem przysła kolej na domino. Po dwudziestu minutach zdawało mi się, że znam tego człowieka od wieków.

— A co on panu opowiadał?

Cust jak gdyby zarumienił się z lekka.

— Dziwne, bardzo dziwne rzeczy. Opowiadał, że człowiek ma swój los wypisany na dłoni. Pokazał swoją rękę i linie, które zapowiadały, że dwa razy omal się nie utopi. I to się sprawdziło. Potem spojrzał na moją rękę i powiedział dziwne, bardzo dziwne rzeczy. Powiedział, że przed śmiercią będę jednym z najślawniejszych ludzi w Anglii, że o mnie będzie mówił cały kraj. A potem jeszcze... a potem... — zająknął się i umilkł.

— Co potem?

Poirot zdawał się magnetyzować przeciwnika; pan Cust odwracał wzrok i znowu spoglądał na niego, jak zahipnotyzowany królik.

— Powiedział, że... że... tak wygląda, jak gdybym miał umrzeć gwałtowną śmiercią. Później roześmiał się i dodał: „Bo ja wiem? Może nawet na szafocie?” Przestraszyłem się, ale on znowu się roześmiał i powiedział, że to były tylko żarty — umilkł i spojrzał na Poirota zmętniałym wzrokiem. — Ta moja nieszczęsna głowa, moja głowa... Czasami tak mnie boli, że już wytrzymać nie mogę. Czasami znowu nie wiem... nie wiem...

Poirot pochylił się do przodu, a kiedy się odezwał, mówił cicho i stanowczo:

— Ale wie pan, że to pan popełnił te morderstwa? Cust podniósł wzrok. Był teraz zupełnie spokojny.

Znikł wszelki opór.

— Tak — powiedział głucho. — Wiem.

— Ale — podjął Poirot — proszę mi powiedzieć, czy mam rację, czy nie: nie wie pan, dlaczego pan to zrobił?

Cust pokręcił głową.

— Nie. Nie wiem.

Rozdział XXXIV

Wyjaśnienia Poirota

Siedzieliśmy w napięciu oczekując ostatecznego wyjaśnienia przez Poirota zawilej sprawy.

— Od samego początku — rozpoczął mój przyjaciel — dręczyło mnie pytanie: dlaczego? Kilka dni temu Hastings powiedział mi, że sprawę uważa za skończoną. Odrzekłem wtedy, że sprawa to człowiek. Zagadka nie była dla mnie zagadką morderstw, lecz zagadką A.B.C. dlaczego postanowił popełnić te zbrodnie? Dlaczego mnie obrał sobie za powiernika? Niczego nie wyjaśnia twierdzenie, że to człowiek o zachwianej równowadze umysłowej. Gadanina, że ktoś robi coś tylko dlatego, że jest wariatem, dowodzi powierzchownych, niemądrych sądów. Szalenciec jest w swoim rozumowaniu i uczynkach równie logiczny, jak człowiek zdrowy (biorąc naturalnie pod uwagę jego specyficzny punkt widzenia). Jeżeli na przykład ktoś zacznie chodzić po ulicy ubrany tylko w przepaskę biodrową, zachowanie jego wydaje się dziwne i nedorzeczne. Jeżeli jednak dowiemy się, że ten ktoś głęboko wierzy, iż jest Mahatmą Ghandim, zachowanie to staje się rozumne i logiczne.

— W naszym przypadku przede wszystkim należało sobie wyobrazić umysł tak skonstruowany, że logiczne i rozsądne wydawało mu się popełnienie czterech albo więcej morderstw i uprzedzenie o nich listami pisanymi do Herkulesa Poirota. Hastings potwierdzi, że kiedy otrzymałem pierwszy list, byłem bardzo zaniepokojony.

Zdawało mi się, że jest w nim coś ze wszech miar podejrzanego.

— I miał pan rację — przyznał sucho Franklin Clarke.

— Tak. Ale już na samym początku popełniłem błąd, poważny błąd: uwierzyłem, że moje zaniepokojenie odnośnie do listu jest jedynie wrażeniem. Potraktowałem je, jak gdyby wynikało z intuicji. Otóż, w zrównoważonym, prawidłowo rozumującym umyśle nie istnieje intuicja. Oczywiście, można się czegoś domyślać i taki domysł sprawdza się albo nie sprawdza. Jeżeli się sprawdza, nazywamy go intuicją. Jeżeli nie — zazwyczaj o nim nie mówimy. Ale to, co najczęściej nazywamy intuicją, bywa wrażeniem opartym na logicznym rozumowaniu albo doświadczeniu. Jeżeli ekspert czuje, że coś jest nie w porządku z danym obrazem, meblem albo podpisem na czeku, w rzeczywistości wrażenie swoje opiera na wielu niedostrzegalnych na pozór znakach. Nie musi rozpraszać się na te drobiazgi. Zastępuje je długoletnie doświadczenie, a w rezultacie wynika niemal pewność, że coś nie jest w porządku. Ale to nie domysł, to wrażenie oparte na doświadczeniu.

— A zatem, przyznaję, że do pierwszego listu nie odniosłem się tak, jak należało. Zaniepokoił mnie, ale policja uważała to za kawał. Nie podzielałem tego zdania. Byłem przekonany, że w oznaczonym dniu nastąpi zbrodnia w Andover. Jak wiadomo, moje przewidywania okazały się słuszne. W ówczesnej sytuacji zdawałem sobie sprawę, że niepodobna dowiedzieć się, kto był sprawcą zbrodni. Jediną drogą, jaka mi się nasuwała, było zrozumienie, co to za człowiek. Dysponowałem pewnymi wskazówkami: listem, sposobem popełnienia zbrodni, osobą

zamordowanej. Musiałem jednak odkryć dwa motywy: zbrodni i listu do mnie.

— Chodziło o rozgłos — wtrącił Clarke.

— Tłumaczy to kompleks niższości — dodała Tora Grey.

— Naturalnie — podjął Poirot. — Rozumowanie musiało pójść i po takiej linii. Ale dlaczego ja? Dlaczego Herkules Poirot? Łatwiej byłoby osiągnąć rozgłos wysyłając anonim do Scotland Yardu albo do prasy. Gazeta mogłaby nie wydrukować pierwszego listu, ale przed drugą zbrodnią A.B.C. miałby taką sławę, jaką może zapewnić tylko prasa. Dlaczego więc Herkules Poirot? Czy z jakichś względów osobistych? W liście był lekki ton niechęci do cudzoziemców, ale to nie wystarczyło mi jako wytłumaczenie.

— Następnie przyszedł drugi list, a po nim morderstwo Betty Barnard w Bexhill. Nie ulegało teraz wątpliwości (co podejrzewałem już wcześniej), że morderstwa będą dokonywane w porządku alfabetycznym. Fakt ten wydawał się wyjaśnieniem dla większości ludzi, dla mnie jednak zasadnicze pytanie zostało bez odpowiedzi. Dlaczego A.B.C. musiał popełniać te zbrodnie?

Megan Barnard poruszyła się niespokojnie na krześle.

— Mogła to być po prostu żądza mordu.

— Ma pani zupełną słuszość, mademoiselle. Żądza mordu czy krwi istnieje. Ale nie pasuje do faktów występujących w danym przypadku. Szaleniec owładnięty żądzą mordu pragnie zabić tyle ofiar, ile zdoła. Im więcej, tym lepiej. Taki morderca z natury rzeczy usiłuje zatrzeć ślady. Nigdy nie szuka rozgłosu. Jeżeli zastanowimy się nad czterema ofiarami, a przynajmniej nad trzema z nich (bo bardzo niewiele wiem o panu Downesie czy panu Earlsfieldzie), dojdziemy do wniosku, że gdyby morderca zechciał, nie zwróciłby na siebie najłżejszych podejrzeń. Policja podejrzewałaby Franza Aschera, Donalda Frasera albo Megan Barnard, a w trzecim wypadku zapewne pana Clarke'a. Policja podejrzewałaby ich, chociaż nie miałyby żadnych dowodów. I nikt nie pomyślałby nawet o nieznanym szaleńcu o zbrodniczych skłonnościach. Dlaczego zatem ten człowiek świadomie zwrócił na siebie uwagę? Dlaczego przy każdej ofierze zostawiał rozkład ABC? Czy musiał tak postąpić? Czy cierpiał na jakiś kompleks związany z kolejowym rozkładem jazdy?

— W stadium, o którym mówię, uznałem za stosowne wczuć się w umysł mordercy. Przecież nie mogła to być wspaniałomyślność. Czyżby wstręt do obciążania zarzutami ludzi niewinnych? Nie mogłem jeszcze odpowiedzieć na zasadnicze pytania, ale zdawało mi się, że wiem już pewne rzeczy o mordercy.

— Na przykład jakie? — zapytał Fraser.

— Przede wszystkim, że ma systematyczny umysł. Zbrodnie planował w alfabetycznym porządku, co niewątpliwie było dla niego ważne. Z drugiej strony nie zależało mu szczególnie na doborze ofiar. Pani Ascher, Betty Barnard, sir Cecil Clarke to osoby niezmiernie sobie dalekie. Nie mogło być mowy o kompleksie seksualnym ani o jakimś kompleksie wieku. To wydało mi się faktem bardzo osobliwym. Jeżeli człowiek morduje bez wyboru, najczęściej usuwa tych, co stoją mu na drodze albo

drażnią go w jakiś sposób. Ale porządek alfabetyczny wskazywał, że w danym przypadku ta okoliczność nie działa. Pewien typ mordercy z reguły wybiera pewien typ ofiar, najczęściej płci odmiernej. W postępowaniu A.B.C. była przypadkowość dziwnie niezgodna z porządkiem alfabetycznym.

— Aha, jeszcze jedna mała dygresja. Rozkład jazdy ABC wskazuje na, że się tak wyrażę, człowieka o zamiłowaniach kolejowych. Takie zjawisko występuje częściej u mężczyzn niż u kobiet. Chłopcy częściej bawią się kolejkami niż dziewczęta. Może to również świadczyć o umyśle w pewnym stopniu niedorozwiniętym, nad którym panuje jeszcze kompleks chłopca.

— Śmierć Betty Barnard i sposób dokonania morderstwa dają wskazówki zupełnie odmienne. Zwłaszcza sposób dokonania morderstwa. Bardzo przepraszam, panie Fraser, że poruszam ten temat... Przede wszystkim ofiara została uduszona własnym paskiem niewątpliwie przez kogoś, z kim była w co najmniej dobrych stosunkach. Kiedy usłyszałem co nieco o jej charakterze, zarysował się w mojej głowie pewien obraz. Betty Barnard była flirciarką, lubiła hołdy szykownych mężczyzn. A zatem A.B.C. musiałby posiadać pewne zalety zewnętrzne czy też tak zwany sexappeal, aby skłonić ją do nocnej przechadzki. Musiał umieć zawrzeć znajomość i znajomość tę wykorzystać. Scenę na plaży wyobrażam sobie w taki sposób: ów człowiek podziwia pasek Betty. Ona go zdejmuje, a on żartem zakłada jej na szyję. Być może mówi: „No, teraz cię uduszę”. Oczywiście wszystko to ma ton żartobliwy. Ona chichocze, a on... on ciągnie.

Donald Fraser zerwał się z krzesła blady jak śmierć.

— Panie Poirot, na miłość boską!

— Już skończyłem. — Poirot wyciągnął rękę uspokajającym gestem. — Nie powiem ani słowa więcej. A teraz trzecie morderstwo: sir Cecil Clarke. Morderca wraca do pierwszej swej metody, ciosu w tył głowy. Nadal występuje kompleks alfabetyczny. W porządku. Ale jedno mnie zastanawia. Aby zaspokoić wymagania swojego ścisłego umysłu, A.B.C. powinien dobierać miasta w jakiejś wyraźnej kolejności. Andover jest w spisie sto pięćdziesiąte piąte pod literą „A”. A zatem miasta „B” i „C” powinny być również sto pięćdziesiąte piąte albo sto pięćdziesiąte szóste albo sto pięćdziesiąte siódme. Jaki stąd wniosek? Nie tylko ofiary, lecz i miasta były dobierane w pewnym sensie przypadkowo.

— Poirot — powiedziałem — a może raczej ty tak to sobie wyobrażasz? Jesteś człowiekiem niesłychanie pedantycznym i porządnym. Czasami wygląda to nawet na manię.

— Nie, to nie mania. *Quelle idee!** Przyznaję jednak, że zbyt duży nacisk położyłem na ten właśnie punkt. Idźmy dalej. Morderstwo w Churston pomogło mi w znikomym stopniu. Szczęście nam nie dopisało, gdyż list poszedł pod niewłaściwy adres, na skutek czego nie mogło być mowy o zamierzonych przygotowaniach.

— Zanim jednak doszło do morderstwa „D”, stworzono naprawdę potężny system ochronny. Wydawało się niewątpliwie, że A.B.C. nie potrafi wywijać się dłużej. Ponadto w tym właśnie okresie przyszedł mi do głowy pomysł o pończochach. Dla mnie było najzupełniej oczywiste, że obecność domokrażcy sprzedającego pończochy w pobliżu wszystkich trzech miejsc zbrodni nie

mogła być zwykłym zbiegiem okoliczności. A zatem ten domokrażca musi być mordercą. Zaznaczam jednak, że rysopis podany przez pannę Grey zupełnie nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie sobie wyrobiłem o dusicielu Betty Barnard.

— Z następnymi stadiami rozprawię się szybko. Zostało popełnione czwarte morderstwo. Prawdopodobnie w zastępstwie pana Downesa, który był podobnego wzrostu i siedział obok niego w kinie, zginął George Earlsfield. W tym czasie następuje odwrót. Szczęście, które dotąd sprzyjało A.B.C., odwraca się od niego. Następuje identyfikacja, pościg, a wreszcie ujęcie. Sprawa, jak powiedział Hastings, skończona. Z punktu widzenia opinii publicznej jest to słuszne. Sprawca siedzi w więzieniu i niewątpliwie rychło znajdzie się w Broadmoore. Nie będzie więcej morderstw. Koniec. Kurtyna.

— Ale nie dla mnie, proszę państwa. Ja nie wiem jeszcze nic, absolutnie nic. Nie wiem dlaczego ani z jakich powodów. Dręczy mnie jeszcze jedno: ów Cust ma nieodparte alibi na noc morderstwa w Bexhill.

— I mnie to ciągle trapi — wtrącił Franklin Clarke.

— Zrozumiałe. Bo to alibi ma wszelkie pozory prawdopodobieństwa. Ale nie może być prawdziwe, jeżeli... I tutaj rozpoczynamy bardzo interesujące rozumowanie. Przypuśćmy, drodzy przyjaciele, że Cust popełnił trzy zbrodnie: A, C, i D. Nie popełnił jednak morderstwa B.

— Panie Poirot, to przecież...

Poirot uciszył Megan Barnard spojrzeniem.

— Proszę się nie denerwować, *mademoiselle*. Mnie chodzi jedynie o prawdę. Z kłamstwami już skończyłem. Przypuśćmy zatem, że A.B.C. nie jest odpowiedzialny za śmierć Betty Barnard. Morderstwo miało miejsce niedługo po dwunastej w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziesty piąty lipca. A więc na samym początku zapowiedzianej doby. Czy mógł go ktoś uprzedzić? Jak zachowałby się w takim przypadku A.B.C.? Czy popełniłby drugie morderstwo, czy przywarował cicho i przyjął pierwsze jako swego rodzaju makabryczny podarek?

— Panie Poirot — odezwała się znowu Megan. — To czysta fantazja. Wszystkie morderstwa muszą być dziełem jednej ręki.

Poirot nie zwrócił uwagi na te słowa.

— Taka hipoteza ma niewątpliwie jedną dobrą stronę, gdyż wyjaśnia niezgodność między osobowością Aleksandra Bonapartego Custa, który nie potrafiłby zbałamucić dziewczyny, a osobowością mordercy Betty Barnard. Wiemy z doświadczenia, że niedoszli mordercy biorą czasami na swój rachunek zbrodnie popełnione przez innych. Na przykład Kuba-Rozpruwacz na pewno nie jest odpowiedzialny za wszystkie przypisywane mu czyny... Jak dotąd rozumowanie idzie gładko. Ale w tym punkcie wyłania się trudna przeszkoda. Do śmierci Betty Barnard fakty dotyczące morderstwa A.B.C. nie były podawane do wiadomości publicznej. Zbrodnia w Andover przeszła prawie niepostrzeżenie. O rozkładzie kolejowym nie było słowa w prasie. Stąd nieodparty wniosek:

ktokolwiek zabił Betty Barnard, musiał mieć dostęp do faktów znanych tylko bardzo niewielu osobom: mnie, policji oraz znajomym i sąsiadom pani Ascher. A zatem ta linia rozumowania prowadzi w ślepią uliczkę.

Zwrócone ku Poirotowi twarze były skupione i blade.

— Cóż — odezwał się Donald Fraser — policjanci też są ludźmi, a często nawet bardzo przystojnymi mężczyznami.

Urwał i pytająco spojrzął na Poirota, ten jednak zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, sprawa jest prostsza. Mówiłem już, że istnieje druga droga rozumowania. Przypuśćmy, że Cust nie jest odpowiedzialny za zbrodnię w Bexhill. Ktoś inny zamordował Betty Barnard. Przecież ten ktoś inny mógł równie dobrze zamordować pozostałe ofiary.

— : Ależ to nie ma sensu! — zawołał Clarke.

— Tak pan sądzi? W tym punkcie moich rozważań zrobiłem to, co powinienem był zrobić na początku: zastanowiłem się nad otrzymanymi listami z zupełnie odmiennego punktu widzenia. Od początku podejrzewałem, że coś nie jest w porządku, tak jak, powiedzmy, znawca sztuki podejrzewa fałszywy obraz. Przyjąłem z góry, że to „nie w porządku” polega na okoliczności, że listy pisze szaleniec. Ale po ponownym zastanowieniu doszedłem do zupełnie odmiennych wniosków. „Nie w porządku” polegało na tym, że pisał je człowiek zdrowy.

— Co mówisz? — zawołałem.

— To, co słyszysz. Były fałszywe, tak jak obraz bywa fałszywy, bo autor podszywał się pod kogoś innego. Miały być listami szaleńca, zwyrodnialca o zbrodniczych skłonnościach, ale naprawdę takimi nie były.

— Ależ to nie ma sensu! — powtórzył Franklin Cl arkę.

— Ma, ma... Tylko trzeba się trochę zastanowić. Jaki mógł być cel pisania takich listów? Zwrócenie uwagi na zbrodnię. Z początku zdawało mi się, że to rzeczywiście nie ma sensu. Ale później doznałem olśnienia. Chodziło o to, żeby zwrócić uwagę na kilka morderstw, na ich serię. Chyba to wasz wielki Szekspir powiedział: „W lesie nie widzi się drzew?”

Nie sprostowałem literackiego błędu Poirota. Usiłowałem zrozumieć, do czego zmierza, i po trosze zaczynało mi świtać w głowie.

— Gdzie najtrudniej dostrzec szpilkę? — ciągnął Poirot. — Oczywiście w poduszce do szpilek. Kiedy najtrudniej dostrzec indywidualne morderstwo? Oczywiście, jeżeli jest jednym z serii. Zorientowałem się, że mam do czynienia z niezwykle przebiegłym, pomysłowym i nie liczącym się z niczym mordercą — człowiekiem odważnym, urodzonym graczem. To nie mógł być pan Cust. On nigdy nie popełniłby takich zbrodni. Przeciwnikiem moim był zupełnie inny typ człowieka: mężczyzna o chłopięcym usposobieniu, o czym świadczą godne uczeni listy i rozkłady kolejowe, mężczyzna pociągający dla kobiet, a zarazem całkowicie lekceważący życie ludzkie. Człowiek taki

musiał odegrać ważną rolę w jednej ze zbrodni. — Proszę się zastanowić, jakie pytanie zadaje sobie policja, kiedy człowiek padnie ofiarą morderstwa. Kto miał sposobność? Gdzie każdy możliwy podejrzany był w chwili popełnienia zbrodni? Następnie motywy. Kto odnosi korzyść z tej śmierci? Jeżeli sposobność i motywy są stosunkowo jasne, cóż może zrobić morderca? Sfabrykować alibi. Czyli pokręcić coś z czasem. Ale to przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Nasz morderca wymyślił bardziej niezawodną, choć fantastyczną obronę: stworzył szaleńca o zbrodniczych skłonnościach.

— W tym stanie rzeczy musiałem dokonać jeszcze raz przeglądu wszystkich zbrodni i znaleźć osobę najprawdopodobniej winną. Morderstwo w Andover. Najbardziej podejrzany był Franz Ascher. Nie mogłem sobie jednak wyobrazić, aby ten starzec wymyślił i przeprowadził tak skomplikowany plan. Poza tym nie wydawał mi się człowiekiem zdolnym do morderstwa z premedytacją. Bexhill. Okoliczności mogły wskazywać na Donalda Frasera. To człowiek inteligentny, zdolny i umysł o skłonnościach metodycznych. Ale motywem zamordowania Betty Barnard mogła być w tym wypadku jedynie zazdrość, a zazdrość bardzo rzadko prowadzi do premedytacji. Przy sposobności dowiedziałem się, że miał urlop w pierwszej połowie sierpnia, co, moim zdaniem, wyklucza możliwość popełnienia zbrodni w Churston. Z kolei przechodzimy do morderstwa w Churston i od razu trafiamy na grunt nieporównanie bardziej obiecujący. Sir Cecil Clarke był bardzo bogatym człowiekiem. Kto miał odziedziczyć jego majątek? Umierającej żonie zapewnił dożywocie. Majątek miał przejść w ręce jego brata Franklina.

Poirot z wolna odwracał głowę, aż wreszcie oczy jego napotkały wzrok Franklina Clarke'a.

— Dzisiaj nie mam już wątpliwości. Człowieka, którego od tak dawna szukam w zakamarkach mózgu, znani osobiście. A.B.C. i Franklin Clarke to ten sam osobnik. Śmiały, awanturniczy charakter, włóczęgowskie życie, miłość do Anglii objawiająca się w lekkiej niechęci do cudzoziemców. Męska uroda, swobodne zachowanie... Jakąż trudność może sprawić takiemu człowiekowi przygadanie dziewczyny z kawiarni? Ale nie na tym koniec. Umysł metodyczny. Przecież Franklin Clarke zrobił tu całą listę naszych zadań pod nagłówkami A.B.C. i tak dalej. Lady Clarke powiedziała, że brat jej męża to w gruncie rzeczy jeszcze chłopiec. Potwierdziły to gusta Franklina Clarke'a. W jego pokoju znalazłem książkę Nesbita zatytułowaną „Kolejowe dzieci”. To ostatecznie rozproszyło moje wątpliwości. Odgadłem, że A.B.C. — morderca i autor anonimów — to Franklin Clarke.

Clarke wybuchnął śmiechem.

— Słowo daję, to kapitalne! — zawołał. — Szkoda, że nasz przyjaciel Cust został złapany prawie na gorącym uczynku. Miał na ubraniu plamy krwi, a nóż ukrył w swoim domu. Może nie przyznawać się do zbrodni, ale...

— Myli się pan — przerwał. — Właśnie, że się przyznaje.

— Co! — Clarke był naprawdę zdziwiony.

— Przyznaje się — powiedział cicho Poirot. — Podczas rozmowy z nim dowiedziałem się, że Cust naprawdę wierzy w swoją winę.

— Ale nawet to nie wystarczy, Poirot — rzucił cierpko Clarke.

— Nie. Gdyż podczas tej samej rozmowy stwierdziłem niewątpliwie, że Cust nie może być winien. Nie ma ani odwagi, ani przedsiębiorczości, ani, że się tak wyrażę, mózgu stosownego do takiego planu. Przez cały czas moich dociekań zdawałem sobie sprawę z dwoistości natury mordercy. Teraz widzę, na czym ta dwoistość polega. W zbrodni zamieszanych było dwoje ludzi: prawdziwy morderca — przebiegły, pomysłowy i śmiały, oraz rzekomy morderca — głupi, chwiejny i łatwo ulegający sugestiom. Sugestia! To właśnie słowo wyjaśniające tajemnicę Custa. Nie wystarczyło panu, panie Clarke, obmyślić plan, w którym seria miała odwrócić uwagę od poszczególnego wydarzenia. Musiał pan również znaleźć kozła ofiarnego. Mam wrażenie, że pomysł zrodził się w pana głowie z okazji przypadkowego spotkania w kawiarni z dziwnym osobnikiem o pompatycznych imionach. W tym okresie zastanawiał się pan głęboko nad rozmaitymi sposobami usunięcia brata.

— Ciekawe, dlaczego miałbym go chcieć usunąć?

— Bo poważnie obawiał się pan o przyszłość. Nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, panie Clarke, ale oddał mi się pan w ręce w chwili, kiedy pokazał mi pan list pisany przez sir Cecila. Z listu tego jasno wynikało jego wielkie zainteresowanie osobą panny Tory Grey. Mogło to być naturalnie zainteresowanie czysto ojcowskie albo też sir Cecil chciał po prostu wierzyć w taki właśnie rodzaj zainteresowania. W każdym razie istniały bardzo poważne obawy, że w przypadku śmierci pana bratowej sir Cecil zwróci się ku tej pięknej dziewczynie, szukając zrazu tylko pociechy i współczucia w swoim osamotnieniu. Ale takie stosunki, zwłaszcza u starszych panów, bardzo często kończą się małżeństwem. Obawy pana były tym większe, że znał pan pannę Grey. Jest pan niewątpliwie doskonałym, choć może nieco cynicznym znawcą ludzkich charakterów. Orzekł pan, nie wiem, słusznie czy niesłusznie, że panna Grey jest typem kobiety, która za wszelką cenę chce zrobić karierę. Nie wątpił pan, że skwapliwie skorzysta ze sposobności zostania lady Clarke. Pański brat był wyjątkowo zdrow i silny jak na swój wiek. Wraz z małżeństwem mogły przyjść dzieci, no i spadek by przepadł. Podejrzewam, że przez całe życie uważał się pan za człowieka pokrzywdzonego i zawiedzionego. Liczne podróże po świecie nie przyniosły panu jakoś korzyści. Z całego serca zazdrościł pan bratu majątku.

— Ale do rzeczy. Zastanawiając się nad różnymi planami spotkał pan przypadkowo Custa i wpadł na pewien pomysł. Jego komiczne imiona, epilepsja, okresowe bóle głowy, niepokazna i zabawna postać zwróciły pańską uwagę na to, że może on być narzędziem bardzo panu przydatnym. Przyszedł panu do głowy system alfabetyczny: inicjały Custa. Fakt, że pański brat ma nazwisko rozpoczynające się na „C” i mieszka w Churston były pierwszymi załączkami. Posunął się pan nawet tak daleko, że napomknął Custowi o czekającej go gwałtownej śmierci. Oczywiście, nie mógł pan przypuszczać, że to przypadkowe spotkanie przyniesie tak wspaniałe owoce.

— Rozwinięcie całego pańskiego planu było bez zarzutu. W imieniu Custa napisał pan do fabryki pończoch prosząc o znaczną partię towaru. Sam wysłał pan swojemu kozłowi ofiarnemu pewną ilość rozkładów ABC zapakowanych identycznie jak pończochy. Do Custa napisał pan na maszynie list, rzekomo od tej samej firmy, proponujący mu pensję i prowizję. Pański plan był tak dokładnie przygotowany z góry, że napisał pan wszystkie listy wysyłane później do Custa, następnie zaś przysłał mu maszynę, na której listy te były pisane.

— Naturalnie musiał pan znaleźć dwie ofiary, których nazwiska zaczynałyby się na „A” i „B” i

które mieszkają w miastach o odpowiedniej nazwie. Na Andover zwrócił pan uwagę jako na spokojne, ustronne miasteczko, a rozpoznanie wstępne kazało panu wybrać sklep pani Ascher jako scenę pierwszej zbrodni. Jej nazwisko było wyraźnie wypisane nad drzwiami i bez trudności dowiedział się pan, że zawsze jest sama w sklepie. Ta zbrodnia wymagała opanowania, odwagi i odrobiny szczęścia.

— Przechodząc do litery „B” zupełnie zmienił pan taktykę. Przecież samotne kobiety w sklepikach mogły zostać ostrzeżone. Wyobrażam sobie, że chodził pan po kawiarniach i herbaciarniach, żartował z kelnerkami i w ten sposób znalazł odpowiednią dla pańskich celów dziewczynę, której nazwisko zaczynało się na właściwą literę. Betty Barnard musiała się panu wydać właśnie kimś, kogo pan szukał. Spotykał się pan z nią kilka razy i pod pretekstem, że jest żonaty, wybierał pan na spotkania raczej ustronne miejsca. Po takich przygotowaniach zabrał się pan do prawdziwej roboty. Posłał pan Custowi listę ewentualnych odbiorców w Andover i polecenie, aby udał się tam w określonym dniu, a do mnie zredagował pan pierwszy list podpisany A.B.C. W dniu wyznaczonym pojechał pan do Andover i zabił panią Ascher bez przeszkód, które mogłyby pokrzyżować dalsze plany. Morderstwo nr 1 zostało pomyślnie dokonane.

— Przy drugiej zbrodni był pan ostrożniejszy i właściwie wykonał plan o dzień za wcześniej. Jestem pewien, że Betty Barnard zginęła przed północą dwudziestego czwartego lipca.

— Przechodzimy teraz do morderstwa nr 3, tego najważniejszego z pańskiego punktu widzenia, prawdziwego morderstwa. Trudno wyrazić, ile pochwał należy się tutaj Hastingsowi, który rzucił prostą i zdawałoby się samo przez się zrozumiałą myśl w kwestii, na którą nikt nie zwrócił uwagi. Wyraził przypuszczenie, że trzeci list mógł być rozmyślnie błędnie zaadresowany. I miał rację. Po stokroć miał rację! Ten prosty fakt całkowicie wyjaśnia wątpliwość, która dręczyła mnie od początku: dlaczego listy adresowane były do Herkulesa Poirota, prywatnego detektywa, a nie do policji? Błędnie składałem to zrazu na jakieś względy osobiste. Nic podobnego! Listy wysyłał pan do mnie, ponieważ istotą pańskiego planu było, że jeden z nich będzie źle zaadresowany i nie dojdzie w porę. A przecież list do Scotland Yardu nie mógł trafić pod niewłaściwy adres! Więc musiał pan mieć jakiś adres prywatny. Wybrał pan mnie, jako człowieka dość szeroko znanego, który na pewno odda list policji, a ponadto jako prawdziwy Anglik, miał pan ochotę wystrychnąć na dudka cudzoziemca. Bardzo to było sprytne. Whitehaven, Whitehorse — to omyłka całkiem zrozumiała. Jeden Hastings był na tyle spostrzegawczy, że nie zwracając uwagi na subtelności doszedł prosto do oczywistego celu. Naturalnie list został rozmyślnie źle zaadresowany. Policja miała być naprowadzona na ślad dopiero po dokonaniu zbrodni. Wieczorne spacerowanie podsunęły panu doskonałą sposobność. A strach przed A.B.C. iak opanował już wówczas opinię publiczną, że możliwość pańskiej winy nie zaświtała nikomu w głowie. Wraz ze śmiercią brata cel pański został oczywiście osiągnięty. Dalsze morderstwa nie były już potrzebne. Gdyby jednak seria urwała się bez widocznego powodu, ktoś mógłby zacząć coś podejrzewać...

— Pański kozioł ofiarny, Cust, grał dotychczas rolę człowieka niewidocznego, bo nie zwracającego niczyjej uwagi. Rolę tę grał tak dobrze, że nikt nie zauważył go nawet na terenie trzech kolejnych morderstw. Ku pańskiemu rozczarowaniu nie było nawet mowy o jego odwiedzinach w Combeside. W natłoku silniejszych wrażeń panna Grey zupełnie o nim zapomniała.

— Nie brak panu odwagi i pomysłowości, a więc zdecydował się pan na czwarte morderstwo.

Tym razem chciał pan zatrzeć ślady. Jako teren swojej działalności obrał pan Doncaster. Plan był nad wyraz prosty. Pańska obecność w Doncaster całkowicie wytłumaczona. Firma skierowała tam pana Custa. Śledził pan tego biedaka i chciał skorzystać ze sposobności. Szczęście panu dopisywało. Pan Cust poszedł do kina. To upraszczało sprawę. Usiadł pan o kilka miejsc obok niego. Kiedy wstał i ruszył w stronę wyjścia, pospieszył pan za nim. Potknął się pan, pochylił i pchnął nożem człowieka drzemiącego w poprzednim rzędzie. Zrzucił pan rozkład ABC na kolana ofiary, a w ciemnym korytarzu zderzył się z Custem, otarł nóż o jego rękaw i wsunął mu do kieszeni.

— Tym razem nie troszczył się pan bynajmniej o dobór ofiary zaczynającej się na „D”. Każdy mógł spełnić zadanie. Słusznie pan przypuszczał, że będzie to potraktowane jako omyłka. Na pewno w pobliżu musiał siedzieć ktoś o właściwym nazwisku. Wszyscy pomyślą, że właśnie tamten miał być upatrzonym celem.

— A teraz, drodzy przyjaciele, spójrzmy na sprawę z punktu widzenia fałszywego A.B.C., czyli Custa. Morderstwo w Andover przeszło dlań niepostrzeżenie. Sprawa w Bexhill zdziwiła go i zaskoczyła. Dlaczego i tym razem był na miejscu? Potem przyszła zbrodnia w Churston i wielkie nagłówki w gazetach. Zbrodnia w Andover, kiedy był tam obecny, zbrodnia w Bexhill, a teraz znowu... Trzy morderstwa, a za każdym razem on był w pobliżu. Epileptycy cierpią często na chwilowe utraty pamięci i nie wiedzą, co w takich okresach robili. Nie wolno zapominać, że Cust to osobnik wrażliwy, neurastenik szczególnie podatny sugestiom. Wreszcie otrzymuje polecenie, żeby udać się do Doncaster.

— Doncaster! Przecież tam A.B.C. zapowiedział czwartą zbrodnię. Custowi musiało się to wydać palcem losu. Traci głowę. Wyobraża sobie, że gospodyni przygląda mu się podejrzliwie. Mówi jej, że jedzie do Cheltenham, naprawdę jednak wybiera się do Doncaster. Uważa to za swój obowiązek. Po południu idzie do kina. Cóż, mógł się zdrzemnąć na parę minut. Trudno sobie wyobrazić jego uczucie, gdy po powrocie do hotelu znajduje ślady krwi na rękawie i zakrwawiony nóż w kieszeni. Wszelkie trwożliwe podejrzenia zmieniły się w pewność. To on! On jest mordercą! Przypomina sobie bóle głowy, utraty pamięci. Nabiera przekonania, że on, Aleksander Bonaparte Cust, jest szaleńcem o zbrodniczych skłonnościach. Od tej chwili zaczyna zachowywać się jak tropione zwierzę. Wraca do swojego mieszkania w Londynie. Czuje się tam bezpieczny, bo jest dobrze znany. Gospodyni myślała, że był w Cheltenham. Ma jeszcze przy sobie nóż, co oczywiście jest elementarnym błędem. Chowa go za masywnym wieszakiem w hallu. Wreszcie dostaje ostrzeżenie: policja ma nadejść lada chwila. To koniec. Policja wie o wszystkim. Ścigane zwierzę zdobywa się na ostatni wysiłek: nie wiem, dlaczego jedzie do Andover. Zapewne było to makabryczne pragnienie, by zobaczyć miejsce zbrodni, którą popełnił, chociaż nie pamięta jak i kiedy. Nie ma pieniędzy, jest zmęczony, głodny. Nogi same wiodą go do komisariatu policji.

— Ale broni się nawet zwierzę w potrzasku. Cust jest przekonany o swojej winie, ale twierdzi uparcie, że jest niewinny. Po desperacku czepia się alibi w sprawie z Bexhill. Przynajmniej tego nikt nie potrafi mu dowieść.

— Jak już powiedziałem, przy pierwszej z nim rozmowie zorientowałem się natychmiast, że nie on jest mordercą, a moje nazwisko nic właściwie dla niego nie znaczy. Zorientowałem się również, że wyobraża sobie, iż jest mordercą. Kiedy wobec mnie przyznał się do winy, nabrałem przekonania, że teoria moja jest najzupełniej słuszna.

— Pańska teoria — powiedział Franklin Clarke — to absurd.

— Nie, panie Clarke. Był pan zupełnie bezpieczny, póki nikt pana nie podejrzewał. Skoro zrodziło się podejrzenie, o dowody nie było trudno.

— O dowody?

— Oczywiście. W Combeside w schowku znalazłem laskę, której użył pan w Andover i w Churston. To zwyczajna laska z ciężką gałką. W pobliżu rączki usunął pan część drewna i nalał roztopionego ołowiu. Pośród fotografii kilkunastu osób opuszczających kino w Doncaster... Takie zdjęcia robili dwaj agenci... rozpoznano pana, i to w dwóch pozach. A przecież w tym czasie miał pan być na torze wyścigowym... W Bexhill rozpoznała pana Milly Higley i kelnerka z przydrożnej oberży, gdzie jednego wieczoru jadł pan kolację z Betty Barnard. A wreszcie, na największe swoje nieszczęście, zaniedbał pan ostrożności: zostawił pan odcisk palca na maszynie do pisania wysłanej później do Custa, Na maszynie, której (gdyby pan był niewinny) w żaden sposób nie mógłby pan dotknąć.

Clarke siedział chwilę jak skamieniały. Wreszcie powiedział:

— *Rouge, impair, manque** Wygrałeś, Poirot. Ale warto było spróbować.

Niewiarygodnie szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni pistolet małego kalibru i przyłożył sobie do skroni. Krzyknąłem i bezwiednie zamknąłem oczy oczekując na odgłos wystrzału. Ale tylko iglica szcęknęła nieszkodliwie. Clarke rozejrzał się dokoła ze zdziwieniem i zaklął okropnie.

— Nic z tego, panie Clarke — oznajmił Poirot. Może pan zauważył, że mam dzisiaj nowego służącego? To mój dobry znajomy, doświadczony złodziej kieszonkowy. Wyciągnął panu z kieszeni pistolet, rozładował go i wsunął na miejsce, a pan w ogóle tego nie poczuł.

— Ty przekłeta francuska małpo! — wrzasnął Clarke purpurowy ze złości.

— Rozczarował się pan, panie Clarke. Rozumiem. Ale, widzi pan, nie dla pana taka lekka śmierć. W swoim czasie mówił pan Custowi, że dwa razy omal się pan nie utopił. Wie pan, co to znaczy? Zgodnie z przysłowiem, czeka pana inny los.

— Ach, ty... — słowa uwięzły mu w gardle, twarz spopieliała. Groźnie zacisnął pięści.

Dwaj detektywi ze Scotland Yardu wyszli z sąsiedniego pokoju. Jednym z nich był inspektor Crome. Padła tradycyjna formuła aresztowania i ostrzeżenie, że wszystko, co aresztowany powie, może być wykorzystane przeciwko niemu.

— Ach, powiedział już dosyć — rzekł Poirot i dodał zwracając się do Clarke'a: — Jest pan typowym Anglikiem i wierzy w swoją wyższość. Ale ja osobiście nie uważam pana zbrodni za angielską, przyzwoitą ani sportową.

Rozdział XXXV

Zakończenie

Z przykrością muszę się przyznać, że gdy drzwi zamknęły się za Franklinem Clarke, roześmiałem się histerycznie. Poirot spojrzał na mnie z łagodnym zdziwieniem.

— To dlatego — wykrztusiłem z trudem — że jego zbrodnię nazwałeś niesportową.

— I miałem rację. To była ohyda. Nie mówię nawet o bratobójstwie. Ale bezwzględne okrucieństwo, z jakim skazał nieszczęśliwego człowieka na śmierć za życia. „Lisa złapiemy i w klatce zamkniemy, i nie puścimy już nigdy...” To stanowczo niesportowe podejście.

Megan Barnard westchnęła głęboko.

— Nie mogę jeszcze uwierzyć. Nie mogę! Czy to prawda?

— Tak, *mademoiselle*. Koszmar minął. Spojrzała na niego i zarumieniła się lekko, a Poirot zwrócił się do Donalda Frasera.

— Pannę Megan dręczył nieustannie lęk, że to pan jest winnym drugiej zbrodni.

— Chwilami i ja zaczynałem w to wierzyć — odrzekł półgłosem Fraser.

— Z racji tych snów? — Poirot przysunął się trochę bliżej do młodego człowieka i zniżył głos do poufalego szeptu. — Ta powtarzająca się wizja da się wytłumaczyć w sposób zupełnie naturalny. Spostrzegł pan, że w pańskiej wyobraźni obraz jednej siostry zaciera się powoli, a zastępuje go obraz drugiej. Megan wypierała z pańskiego serca Betty. Ale pan nie mógł sobie wybaczyć, że tak szybko zapomina o zmarłej, walczył więc z myślami i próbował je zabić. Oto proste wyjaśnienie snu. Wzrok Frasera powędrował ku Megan.

— Niech pan sobie nie wyrzuca tego zapomnienia — podjął życzliwie Poirot. — Tamta nie jest warta pamięci. Panna Megan zdarza się jedna na tysiąc. To wspaniałe serce.

— Sądzę, że ma pan słuszność — powiedział Donald

Fraser i wzrok mu się rozjaśnił.

Wszyscy obstąpili Poirota zasypując go pytaniami, prosząc o takie lub inne wyjaśnienia.

— Powiedz mi, mój drogi — zacząłem — czy w tych pytaniach, które wszystkim zadawałeś, był jakiś cel?

— Przeważnie była to blaga. Ale dowiedziałem się jednej rzeczy, która była mi potrzebna: że

Franklin Clarke był w Londynie, kiedy nadano do mnie pierwszy list. Chciałem także przypatrzeć się jego twarzy, kiedy zadam pytanie *mademoiselle* Grey. Jego równowaga trochę się zachwiała. Spostrzegłem w jego oczach iskry gniewu.

— Trzeba przyznać, że nie szczędził pan moich uczuć — odezwała się Tora Grey.

— Byłem pewien, że od pani nie usłyszę prawdy — odparł sucho Poirot. — A teraz spotyka panią drugie rozczarowanie: Franklin Clarke nie odziedziczy majątku brata.

— Czy długo mam tu jeszcze słuchać tych zniewag? — zapytała dziewczyna dumnie podnosząc głowę.

— Bynajmniej nie jest nam pani potrzebna — odrzekł Poirot i eleganckim ruchem otworzył drzwi przed Torą.

Decydującym ciosem była ta historia z odciskiem palca — powiedziałem. — Clarke załamał się ostatecznie, kiedy o tym wspomniałeś.

— Istotnie, daktyloskopia bardzo się tu przydała — zamyślił się na chwilę. — Dodałem to, aby przypodobać się tobie, *mon ami*.

— Ależ, Poirot — zawołałem. — Czy to nie była prawda?

— Nie, *mon ami*, wierutne łgarstwo.

Nie mogę pominąć milczeniem wizyty, jaką w kilka dni później złożył nam pan Aleksander Bonaparte Cust. Długo ścisnął dłoń Poirota i nader nieskładnie próbował wyrazić swoją wdzięczność. Na koniec opanował się i powiedział:

— Czy wyobraża pan sobie, że jeden dziennik zaproponował mi sto funtów... mówię wyraźnie: sto funtów za mój krótki życiorys? Nie wiem, słowo daję, co mam z tym fantem zrobić?

— Na pańskim miejscu nie przyjąłbym setki — orzekł Poirot. — Trzeba się mocno trzymać. Dajmy na to, że pańska cena wynosi pięćset funtów! I niech się pan, broń Boże, nie ograniczy do jednej gazety.

— Co? Ee... Naprawdę pan tak myśli?

— Niech pan zrozumie — przerwał mu z uśmiechem Poirot — że jest pan w tej chwili sławnym człowiekiem, właściwie najslawniejszym w całej Anglii.

Pan Cust zrobił jeszcze lepszą minę. Radosny błysk rozjaśnił jego mizerną twarz.

— A wie pan, zdaje się, że ma pan rację. Sława. Wszystkie gazety. Tak, tak, skorzystam z pańskiej rady, panie Poirot. Pieniądze przydadzą mi się, bardzo przydadzą. Nareszcie zrobię sobie prawdziwy urlop i będę mógł kupić piękny ślubny prezent Lili Marbury. To dobre dziecko, panie Poirot, dobre, kochane dziecko.

— Naturalnie — Poirot poklepał go życzliwie po ramieniu. — Niech pan się bawi i robi, co mu się podoba. I jeszcze jedno. Może wybrałby się pan do okulisty? Takie bóle głowy zdarzają się często z winy niewłaściwie dobranych okularów.

— Myśli pan, że jest tak i ze mną?

— Niewątpliwie.

— Jest pan wielkim człowiekiem, panie Poirot — stwierdził Cust gorąco ściskając dłoń mojego przyjaciela.

Poirot, jak to było jego zwyczajem, nie odparował komplementu. Nie postarał się nawet o skromną minę. Kiedy pan Cust wyszedł godnie z pokoju, stary przyjaciel uśmiechnął się do mnie.

— No i co, Hastings? Odbyliśmy wspólnie jeszcze jedno polowanie. *Vive le sport!**

* fr. Mój przyjacielu.

* fr— Cóż za okropność!

* fr— Prawda?

* fr. To prawda.

* fr. Wyszukane, delikatne, subtelne.

* fr. Jeszcze nie.

* fr. Jak to?

* fr. Ależ tak.

* niem. Mój Boże!

* fr. Biedna kobieta.

* fr. Tak, to może być tu...

* fr. Dobranoc panu.

* fr. Doskonale.

* fr. Dobry Boże!

- * fr. A, to pomysłowe
- * fr. No, dobrze.
- * fr. Dobry pomysł.
- * fr. Panie i panowie.
- * fr. Rodzaj materiału.
- * fr. Ostatni krzyk mody.
- * fr. Rozumie się
- * fr. Mimo wszystko, dobrze pomyślane.
- * fr. Moje dzieci.
- * fr. Moja mała.
- * fr. Moi przyjaciele
- * fr. Czerwone.
- * fr. *grand mal i petit mal* — formy padaczki, różniące się intensywnością i trwałością objawów.
- * fr. Dobrze.
- * fr. A więc to dobrze, moje dzieci.
- * fr. Co za pomysł!
- * fr. Czerwone, nieparzyste, przegrana.
- * fr. Niech żyje sport